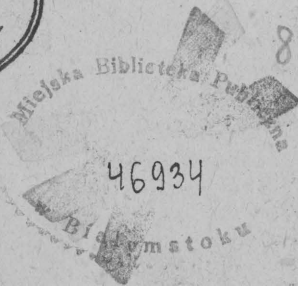




STEFAN KIEDRZYŃSKI

UŚMIECH
SZATANA

Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, Sienkiewicza 12



884-3

S. 74

2. 10. 53

Warszawskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze, Sp. z O. O.
Warszawa, Nowy-Zjazd 1. Tel. 410-67.

I.

W przedziale pierwszej klasy pociągu, który pędził z Granicy do Warszawy siedziało dwóch mężczyzn. Ludzie ci nie znali się z sobą, a to (o ile sądzić było można) z tej prostej przyczyny, że zaznajomić się jeszcze nie mieli czasu. Jeden z nich był młodzieńcem dwudziestokilkuletnim, wysmukłym i pięknym, drugi, znacznie starszy, z niewielką, fryzowaną brodą i zimnemi, jasnymi jak u ryby oczyma. Ten drugi wszedł do wagonu w Skierniewicach i niezwłocznie zabrał się do czytania gazety, której ogromną płachtę rozpostarł przed sobą. Młodzieniec, który powitał wchodzącego życzliwym spojrzeniem, zobaczywszy swego nowego i jedynego towarzysza podróży, chowającego się poza papierowy parawan gazety, obrzucił go wzrokiem, w którym bez trudu można było zauważyć coś w rodzaju żalu, czy wyrzutu. Nie trzeba było zbyt wielkiej spostrzegawczości, aby stwierdzić, że młodzieniec się nudzi i że nie nazbyt przepada za ludźmi podobnie małomówiącymi, jak drugi pasażer przedziału, który zdawał się całą swoją uwagę skupiać w odczytywaniu nieco zamazanych liter gazety

Tymczasem pociąg dudnił i huczał, podskakując na spójnieniach szyn i biegł naprzód z właściwą pośpiesznością pociągów szybkością 60 kilometrów na godzinę. Młodzieniec założył nogę na nogę, zapalił papierosa i puściwszy kilka kłębow dymu, patrzył w okno. Było lato. Upalny dzień gorący, jakgdyby wyłożony słońcem, wibrował zapachem zbóż za oknami wagonu. Biegły w karuzelowym tańcu długie zagony jak kolorowe pasy wstążek, ujętych w mocną dłoń na horyzoncie. Migwały cienie telegraficznych słupów i cienkie nitki drutów, falujących z góry na dół, jakgdyby w dłoniach rozbiwionych dzieci, które podrzucały je dla zabawy. Czasami jakaś mała muszka, zaplątana w orbitę okna, drgała jak zawieszony punkcik na tle jasnego nieba, póki pędzące ramy okien nie odepchnęły jej w głąb, lub zapędziły do wnętrza wagonu. Czasami jednak w obramowaniu okna nie było widać nic, prócz jasnej toni lazuruwego nieba prześwieconego słońcem. Młodzieniec, oparłszy głowę na poduszkę wagonowej kozetki, patrzył z poza przytmkniętych nieco powiek w świetlaną topiel, od której bił gorący oddech lata. W tej samej chwili jego towarzysz podróży, wypaliwszy papierosem dziureczkę w gazecie, przyglądał mu się przez ten mały otworek ciekawie. Jego szare, o żółtawym białku oko znieruchomiało i zatrzymało się jak skrzydło jastrzębia nad upatrzoną ofiarą. Patrząc lewym okiem, prawie zmrużył, i przytknąwszy nos do gazety, przyglądał się ślicznemu profilowi, który w tej chwili wydawał się jeszcze bardziej regularny i szlachetny. Szare oko snuło się po wdzięcznej postaci młodego chłopca, jak lepkie łapki olbrzymiego pajaka. Pod naporem myśli, skierowanej snąć w celu odgadnięcia osobistości towarzysza podróży, brwi starszego pana zsunęły się, a dość

długie rzęsy szurały po papierze, jakgdyby po nim chodziła ogromnych rozmiarów mucha. Na jego dosyć szczupłej twarzy, choć bynajmniej nie zaniebanej, malowało się w tej chwili niezwykle zaniepokojenie. Z wielką uwagą badał nie tylko fizjognomję młodzieńca, ale i jego ubiór, oraz wszelkie podrzędniejsze nawet szczegóły jego osoby, jakgdyby nie chciał zaniedbać niczego, co by mogło w ogólnej sumie wytworzyć chociażby najmniejszą różnicę.

Nie przerywając swego oryginalnego zajęcia — starszy pan szeptał co kilka chwil zgodnie ze swymi myślami. Pierwsze słowa, wymamrotane za ledwie dostrzegalnym poruszeniem warg, brzmiały:

— Żadny. Istotnie niema więcej niż dwadzieścia trzy lata. — Po dłuższej chwili wzmożonej obserwacji, pod czas której niedyskretne lewe oko, zdawało się zaglądać młodzieńcowi pod podeszwy butów i nicować podszewkę marynarki — nieznajomy ciągnął dalej z zadowoleniem:

— Dziecko szczęścia. Widać to z każdego jego poruszenia, z każdego najmniej znaczącego gestu. Zdumiewające jest, jak powodzenie, którego człowiek doświadcza od kapryśnego losu, działa na uszlachetnienie najbanalniejszych nawet zewnętrzności. Jego swoboda połączona z naiwnością dziecka i pewnością siebie milionera, jest czarująca. Kobiety będą za nim szalały, a wszyscy kartografowie na jego conto, zapewne już w tej chwili zaciągają dług. Pomyślmy jednak o jego charakterze.

Oko błysnęło badawczymi promieniami, które rozpełzły się jak robaki po siedzącym młodzieńcu.

— Ubrany jest pierwszorzędnie — pomyślał nieznajomy z uznaniem. — Ma dobry smak, co dowodzi delikatności uczuć. Można bowiem naśladować innych dosyć łatwo, przy pewnym sprycie, popartym bystrzejszą obserwacją, niepodobna jed-

nak zachować tej harmonijnej jednolitości, która wymaga inteligencji wrodzonej, a która jest tak widoczna w ubraniu tego młokosa. Nie można mu nic zarzucić pod tym względem; kolor, fason i krój bez zarzutu. Spokojnie a wytwornie, ani jednej wyrywającej się plamy, ani jednego ściegu zrobionego fałszywie. Wyśmienicie. Lubię ludzi, którzy potrafią się ubrać — są to artyści swego rodzaju i mają ten wdzięk, który pociąga i zniewala. A teraz twarz! Nad tem trzeba się zastanowić głębiej. Czoło jasne, nie nazbyt wysokie, ale i nie niskie. Umiar, najważniejszy szczegół wypada zadawalniająco. Umiar jest podstawą harmonji w życiu. To czoło dowodzi, że ten młodzieniec ma charakter łagodny, spokojny, a jego serce, jeżeli będziemy tak określali dziedzinę uczuć, jest podobne do jasnego zwierciadła stawu. Czyż jednak ten staw zawsze jest odbiciem lazurowego nieba? To wątpliwe. Dowodziłoby to, że ten młodzieniec pozbawiony jest temperamentu, który u ludzi odgrywa rolę kotła w lokomotywie. Nie można go o to posądzać, chociażby ze względu na oczy, które przymrużone w obawie przed zbyt natrętnem światłem, czasami, kiedy powieki się unoszą, strzelają promieniami, jak słońce za poza chmur. To dowodzi, że pali się w nim ogień ciekawości i żądzy życia. O... patrzy na mnie, a raczej na moją gazetę. Oddalmy nieco papier od twarzy — i poruszmy głową, żeby przypuszczał, że czytam. Odwrócił głowę i znów patrzy w okno. Nudzi się. Irytuje go to, że czytam gazetę, nie starając się nawiązać z nim rozmowy. Jest tak młody, iż po kilku godzinach miękkie poduszki wagonu pierwszej klasy będą mu się zdawać rozpalonym rusztem. Co za szalona różnica między starością, która powiewa chłodem jak płachtą — a tym młodzieńcem, dla którego szybkość 60 kilometrów na godzinę, zdaje

się być poruszeniami żółwia. Czego jednak dowodzą usta? Co mówią milcząc? Wbrew bowiem przyjętym zasadom, usta najczęściej mówią wtedy, kiedy są nieruchome. Wówczas z rysunku ich, kształtu i koloru można się dowiedzieć więcej, niż ze słów, które mówią tylko to, co myśl rozkaże i służą często do zaciemnienia i pogmatwania słusznych przypuszczeń. Usta tego młokosa nie ustępują w jasności wyrazu innym szczegółom jego twarzy. Są wykrojone jakby nożyczkami pensjonarki. Co za czystość w rysunku. Oba kąciki napewno przy uśmiechu biegają ku górze, co dowodzi słodczygo usposobienia i delikatności w pieśszczocie. Ich nabrzmiałość, podobna do czerwonych wisien, mówi zbyt wiele o pożądlivosti miłosnych rozkoszy, aby powątpiewać o tem, iż wrodzona jego delikatność nie przeszkadzała mu jednak zaglądać często tam, skąd piękne nóżki biorą swój początek.—

— Jaka jest jednak suma moich badań? Młodzieniec jest piękny, wytworny, inteligentny, szlachetnego charakteru, kocha życie, uwielbia kobiety i ma, jak zapewniają, dziesięć milionów. Czyż to nie zawiele, jak na jednego człowieka? Lokomotywa, gdyby wiedziała, kogo wiezie, stanęłaby dęba. I zrobiłaby doskonale. Gdyby nie chodziło o mnie, życzyłbym temu pociągowi, aby się wykołcił, gdyż w tym jednym wagonie pierwszej klasy — jedzie nieszczęście! Nieszczęście? Zapewne!... I to nie jedno, ale dziesięć, sto nieszczęść.

A jeżeli jedno, to ma sto rąk, z których jedna zdruzgotuje życie urzędniczka, przy okrutnej pomocy trzech halek i dwóch tuzinów jedwabnych pończoch, druga sprowadzi uczciwą szwaczkę na drogę lekkomyślnych przyjemności, trzecia wystrzeli w łeb młokosowi, którego narzeczona nie będzie się mogła oprzeć blaskowi dziesięciu milionów,

choćby z nich dostała okruszek znikomy w postaci połowy kurczęcia z mizerją, w wybranej na rendez-vous podmiejskiej restauracji. Każda z tych rąk o wytwornych manicurowanych paznokciach, dosięgnie swej ofiary. Dziesięć milionów w futerałe z wdzięków młodości. Co za potęga! Gdzież kobieta, która potrafi się oprzeć temu słońcu ludzkości?... Jeżeli istnieje, to nie jest kobietą, albo ma sama sto razy więcej majątku.

Wygłosiwszy w myśli tak cenne aforyzmy, starszy pan zwinął gazetę, schował ją do bocznej kieszeni, z drugiej zaś wyjął srebrną papierošnicę.

Młodzieniec poruszył się z widocznym zadowoleniem i sięgnął po swoją. Obaj panowie prawie jednocześnie włożyli w usta cionkie papierosy i błysnęły ogniami zapalek. Spojrzeli po sobie, najwidoczniej pragnąc wymienić swe usługi. Prześcigając się w grzeczności, obaj skłonili uprzejmie głowami. Każdy zapalił papierosa od swojej zapalniczki, ale to drobne, pełne towarzyskiego wdzięku nieporozumienie, jak gdyby posłużyło im za wymienienie nazwisk. Młodzieniec, paląc papierosa, głosem pełnym utajonej niecierpliwości zapytał:

— Pan prawdopodobnie częściej odemnie jeździ temi kolejami. Jak pan sądzi, kiedy będziemy w Warszawie?

Starszy pan wyjął spokojnie zegarek i spojrzawszy nań, rzekł:

— Za godzinę.

— Ach, to dobrze! — zawołał młodzieniec z ulgą. — Nie mogę się już doczekać!

— Oczekuje pana w Warszawie prawdopodobnie coś bardzo miłego?

— Miłego? Nie. W Warszawie nie znam nikogo. Ale jestem zmęczony podróżą.

— Z daleka pan jedzie?

— Z Paryża. Jadę objąć sukcesję — dodał po chwili z uśmiechem, który jednak nie wyrażał zbyt-
niej radości.

Starszy pan kiwnął głową, jak gdyby się spodziewał podobnej odpowiedzi.

— Dziwię się — rzekł z pewnem usprawiedliwieniem, — widząc pański melancholijny uśmiech przy słowach tak powabnych...

— Czyż to są słowa powabne? — zapytał młodzieniec szczerze.

— Przypuszczam, tembardziej jeżeli suma spadkowa nie należy do zbyt małych.

— Przeciwnie. Jest to suma bardzo duża. Odziedziczyłem 10 milionów.

Mimowoli spojrzął, jakie te niezbyt powszednie słowa zrobiły wrażenie i z pewnem zdziwieniem zauważył, że jego towarzysz nie był tą wiadomością poruszony.

— Pan się nie dziwi? — zapytał z wpółdzinnem zdumieniem.

— Nie. Dlaczegoż miałbym się dziwić?

— Ilekroć kiedykolwiek, jeszcze za życia mego ojca wspominałem, że będę tak bogaty, wszyscy ogromnie się dziwili. Niektórzy nawet nie chcieli wierzyć, przypuszczając, że kłamię. A pan to przy-
muje tak naturalnie, jak gdyby w każdym wagonie kolejowym jechało po kilku takich jak ja, milionowych spadkobierców — rzekł z naiwną szczerością.

— Ja się nie dziwię, z bardzo naturalnego powodu — rzekł starszy pan, sięgając do bocznej kieszeni.

— Można wiedzieć z jakiego? — pytał z zainteresowaniem młodzieniec.

— Owszem!

— Więc proszę. Powiedz mi pan!
— Bardzo chętnie. Rozwinął gazetę i wskazał palcem na niewielki artykuł.

— Oto wzmianka o panu — rzekł. — Od pierwszej chwili, kiedy znalazłem się w tym wagonie, wiedziałem, kto pan jest, gdyż pańska fotografia była zamieszczona w jednym z pism ilustrowanych.

— Ach, tak! I cóż tam piszą? — rzucił pytanie z zainteresowaniem.

— Tak jak zwykle w podobnych wypadkach: chwałą pana.

— Chwałą? — zawołał. — Za co?

— Nie wiem. Prawdopodobnie za to, że mogłeś pan być synem swego ojca.

— Co za głupstwo! Wszakże nic się nie zmieniło. Jestem takim samym „nic” — jakim byłem w Paryżu. Tam znali mnie w kilku kawiarniach i tylko dlatego, że moja Lili była cudowną dziewczyną. Ach, jaka szkoda, że ona nie chciała rzucić swego ojca. Przywiózłbym ją tutaj. Ale ona była szalenie przywiązana do tego starego Benedykta, no i do Pascala. Czarująca dziewczyna, czarująca — powtórzył kilka razy z wyraźnym żalem w głosie.

— Może pan przecież niezwłocznie wrócić do Paryża.

— I wrócę! — zawołał stanowczo, — niestety jednak, czas jakiś będę musiał pozostać w Warszawie. No, ale skoro pan wie, jak się nazywam, pozwolę sobie przedstawić się panu oficjalnie: Jestem Robert Villard.

Starszy pan uniósł się nieco i ściskając jego rękę, rzekł uprzejmie:

— Nienależycki. Bardzo mi przyjemnie, że jestem pierwszym z pańskich rodaków, których pan

poznaje po powrocie do Polski. Radziłbym jednak panu wystrzegać się łatwych znajomości. W naszym mieście grasuje dużo oszustów i wydrwigroszy, dla których pan ze swoimi 10 milionami napewno będzie przedmiotem usilnych starań.

— Och, nie są oni dla mnie zbyt straszni, — odpowiedział lekceważąco młodzieniec.

— Jest pan już tak doświadczony?

— Nietylko doświadczony, ale szczęśliwy. To znaczy więcej.

— Wątpię jednak, aby szczęście pańskie potrafiło cię uchronić przed zamaskowany oszustem, który nieraz rozporządza bardzo niebezpiecznymi środkami. Pan nie zna Warszawy! Ani się spostrzeżesz, kiedy możesz pan naprzykład wpaść w sidła kobiety pięknej, rozumnej, nawet z nazwiskiem — i wtedy —

— Cóż wtedy? — zapytał młodzieniec ciekawie.

— Wtedy mogą nastąpić zagmatwane, splecione sytuacje, z których nie wydobędzie pana jego szczęście, któremu tak ufasz!

— Nie sędzę. Do pomocy szczęściu swemu mam pieniądze. Znam już na tyle życie, aby rozumieć ich potęgę. Nie boję się żadnych przeciwności, tembardziej sidła oszustów, od których podobno świat się roi. Mówię „podobno”, ponieważ żadnego nie znalazłem nigdy w życiu.

— Żadnego? — zawołał z zaciekawieniem Nienależycki. — Czyżby to było możliwe, aby nikt nigdy nie chciał pana oszukać?

— Być może, że chciał. Ale ponieważ nie oszukał, więc nie wiem, czy był oszustem.

Nienależycki zamilkł i zamyślił się. „Czy jest tak naiwny, czy tak pewny siebie” pomyślał. „Mówi stanowczo, a jednak dość głupio. W każdym razie partja może być ciekawa”

W tej chwili młodzieniec wstał z westchnieniem ulgi.

— Dojeżdżamy — rzekł. Bardzo panu dziękuję za chwilę miłej rozmowy. Żałuję tylko, że nie poznaliśmy się wcześniej — dodał z uprzejmym uśmiechem, zwracając się do Nienazyckiego.

— Istotnie, ja również — potwierdził starszy pan z pośpiechem. Jestem tego samego zdania.

— Mógł pan to z łatwością uczynić — rzekł Villard ze śmiechem — zamiast przez pół godziny obserwować mnie przez dziurkę, wypaloną w gazecie.

Nienazycki zmieszał się.

— Pan zauważył ten nietakt?... Ha, cóż robić! Mam zwyczaj, nim poznam kogokolwiek, przypatrzyć mu się przedtem starannie, aby uniknąć niepożądaney znajomości.

— Czy ten sposób zabezpiecza pana od oszustów?

— Poniekąd tak, gdyż przypisuję sobie pewien dar obserwacyjny.

— Doskonale. Cieszę się, że egzamin wypadł dla mnie korzystnie — rzekł młodzieniec z tym samym uprzejmym uśmiechem. Tembardziej, że nie znając nikogo w Warszawie, z przyjemnością skorzystam z pańskiego czasu, o ile zechce mi go pan w pewnym stopniu poświęcić.

— Ależ z radością — zawołał Nienazycki z zadowoleniem. — Służę panu swoim adresem w tej chwili.

Sięgnął do pugilaresu i wyjąwszy białą karteczkę, wręczył ją Villardowi z uprzejmym ukłonem.

— Oto jest: Zastanie mnie pan zawsze około piątej. Jeżeli zaś mnie nie będzie w domu, co czasami może się zdarzyć — upoważniam pana do zaprezentowania się mojej żonie, której o panu nie omieszkam powiedzieć.

— Dziękuję, bardzo serdecznie panu dziękuję. W Warszawie nigdy nie mieszkalem, a Polskę opuściłem ośm lat temu, jako piętnastoletni chłopiec. Znam tylko jedną warszawiankę i to z ekranu kinematograficznego.

Schował bilet do kieszeni i nie przestając się śmiać cichym, ciepłym głosem, ciągnął dalej, jak o czemś niezwykle zabawnem.

— Niech pan sobie wyobrazi, byłem w „Casino-Théâtre” i zakochałem się w polskiej artystce kinematograficznej. Sztuka była niestety słaba — ale za to bohaterka grała doskonale i wzbudzała zachwyt swoją urodą. Patrzałem na nią z takim uwielbieniem, że moja biedna Lili chciała w tej chwili wyjść z teatru i otruć się eterem. Ledwie jej wytłumaczyłem, że to przecież tylko fotografia, a uroczą kobietą mieszka daleko, nawet nie we Francji. Wówczas mój ojciec żył i nie sądziłem że będę tak prędko w Warszawie.

— Jak się nazywała ta artystka, jeżeli można wiedzieć? — spytał nieco zmienionym głosem Nienazycki.

— Dlaczego pana to interesuje?

— Ponieważ moja żona również jest artystką dramatyczną i grywa do zdjęć kinematograficznych.

— Ach więc pan może nawet zna moją niedoszłą kochankę. Cudownie! Pan mi pomoże z nią się zapoznać! — zawołał z niekłamana radością. — Nazywa się Nuna Miron.

Po twarzy starszego pana przebiegł cień. Trwało to jedno mgnienie, po którym nastąpiło zupełne wypogodzenie oblicza.

— Pozna pan ją napewno — rzekł z zupełnym spokojem, — gdyż to właśnie jest moja żona.

— Pańska żona?! — szepnął z pełnym zawodem w głosie młodzieniec. — Jaka szkoda.

— Dlaczego? — spytał nie bez pewnego rozdrażnienia Nienażycki. — Wszakże to nie przeszkadza panu jej poznać.

— No, tak, o ile naturalnie to wszystko, co panu przedtem naopowiadałem, nie zepsuje tak milego początku naszej znajomości.

— Och! nie przypuszczam! — zaprzeczył Nienażycki z jakimś szczególnym uśmiechem.

W tej chwili pociąg stanął i do wagonu wpadło kilku tragarzy o twarzach napiętnowanych krwiożerczą chciwością.

— Jakie rzeczy? co zanieść! — wołali jeden przez drugiego.

Villard wskazał laską swoją ręczną elegancką walizeczkę, a zwracając się do towarzysza podróży, rzucił pytanie:

— Jaki tu najprzyzwoitszy hotel?

— Bristol, albo Europejski! — brzmiała odpowiedź.

— Doskonale! Zatem do widzenia — rzekł, wyciągając rękę. — Pozwolę sobie skorzystać z pańskiego milego zaproszenia.

Wychodząc, stuknął w ramię tragarza, który szedł przed nim niosąc walizkę, i rzekł z tym samym miłym uśmiechem na czerwonych wargach:

— Do Bristolu, mój przyjacielu!

II.

Nienażycki się nie spieszył. Szedł wolno, czekając najwidoczniej na wyjście Villarda. Jego chłodne, jasne oczy szły za nim, snując zagadkowe spojrzenia, które odprowadzały go do samego wyjścia. Kiedy Villard wmieszał się w tłum, zalegający peron, Nienażycki stanął przy drzwiczkach wagonu

i szedł za nim swoim wzrokiem, dopóki nie zniknął w ciemnej czeluści zatłoczonego stacyjnego budynku. Wówczas starszy pan, odprawivszy machnięciem ręki natrętnego tragarza, ujął sam niewielki sakwojaż i zeszedł na peron. Wszyscy niemal stali lub szli odwrócenii do niego plecami, gdyż wysiadał z wagonu niemal ostatni. Jeszcze czasami z przedziału trzeciej klasy wyłaziły powoli tłuste jejmoście z tobołami, lub sypały się przez okno drobne pakunki, które zbierały i układały jedne obok drugich jakieś panienci, pomagając tym sposobem wyładować rodzicom zawalony gratami przedział.

Nienażycki szedł wolno, mając letnie palto przewieszane przez rękę, spokojny i elegancki, robiący wrażenie wracającego z letniska gentlemiana. Stanąwszy na kamiennych schodkach kolejowych, kiwnął laską na dorożkarza i, usadowivszy się wygodnie na miękkich poduszkach powozu, wskazał adres swego mieszkania.

Chociaż zawieranie znajomości nie jest dla wielu ludzi nadzwyczajną przyjemnością, należy jednak, ze względu chociażby na niezwykle okoliczności towarzyszące rozwojowi wypadków, zapoznać się z człowiekiem który, mimo pozorów gentlemiana, ośmielił się badać swego towarzysza podróży, przyłożywszy oko do dziurki, wypalanej papierosem w gazecie. Co mogło spowodować te nieokrzesane maniery, właściwe agentowi policji śledczej, prywatnemu detektywowi, lub rzezimieszkom, badającym stan posiadania upatrzonej ofiary. Zresztą, jeżeli Nienażycki nie był żadnym z nich, to czyn jego, tak nielicujący z poważnym i wytwornym wyglądem, jeszcze bardziej obarczał go przewinieniem, gdyż u tamtych trzech kategorii ludzi — podobne postępowanie jest tylko fachowym szczegółem ich zawodowej pracy, u każdego innego zaś człowieka

może być poczytywane co najwyżej za żakowską facecję, lub zwykłą, ordynarną ciekawość.

A jednak ściśle analizując zarówno ten stan egzystencji materialnej, którą nazywamy stanowiskiem, ani ten drugi stan egzystencji duchowej, którą świat przyzwyczaił się nazywać — moralnością, nie możnaby narzucić Nienazyckiemu żadnego z tych kilku wymienionych rodzajów.

Elegancki pan z fryzowaną brodą, wysokim czołem, udekorowaną staranną fryzurą, i z jasnymi, zimnymi oczyma, nie był rzezimieszką, a tembardziej agentem policji kryminalnej, jak również i prywatnym detektywem. Jeżeli jednak był ciekawy, co możnaby było wytłumaczyć przedewszystkiem faktem obserwowania młodzieńca przez dziurkę wypaloną w gazecie, należałoby niewłócznie dodać, że ciekawość ta nie miała nic wspólnego z żartami żaków, lub ciekawością kumoszek. Tego przedewszystkiem dowodziły jego oczy, nie posiadające nic, coby mogło w najbardziej nawet skomplikowanych asocjacjach myśli, nasunąć porównanie z „blaskiem lub reflekssem słońca”, „ciepłem rozpalonego ogniska”, „tonią spokojnego morza” lub jakimkolwiek z tych porównań, którem autor usiłuje wytłumaczyć tętemu czytelnikowi, że przedstawiona świeżo figura należy do kategorii ludzi szlachetnych i uczuciowych. Nienazycki posiadał oczy jasne, blade, koloru parafinowej świecy, lub fajansowego spodka. Jest to kolor dla wąskiego krążka, okalającego źrenicę, bezwątpienia najniewłaściwszy, gdyż w chwili pogody ducha, kiedy ciemny punkcik źrenicy maleje — cienka, jasna obwódka schodzi się w swej barwie z kolorem białka, czyniąc oczy przerażającymi. Takie przerażające oczy posiadał Nienazycki, oczy, które interesowały jednobarwnością, a jednocześnie wprowadzały pe-

wien lęk, jak niewielki, zwykły staw, nad którym stoimy, a którego przepaścista głębia bywa przyczyną baśni o topielicach.

Jeżeli prawdą jest, że oczy są „obrazem duszy” — wówczas, sądząc z oczu Nienazyckiego, należałoby mieć o jego duszy jaknajfatalniejsze wyobrażenie. Te oczy bowiem, powiedzmy, niezwykle, patrzyły przenikliwie i tak ostro, jak gdyby pragnęły od jednego spojrzenia przejrzeć człowieka nawskroś, wyrażały też zarówno chłodną, nieufność jak i fałszywą życzliwość — a w pewnych razach, kiedy źrenice rozszerzały się pod wpływem krwi, wzburzonej gniewem, oczy te rzucały blaski zimne jak refleksy księżyca, odbijające się na wypolerowanej stali noża.

Natomiast cała głowa miała wyraz pewnej szlachetności. Znać było nawet jakgdyby wysilek, aby pukłom włosów nadać pewien szlachetny kształt, uwydatnić przy tej sposobności piękny rysunek czoła, a wąsom i brodzie nadać staranność i wytworność, świadczącą dobrze o estetycznym smaku ich właściciela. Całą też postać Nienazyckiego cechowała staranność, ta staranność przewidująca, tak właściwa tym wszystkim, którzy chcą się wydać czem innem niżeli są, lub ukryć niekorzystne dla nich cechy, uwydatniające się nazewnatrz.

Towarzysz podróży Roberta Villard'a, jadąc do swego mieszkania przy ulicy Szopena, miał wygląd bogatego przemysłowca, powiedzmy nawet — najmniejszego inżyniera lub lekarza, nie czynił jednak wrażenia człowieka pracy. Praca bowiem nadaje każdemu człowiekowi cechę pewnej szlachetności nieuchwytną i niedostrzegalną na razie, ale istniejącą i w rzeczywistości stwarzając różnicę taką samą, jaka istnieje między oryginałem mistrza Leonarda, a jego chociażby najidealniejszą kopją.

Dorożka stanęła przed piękną, ozdobną kamienicą. Nienależycki zapłacił i, nie siadając do windy, udał się pieszo na pierwsze piętro. Zadzwoił i czekał, opierając się na lasce, z głową schyloną ku dołowi w zamyśleniu. Drzwi otworzyła dziewczyna mająca na głowie kokardę, zrobioną z białego muslinu. Nie okazując ani radości ani zdziwienia, odebrała od niego palto, laskę i kapelusz. Nie patrząc na nią, rzucił pytanie:

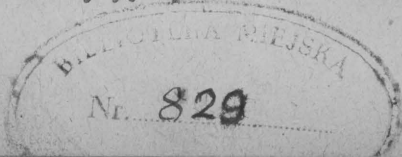
- Pani w domu?
- Tak. Jest w buduarze.
- Sama?
- Tak, proszę pana.

Nienależycki przeszedł pięknie umeblowany salon i zapukał do drzwi buduaru. Po otrzymaniu zaproszenia z wewnątrz, wszedł zamykając drzwi za sobą. Na małej kozetce, mając u stóp skórę z białego niedźwiedzia, siedziała, z nogą założoną na nogę, kobieta o wyglądzie lat trzydziestu, niezwykle ładna, w zwoju biało-kremowych koronek i batystów. Była to Nuna Miron, aktorka, grywająca wyłącznie do kinematografu, znana nie tylko w Warszawie i w Polsce. Co do sławy, rozbrzmiewającej w samym mieście, nie miała ona za zadanie jedynie rozpowszechniania zalet artystycznych pięknej aktorki. Rozgłos swój Nuna Miron zawdzięczała w pierwszym rzędzie niezwyklej urodzie i towarzyskim talentom, które pozwoliły jej spłacać swoje nazwisko z nazwiskiem bankiera Karola Strala i hrabiego Donaczyńskiego, jeszcze wówczas, kiedy była tylko mało znaczącą baletnicą w operze. Wtedy nazywała się Natalja Mirtecka i zaledwie miała czas pozrywać bliższe stosunki z subjektami z bławatnych sklepów i kręcącymi się między kulisami wylawiaczami niewinności teatralnych, którzy ją wprowadzili w świat. Były to

jednak czasy dawne, nawet tak dawne, że obecna Nuna Miron-Nienależycka, nie lubiła o nich wspominać. Przypuszczać jednak trzeba, że względy należne kobiecie, nie powinny zaciemniać prawdy, która jeżeli dotyczyła jej rzeczywistego wieku, była daleko mniej uprzejma, niż komplementy zwierciadła.

W rzeczywistości bowiem Nuna Miron miała już lat czterdzieści, chociaż bez najmniejszej obawy o powątpiewanie szczęśliwych jej przyjaciół, możnaby zawsze powiedzieć najwyżej — trzydzieści. Takie też było ogólne mniemanie większości, tembardziej, że uroczą artystka posiadała artystyczny umiar kłamstwa, co należy zawsze uważać za jedną z najcenniejszych zalet człowieka. Ten takt, którym niestety nie wszystkie jej współzawodniczki mogły się poszczycić, nie pozwalał jej mówić o ojcu, „który miał majątek na Wołyniu” — ani o swoich dwudziestu pięciu latach, jak również wyliczać długi szereg arystokratów, starających się bez powodzenia o jej rękę. Nuna Miron umiała żyć i żyć lubiła, a kiedy rozstawszy się z ostatnim swoim kochankiem, księciem Ludwikiem Weryhorskim, pozostała na razie sama ze stoma tysiącami, zostawionymi na „otarcie łez” — nie szukała nowego kochanka, ale przeliczywszy swoje lata, których los naciulał 38 — zaproponowała „mariage de raison” panu Tomaszowi Nienależykiemu, który prócz ładnego nazwiska, posiadał także jedną parę mankietów, trzy kołnierzyki gumowe, krawat i jeden przeniecony garnitur.

Małżeństwo z interesu ma tę dobrą stronę dla małżonków, że nie grozi samobójstwem z zazdrości. Pozwala to obu stronom dopijać w spokoju resztki rozkoszy z kielicha młodości. Przypuszczam więc, że ci wszyscy, którzy niegdyś mieli „dobra



swoich ojców", a w rezultacie walki z fortuną pozostali właścicielami dziurawych butów i wyszarżanej marynarki, rozumieją bez trudu pana Tomasza Nienazyckiego. Niestety, bowiem kapitał nie został jeszcze obalony na obie łopatki przez arcykapłanów Marxa — i żyjemy w dalszym ciągu w społeczeństwie, w którym pieniądź jest kameleonem sumienia. Rozumiał to doskonale prawdziwie „rasowy bankrut”, jakim był Nienazycki, dawny właściciel Górnego Potoku, postrach małomiasteczkowych żydów i bożyszcze dziewic księżycy. Ożenił się z Nuną Miron bez wahania, z miną człowieka, do którego Fortuna uśmiechnęła się raz jeszcze. Co ich do tego skłoniło i co ich wiązało, należało do kategorii tych publicznych tajemnic, o których się mówi z uśmiechem i szeptem, nigdy jednak ze stanowczą pewnością. Tak już bowiem bywa zazwyczaj, że lotrostwo poparte bogactwem wzbudza mimowolne powątpiewanie i nie mniejszy szacunek, niż ubożuchna uczciwość.

Nienazycki, nie witając się z żoną, usiadł naprzeciw niej w fotelu — jak ktoś, który przyszedł na ważną rozmowę. Nuna bawiła się różowymi końcami swoich palców, migając pilniczkiem, którym szlifowała pieczętowanie swoje paznokcie. Kiedy Nienazycki usiadł wygodnie i również nie pytając się o pozwolenie, zapalił papierosa, piękna aktorka podniosła na niego swoje ciemne, szafirowe oczy.

— No i co?

— Doskonale!

— Jakto!

— Doskonale — powtórzył Nienazycki. —

Wszystko w porządku.

— Widziałeś go?

— Nietylko widziałem, ale i rozmawiałem.

— Nie może być! — zawołała z wyraźną radością.

— Powiem ci więcej: Nietylko rozmawiałem, ale poznałem go osobiście, dałem mu swój bilet i zaprosiłem do nas.

— Niepodobna?

— Słowo honoru! — rzekł Nienazycki, kładąc rękę na gorsie koszuli.

— Nadspodziewanie! — rzekła „zdumionym szeptem” aktorka. — To rzeczywiście twój tryumf. Jesteś bez konkurencji! I jakżeś to zrobił?

— Przedewszystkiem, wsiałem w Skierniewicach do pociągu, jakgdybym nawet nie domyślał się, że jakiś Villard istnieje na świecie. Usiałem, wyiałem gazetę i zacząłem czytać. Po pewnej chwili wypaliłem papierosem dziurkę i zacząłem go przez nią obserwować.

— Ładny? — zapytała ciekawie.

— Bardzo.

— Ile może mieć lat?

— Nie więcej jak 23, tak jak go opisywali.

— Elegancki?

— Wytworny w każdym ruchu.

— Jednym słowem: ideał!

— Jak do tego wszystkiego dołożysz jeszcze dziesięć milionów, które posiadasz, będziesz miała obraz młodzieńca bez zarzutu.

Nienazycki uśmiechnął się złośliwie i przy-mrużywszy jedno oko, drugim patrzył na Nunę znacząco.

— No co? — zapytał po chwili, jakgdyby przez ten czas patrzenia jednym okiem prowadzili między sobą długą rozmowę. — Zadowolona jesteś?

— Ja? Taksamo ja, jak i ty.

— No, zapewne, że idziemy w tym interesie na pół, ale zawsze, co tam ciepłą ręką, przez Man

kielewicza, że tak powiem, to przecież ja już będę poza tem.

— Nie przypuszczam — odpowiedziała chłodno. — Zresztą to wszystko jest jeszcze bardzo wątpliwe.

— Dlaczego?

— Może być sprytniejszy, niż ci się zdaje — i wtedy figę będziemy mieli.

— Nic się nie bój! — rzekł Nienażycki, wstając z fotelu. — Ja dam sobie z nim radę. Zresztą gdybym ja nie potrafił, to ty potrafiysz.

— Mogę mu się nie podobać — rzekła aktorka wzruszając ramionami.

— To wyłączone — zaprzeczył starszy pan, z zadowoleniem głaszcząc fryzowaną brodę. — Już wiem, że tak nie jest.

Piękna kobieta zawiesiła w powietrzu rękę, patrząc na niego zdziwionym wzrokiem.

— Jakto wiesz? Skąd możesz wiedzieć? A nawet on sam?

— Powiedział mi!... Widział cię na filmie w „Casino-Theatre”.

— Mnie! — zawołała aktorka z wyraźną radością. — W czym?

— Nie wiem. Prawdopodobnie w „Oblubienicy duchów”.

— I co mówił?

— Że jesteś zachwycająca — odpowiedział Nienażycki z zadowoleniem.

Kobieta złożyła ręce na kolanach i jakimś długim wzrokiem popatrzyła na Nienażyckiego.

— To szczególne — rzekła przyciszonym głosem. — Ten Villard jak gdyby sam idzie w potrzask.

— Już go żałujesz? — zapytał, patrząc na nią swoim stalowym wzrokiem. — Bądź spokojna, nic

mu się nie stanie. Jeśli przegra do nas z kilkadziesiąt tysięcy, to przyznam ci się, że bardzo mi się te pieniądze przydadzą. Ja i Kocio, jesteśmy już tak „tertig”, że lepiej nie potrzeba.

— A co z Bambergiem?

— Nic, siedzi. Skompromitowany na zawsze. Nawet nie wypada się z nim widywać w więzieniu.

— Ale co za szczęście, że ciebie tam nie było — rzekła. — Ja wiedziałam, że się na tem skończy.

— Wszystko przez tego bydlaka. Potrzebował sobie w łeb strzelić akurat tam. Nie mógł tego zrobić na drugi, albo trzeci dzień. Ale ci samobójcy, to przeważnie są tacy złośliwi. Pamiętasz tę aferę z tym Warewiczem, którego żona zaawanturowała się z Dyziem?

— Ach! To okropne, nie wspominaj mi nawet o tem. Trzy noce z rzędu mi się śnił, musiałam światło palić. Na mszę nawet dawałam.

Nienażycki uśmiechnął się złośliwie.

— Mogłabyś przynajmniej Pana Boga nie mieszać do tej sprawy — rzekł, siedząc znowu na tem samem miejscu — Jesteś sprytna, ale i spryt twój jest z tego świata. Zresztą wcale się nie dziwię, że ci się pokazywał we śnie. Ja, na jego miejscu, udusiłbym cię!

— Ach! przestań.

— Stawałbym jako duch na progu sypialni i pokazywał na skrwawione serce. A jeżeli jako duch mógłbym coś powiedzieć, tobym mówił tak, żebyś mnie wołała widzieć, niż mnie słyszeć.

— Rzeczywiście — znalazłeś sobie temat do żartów — zawołała podrażnionym głosem.

— Biedny Warewicz — mówił szyderczo, wpajając się złośliwie w Nunę. — Prosił cię sam, byś się zaopiekowała jego żoną — i dobrze na tem wyszedł.

— Dyzio lepiej się nią opiekował, niż ja.

— O, tak, zwłaszcza wtedy, gdy on ich przyłapał. Lecz, wszystko świństwo i nic więcej! — zakończył z nieoczekiwanem oburzeniem.

Nuna objęła go szczerze zdziwionem spojrzeniem. Po jej ładnych ustach przemknął złośliwy uśmiech. Nie powiedziawszy ani słowa, zajęła się z powrotem pilowaniem paznokci, którym przyglądała się od czasu do czasu z prawdziwą przyjemnością.

Nienależycki siedział ze zmrużonymi oczyma, z głową nieco pochyloną w tył. Coś szeptał czy rachował, gdyż wargi jego poruszały się nieznacznie. Nagle, jak gdyby zapomniał o swoim chwilowem rozdrażnieniu i całej poprzedniej rozmowie, rzekł:

— Prawdopodobnie przyjdzie pojutrze o piątej. Trzeba, żeby go zachęcić i przyciągnąć.

— Kogo! — spytała.

— No, jakto kogo? Villard! Mam plan. Wracając dorożką, ułożyłem sobie w myśli cały proces wojny. Bo bezwątpienia będzie to wojna, jedna z najciekawszych wojen o miliony. Muszę ci jednak dodać, że Villard, o ile sądzić mogę, nie należy do bardzo łatwych przeciwników. Jest młody, ale spostrzegawczy i spokojny. Widział naprzykład, jak go obserwowałem przez dziurkę, wypaloną w gazecie, i jednym gestem, jednym ruchem nie zdradził się z tem. Dopiero na zakończenie powiedział, że mógłbym go być prędzej poznać, gdybym tyle czasu nie zmarnował na patrzenie przez dziurkę.

— Powiedział tak? — zapytała piękna kobieta z najwyższem zainteresowaniem. — To rzeczywiście ciekawe i zastanawiające.

W tej chwili nie miała już płochego wyrazu twarzy i złośliwego uśmiechu na nieco zanadto purpurowych wargach. Odłożyła nożyczki na stronę i podparłszy brodę różowemi palcami, patrzyła na niego wyczekująco. Nienależycki chwilę milczał, zagryzając wargi, poczem, rzuciwszy badawcze spojrzenie na drzwi, rzekł przyciszonym głosem:

— W każdym razie kości rzucone. Przyznam ci się, że długo namyślałem się, czy jechać do Skierniewic, żeby przyspieszyć znajomość, czy czekać przychylnych okoliczności. Skoro jednak pojechałem, i wszystko nadspodziewanie się udało — teraz się cofać niema powodu. Co go to może zresztą kosztować? Przecież nie mam zamiaru obrażować go z pieniędzy. Chodzi o współnika. Interes świetny, trzeba jedynie kapitału. Dla niego jakieś 200.000 nie gra roli, a nam pozwoli zarobić. Villard jest bogaty i bez wątpienia przedsiębiorczy — nie zawaha się, ręczę, a jak spółka się rozwinie, to i nasze papiery osobiste nieco pójdą w górę, bo obecnie po tem wszystkiem, co zaszło — to rzeczywiście zaczyna być w Warszawie trochę duszno. Wczoraj spotkałem na ulicy tego starego durnia Wirchockiego z Węclaw, kiedyś sąsiad, a teraz, gdy mnie spotyka, to za każdym razem, czy prawda, czy nieprawda, pyta się, z kim ciebie niby widział w knajpie, albo w teatrze. Wczoraj to samo. „Panie Tomasz, powiada, gdybym ja miał taką piękną żonę, jak pan, to na miły Bóg, kupiłbym jej majątek w Białowieskiej puszczy, wykopałbym fosy, panie, mosty na łańcuchachbym zrobił, a i na wież przy domu postawiłbym pacholka, żeby patrzył, kiedy i ilu lezie konkurentów”.

Aktorka parsknęła niepowstrzymanym śmiechem.

— To duren, to duren — powtarzała pośród kaskady śmiechu. — Nie dalej jak tydzień temu, spotkał mnie w Bristolu i tłumaczył przez pół godziny, że powinnam cię rzucić już dawno. Obiecał mi nawet pomagać na początek, gdyby mój kontrakt z „Globus-film” nie wystarczał.

— Nie może być? — zawołał Nienazycki.

— Daję ci słowo!

— Dobrze, że ja wiem o tem! — zawołał starszy pan groźnym głosem, nie okazując jednak zbytniego wzburzenia. — Potrafię mu się za to odplacić!

— No, tylko nie wyzwij go czasami na pojedynkę — zawołała Nuna, uśmiechając się złośliwie. — Bo jeszcze Niemilosierne nieba obu was uśmiercą i zostanę samotna i opuszczona, bez męża i opiekuna.

— No, na tych ostatnich ci nie zbywa, zdaje się — rzekł Nienazycki, kiwając napominająco głową. — Cała Warszawa o tem mówi.

— Mąż odpowiada za żonę — wtrąciła z tym samym uśmiechem.

— No, ale do pewnego czasu!

— Może chcesz wobec tego, żebym zerwała z Dziem?

Nienazycki nic nie odpowiedział, ale utkwivszy w niej swoje białe oczy, patrzył długo, milcząc.

— No, bo jesteśmy sami i możemy mówić szczerze! — zawołała z nagłą irytacją, rzucając nożyczki na stolik. — Jeżeli chodzi o ordynata, jesteś ślepy i głuchy, nie widzisz nawet tego, co ci samo w oczy wchodzi, a jeśli jest mowa o kim innym, robisz zdradzonego męża i potrząsas swoim honorem, jak żyd starą garderobą.

— Bo chyba wiesz, jakie mamy obowiązki, dla Sękorzewskiego? — Jeżeli ty mówisz szczerze, to i ja będę mówił szczerze.

— Po co mamy mówić — przerwała. Nuna, zrywając się z kozetki. — Oboje doskonale wiemy, że to wszystko razem jest świństwo i nic więcej.

— Mam nadzieję, że to nie Białonóg natchnął cię taką gwałtowną moralnością — szepnęła przez zęby Nienazycki.

— Napewno nie on, chociaż on w porównaniu z tobą jest kryształem.

— Tak, zapewne dlatego, że umie kryształowo robić podkładki w chemin de fer'ze. Już dawno powinien iść tam, gdzie Bamberg.

— Pójdziecie tam wszyscy razem.

— Sądzisz, że bez ciebie?

— Zapewne, że bezemnie!

— Ty znajdziesz lepsze miejsce. Będiesz stała z żółtą wstążką na dworcu i umoralniała upadłe kobiety.

— Ja co innego! — dawała Nuna, oblewając się łuną krwi. Jestem tylko kobietą, i wychowaną w takich warunkach, że tem, czem jestem, nie przynosiłam wstydu ani mojej rodzinie, ani memu nazwisku, które zresztą zmieniłam.

— Aby uchronić od hańby tego sklepikarza, co ma traktjernię pod Powązkami — wtrącił szyderczo Nienazycki.

— Ale chociażby i to?! Napewno wcale mu to nie pochlebia, że jest moim krewnym.

— No, przypuścimy!

— Napewno! — potwierdziła z przekonaniem. — On nie szuka „cudownych interesów”, do których trzeba ciągle nowych współników, tylko pracuje jak uczciwy człowiek. — A zresztą...

Zatrzymała się i stanawszy przed nim, rzekła dobitnie:

— Nie ciągnij mnie za język. Przedemną nie masz powodu udawać gentlemana. Dzięki Bogu, znam cię dobrze i wiem, kto jesteś i kim jesteś.

— Ale mówisz „dzięki Bogu” — co znaczy, że jesteś zadowolona ze swego męża — odpowiedział Nienażycki. — Czyli możesz powiedzieć to, czego ja nie mogę.

— Ty nie jesteś ze mnie zadowolony? Proszę bardzo, a to z jakiego powodu? zakrzyczała dosyć piskliwie. — Może nie wyciągnęłam cię z nędzy?... Może powiesz, że dałbyś sobie radę, gdyby nie moje pieniądze? Och, tego już nadto! Zapomniałeś, panie dziedzicu z Górnego Potoka, czem się mogłeś pochwalić. Trzy kołnierzyki i para spodni! Oto był twój majątek, gdy ciebie poznałam!

— Ale kto ci wyrobił kontrakt z „Globus-filmem” — i przez kogo?... Jeżeli zapomniałaś, kim ty byłaś, to ja ci przypomnę!

— No proszę, no proszę!... — zawołała, machając rękoma.

— No to ja ci powiem, — zawołał podniesionym nieco głosem Nienażycki. — Że byłaś głupia i jesteś głupia! Jeżeli ci zawracają w twojej kurzej głowie blagierskie improwizacje Białonoga, to przynajmniej miej „tyle taktu, aby mi w oczy nie rzucać tych idjotyzmów! Ja, mając tylko trzy kołnierzyki i parę spodni, jeszcze byłem w oczach świata sto razy więcej wart, niż ty z twojemi brylantami” i nie ty mnie, ale ja tobie łaskę zrobiłem, żeniąc się z tobą! Czy rozumiesz, dlaczego? — Oto dlatego, że ja byłem pan bez pieniędzy, a ty byłaś kochanką Weryhorskiego z pieniędzmi. Oto dlatego, i chociażbyś nie wiem co mówiła, to każda

wodzącego szczęścia. Gdyby wówczas wstał i nigdy już w życiu więcej nie grał, nie wygrawszy nic, nicby i nie przegrał — ale ponieważ tak zazwyczaj się nie dzieje, więc różnice szczęśliwi biorą do kieszeni wówczas, kiedy którykolwiek z grających odpada od gry, zniechęcony serją przegranych, albo schodzi z tego świata na zawsze. Największą jednak przeszkodą dla osiągnięcia majątku w tak łatwy sposób, jak stałe wyciąganie piątki do czwórki, albo siódemki do dwójki, jest mniej więcej zarówno żądza wygrania, jak niezbyt wielki rozmiar kapitałów. Jeżeli graeże zawodowi, to jest tacy, którzy, mając jakiś tytuł godny wniesienia na listę lokatorów, poświęcając resztę swego czasu na tasowanie kart, a zwłaszcza ci, którzy nie robią nic innego, prócz tego właśnie — modlą się o co, to tylko o to, żeby los przysłał im milionera. Cóż to bowiem za niezwykła przyjemność zasiadać do gry wówczas, kiedy się wie, że w gronie dobranych partnerów, zasiada po raz pierwszy amator szczęścia z pugilaresem, naładowanym banknotami. Patrząc na jego grę, obserwując dobrą imitację gentlemańskiego spokoju, niedbałe ruchy rąk, rzucających pieniądze, matowy głos, w którego sztuczności łatwo się można dopatrzeć cichej modlitwy o jeden uśmiech losu — towarzysze pracy, uczuwają rozkosz starego sadysty, którego nawet strach przed więzieniem nie może odegnąć od zbrodni. A kiedy przegrywa i sterty banknotów rosną przed każdym z nich, w szlachetnem gronie gentlemanów panuje nastrój podniosły. Świat wydaje im się tak piękny, jak młodej oblubienicy, budzącej się na drugi dzień rano po ślubie. Każdemu z nich bowiem zdaje się, że od tej chwili właśnie, los złotym rylcem wypisuje szczęśliwą przyszłość

na kartach ich ksiąg żywota — i zapowiada spełnienie utajonych pragnień całego życia.

Dlatego właśnie przyjazd Roberta Villard'a był tak życzliwie przyjęty nie tylko przez pana Nienazyckiego, ale przez wszystkich jego przyjaciół. Według ich własnego mniemania, uważali się za ludzi bardzo przyzwoitych, z wyjątkiem Maurycego Bamberg, który został skompromitowany. Wiadomo jednak wszystkim, że sprawiedliwość ma swoje uprzedzenia i nie jest sprawiedliwością skazanych, ale skazujących. Gdyby sędziów sądzili zbrodniarzy — z ich wyrokiem żaden podsądnyby się również nie zgodził. Tak samo bywa naodwrot. Sędziowie, skazujący Maurycego Bamberg, za nieuczciwą grę w „chemin-de fer”, nie mieli najmniejszego pojęcia o tej grze. Za oszustwo uważali zbyt często powtarzające się szczęście i taki traf, jak to, że w kartach, ułożonych przez niego, a „przeciętych” przez Kocia Nileckiego, passa, która padła na Gustawa Olempijskiego, miała osiem kart, a kupiony bank od niego przez Bamberg, dał mu dwadzieścia trzy karty, na czem wygrał sześćdziesiąt siedem tysięcy rubli.

Było to szczęście, a niecnym jest zwyczajem karać więzieniem za uśmiech Fortuny. W każdym razie, seanse do dwunastej w południe, pod moralną odpowiedzialnością Kocia Nileckiego, skończyły się wraz ze sprawą Bamberg, któremu pomógł do więziennych medytacji przypadkiem zapłatany w towarzystwo kasjer jednej z instytucji dobroczynnych, który, nie mogąc znieść, aby powierzone jemu pieniądze znalazły się w kieszeni Bamberg, strzelił sobie w skroń przygotowanym prawdopodobnie na ten cel rewolwerem.

Działo się to koło trzech miesięcy wstecz od chwili, kiedy Robert Villard przyjechał do War-

szawy. Pan Tomasz Nienazycki, mając szerokie plany względem jego osoby, nie chciał zaniedbać tej drobnej przysługi, jaką był winien swoim przyjaciółom. Opuściwszy więc żonę, żegnającą go wiele mówiącymi okrzykami, Nienazycki udał się do mieszkania Kocia Nileckiego. Młody ten gentleman mieszkał w dwóch pokojach, odnajmowanych od szlachetnej rodziny profesora Kuklewicza, który, mając cztery pokoje, dwie córki i żonę, nie był w możności swą ciężką pracą wyżywić rodziny i rzucać regularnie czynszową daninę w paszczę kamienicznika.

Nienazycki zadzwonił i zapytał o swego przyjaciela. Młoda panienka z warkoczykiem odpowiedziała, że „owszem, jest, ale zajęty”. Nienazycki postanowił jednak popробować szczęścia osobiście — i przeprosiwszy uprzejmie panienkę, zapukał do drzwi. Z wnętrza dobiegły go jakieś splątane głosy, które po jego pukaniu umilkły natychmiast. Po chwili odezwał się głos Nileckiego:

— Kto tam?

— To ja! — odpowiedział poufale Nienazycki.

— Kto, Tomasz?

— Tak!

— No to chodź!

Nienazycki wszedł do pokoju, starannie zamykając drzwi za sobą. Na szerokim łóżku leżał młodzienc o bladej twarzy i kościstych kończynach, ubrany w jedwabną kremową koszulę. Koło łóżka na miękkim mebelku siedział kapotowy żyd, obracając w zwieszonych rękach zatłuszczoną, cuchnącą kitem czapkę.

— Jak się masz, — zawołał Nilecki, wyciągając do gościa rękę. — Bardzo się cieszę, że do mnie zajrzałeś.

— Mam interes.

— Dobry?

— Zobaczysz.

— Doskonale, potrzebuje na gwałt jakiegoś interesu, bo już ostatnią parą gonie.

— No i co będzie? — wtrącił nagle żyd. — Jak pan mi nic nie da na rachunek, to ja weksel sprzedam takiemu żydkowi, że on i z pod ziemi wyciągnie.

— Kiedy u mnie i pod ziemią też nic niema — odparł Nilecki. — Zresztą, mój panie Goldbaum, co powiedział pański król Salomon, wiesz pan? że „z próżnego największy mędrzec nie należy”. Skąd ja panu mogę teraz wziąć pieniądze?... Sam żyję z tego, co mi przyjaciele pożyczają.

— A ta ciotka, pani Kurakiewiczowa z Litwy, to ona się dobrze jeszcze trzyma?

— Ale gdzież tam. Lada dzień kipnie, słowo honoru, — zawołał Nilecki. — Niech się pan mego przyjaciela zapyta — dodał, wskazując ręką na Nienazyckiego.

Żyd spojrzał na niego załzawionym wzrokiem. Starszy pan senatorskim ruchem ręki pogładził brodę i kiwnął kilka razy głową potakująco.

— O ile wiem, zastrzykują już morfinę!

— Możliwe — powtórzył żyd z pewną nadzieją w głosie. — To znaczy, że już niedługo może być koniec.

— Najwyżej za kilka dni — potwierdził stanowczo Nilecki.

— Bo ja już nie mogę czekać — rzekł żyd. — Ja przysięgam na swoje dzieci, żeby one doczekały jutra, że ja sam jestem bez żadne pieniądze. Ja panu pożyczyłem, bo pan miał żyro pana Konopki i pana Bambergę, a teraz u kogo ja będę szukał swoich pieniędzy, jak jeden się zastrzelił, a drugi siedzi w więzieniu? Aj, co za nieszczęście, co za

traf, co za okoliczność! Akurat takich dwóch żyrantów — i pan, co nigdy niema grosza.

— Jakto, ja nigdy nie mam grosza? Mało miałem pieniędzy w swoim życiu? — zawołał z oburzeniem Nilecki.

— Jak kto taki głupi jak ja pożyczę, to pan ma!

— Nic się pan nie bój, zapłaci się — wtrącił się do rozmowy pan Nienazycki. — Zrobimy jeden dobry interes, i wszyscy na nim zarobimy.

— Co to za interes? — zapytał ciekawie Kocio.

— Nie mogę ci powiedzieć w takim licznym towarzystwie.

— No to do widzenia, panie Goldbaum. Słowem honoru panu ręczę, że nie stracisz pan ani grosza z tych trzech tysięcy. Już ja panu sam zapłacę. Za porządnego człowieka pan jesteś, żebyś pan miał tracić! — rzekł do żyda Nilecki.

— Co to porządny, ja głupi jestem! U mnie w domu moje dzieci i moja żona nie ma ryby na szabas, a ja pieniądze roznoszę po całym świecie — zawołał żyd rozżalony. Czy ja nie słyszę ciągle jedno i to samo: „Panie Goldbaum, pan jesteś porządny człowiek, pan nie stracisz”. A co ja zrobię, jak ja stracę? Kto moim dzieciom da jeść? Panowie grają w karty, a ja się muszę trząść o każdy grosz. Panowie się bawią z dziewczynkami i z szampańskim, a biedny Goldbaum nie ma na kawałek kury dla swoje dzieci!

— Nic się pan nie bój — zawołał Nienazycki. — Gdy zrobimy ten interes, to ja sam kupię ci w prezencie takiego koguta!

— A ja kurę! — dodał Nilecki. — Jeszcze pan na jajkach zrobisz pieniądze, panie Goldbaum. Zobaczysz pan!

— Tak, ja zrobię pieniądze — rzekł szyderczo żyd. — Ja zrobię pieniądze!... Chyba pan wy-

grasz 100.000, to może wtedy odbiorę swoje trzy tysiące. No, do widzenia panom... A jeżeli pan mi nic nie dasz, to ja ze stratą, ale weksel sprzedam. Muszkatblat już znajdzie sposób, żeby od pana wyciągnąć pieniądze! Do widzenia!

— Do widzenia! — rzekł uprzejmie Nilecki. Żyd zamknął drzwi za sobą, włożywszy czapkę jeszcze w pokoju.

— Złam rękę i nogę, — rzucił przez zaciśnięte zęby Kocio po jego wyjściu. — No, ale nareszcie sobie poszedł. Oddycham. Dusił mnie z godziny. Ach, co za los!... Żeby rzeczywiście ta ciotka Kurakowiczowa nareszcie nogi wyciągnęła, bo już mnie djabli biorą.

— A co, tak się źle czuje? — zapytał Nienażycki, jak człowiek, który pierwszy raz w życiu słyszy to nazwisko.

— Ale gdzieżtam, zdrowa, jak wół! — zawołał z wyraźnym oburzeniem w głosie Nilecki. — Mówię tym żydom o niej, bo co mam robić, ale ten spadek widłami po wodzie pisany. No, ale co ty masz za interes? — zapytał nagle z zainteresowaniem. — Może ty będziesz moją nadzieją, moją gwiazdą, mojem źródłem odżywczem!

— Owszem... Otóż jest ktoś, który się zjawił na horyzoncie. Ktoś, kto przegrawszy np. trzysta tysięcy rubli, może jeszcze zaprosić na szampana i przegrawszy drugie trzysta — wróci do domu wcale niezubożalym.

— Jest taki?

— Jest!

— W Warszawie?

— W Warszawie.

— Ty go znasz?

— Znam!

— Do stu tysięcy par djabłów. Kto to taki?

— Robert Villard!

— Ten miljoner, a właściwie syn miljonera, który odziedziczył wszystko po swoim ś. p. ojcu?

— Czytałeś o nim?

— Nie, ja gazet, jak ci wiadomo, nie czytuję, ale słyszałem, — zawołał Kocio, siedząc na łóżku, z wyraźnym podnieceniem. — Doskonale! Brawo. Tomasz. Ty nie zginiessz, chociażby cię tak, jak Bambergą, zamknęli do kryminału.

— Mnieby nie zamknęli, bo jabym takiej głupiej „pasy” nie wymyślił.

Nilecki utkwiał w niego swój pytający wzrok i patrzył długo...

— Hm... tak, — szepnął po chwili, jakgdyby z pewnem rozczarowaniem. — No, a jak ty myślisz pomóc szczęściu — zapytał po chwili cicho.

— Ja?... — rzekł Nienażycki, gładząc piękną brodę. — Wcale!

— Wcale?

— A przynajmniej tak, jakby wcale, — dobiegł z tą powagą, która cechuje ludzi nieposzlakowanej uczciwości. — Ja mam plan inny.

— Można wiedzieć, jaki?

— Owszem. Ale ubierz się i pojedziemy na kolację. Już jest dziewiąta godzina.

— Z przyjemnością, ale uprzedzam cię, że jestem podobny do świętego tureckiego. Mam za ledwie kilka rubli.

— No, to głupstwo. Ja jestem odpowiedzialny.

Nilecki zerwał się z łóżka i zaczął się pośpiesznie ubierać, wybierając i przerzucając stosy krawatów i kołnierzyków.

Przez ten czas Nienażycki wyciągnawszy nogi, siedział wygodnie w zamyśleniu, paląc papierosa.

— Coś się tak zastanowił? — zapytał Nilecki, oblewając sobie twarz kolońską wodą. — Układasz plan batalji?..

— Należę do ludzi, którzy nie lubią takich spekulacji, jak Bamberg. — Karty to dodatek, można wygrać raz, drugi, ale nie można wygrywać całe życie. To bywa podejrzane, a ludzkie jęzory tylko czekają na to, by mogły człowieka i jego honor posiekać, jak szpinak. Trzeba się liczyć z opinią, zwłaszcza, gdy się jest żonatym.

— No, naturalnie! — potwierdził Nilecki głosem, w którym łatwo można było wyczuć pewne zdziwienie.

— Dlatego mam zamiar wogóle nie grać z nim w karty.

Kocio przestał się czesać i z ręką zawieszoną w powietrzu odwrócił się w stronę Nienazyckiego.

— Jakto? Wcale? No, a my?!

— Wy? Możecie, jeżeli macie ochotę, w każdym razie w moim domu nie pozwolę na żadne „passy”.

— Tak?... — zapytał przeciągle, jakgdyby jednocześnie szukając przyczyn tej uczciwości. — No, to powiedz, jaki masz plan...

— Mój plan jest prosty. Wiesz, że jestem założycielem i dyrektorem „komandytowej spółki dla eksploatacji lasów”. Chcę ten interes postawić na dużą skalę.

— Co, ten interes? Przecież ani jednej morgi lasu jeszcze nie kupiłeś?

— To się bardzo mylisz. Właśnie, że tak nie jest, na co mogę ci dać dowody. Wprawdzie, nie kupiliśmy ani morgi, zato jednak mamy zadatkowane sześćdziesiąt tysięcy dziesięcin lasu w Rosji; współników jest trzech: ja, Olempijski i Bamberg. Bamberg wprawdzie siedzi, ale chce sprzedać swoje prawo...

— Komu?

— Temu, kto kupił

— E, słuchaj stary, — zawołał Kocio, śmiejąc się. — Po co ty mi blagujesz i opowiadasz romanse i bajki Andersena! Co może Bamberg sprzedać? Najwyżej swój kwartalny bilet tramwajowy, gdyby się znalazł ktoś do niego podobny na fotografii. Zresztą, ja wiem o tej komandytowej spółce. Stary kawał.

— Wcale nie kawał — odpowiedział spokojnie Nienazycki. — Tu są papiery.

Sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął dużą kopertę, naładowaną poskładanymi arkuszami. Rozwinął jeden z nich i podał Nileckiemu ze słowami:

— Masz, czytaj. Akt kupna sześciu tysięcy dziesięcin lasu, od Mikołaja Pawłowicza Martynowa, w majątku Krywyj Krug pod Rostowem nad Donem. Zadatek 80.000 rb.

Nilecki czytał, nie wierząc własnym oczom.

— Rzeczywiście, — wyszeptał w zdumieniu. — Stoi, jak koń napisane — 80.000.

— A tu, — rzekł z jasnym uśmiechem Nienazycki — dziesięć tysięcy dziesięcin w majątku księcia Szuwałowa. Zadatek 350.000 rubli.

Kocio rzucił szcztokę na toaletę i usiadł, patrząc na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

— To wszystko chyba kawał! — rzekł po chwili. — Przecież to niemożliwe.

— Co, niemożliwe? — zapytał Nienazycki, patrząc na niego nie bez politowania.

— Żeby te papiery były prawdziwe! — odpowiedział cicho.

Nienazycki wybuchnął przytłumionym śmiechem.

— Strasznie z ciebie naiwny młodzieniec — rzekł ironicznie, wykrzywiając usta. — Co cię obchodzi, jakie to są papiery. Grunt, że są. To najważniejsze.

— Bo wiem, jak to się zaczęło — rzekł Nielecki, wkładając marynarkę. — Wiem, że Dyzio dał 30.000 rubli twojej żonie, ale pod warunkiem, że jego nazwisko nie będzie w tej spółce figurowało.

— Bo on, tak samo jak ty, uważa, że szczęśliwa passa á la Bamberg, mniej przynosi ujemny niż handlowy interes.

— No, Sekorzewski chemin de fer'owi nie pomaga, zawołał Kocio z lekkim jakgdyby podrażnieniem. — Co prawda to prawda.

— Ale dziewczęta uwodzi.

— To co innego!

— I krew też na jego sumieniu ciąży, jak i na Bambergu.

— Miłosna afera — to znów co innego — zaprotestował Nielecki. — Warewicz się zastrzelił, prawda, ale gdyby...

Nagle zerwał się i machnął ręką.

— No, mniejsza z tem, — rzekł tuszując lekkie zmieszanie sztucznym śmiechem. — Co było, to było. Nie będziemy wyciągali z grobu nieboszczyków. Lepiej chodźmy. Po drodze dowiem się reszty.

Nienazycki wstał i, nałożywszy kapelusz, czekał chwilę aż Kocio dopełni toalety przed lustrem. Po chwili obaj wytworni i eleganccy wyszli na ulicę, pełną gwaru i brzęku tramwajowych dzwonek. Nienazycki kiwnął łaską na dorożkarza, który zajął z takim szykiem, że o mało nie roztratował jakiegoś staruszka, który wszystkim trzem pogroził kijem.

— Dokąd pojedziemy? — zapytał Nienazycki — bo mnie wszystko jedno.

— Jeżeli tak, to do Lijewskiego, — rzekł Kocio. — Będzie tam Krasanow, od którego może mi się uda pożyć z tysiąc rubli.

Dorożka pomknęła z głośnień przestrogi dorożkarza, który co kilka chwil krzyczał „na bok!”, jakgdyby chciał się ustawicznie przypominać swoim pasażerom.

— Więc jak to jest z tą „komandytową spółką?” — zapytał nagle Nielecki. — Właściwie bowiem do tej pory nie wiem, co to za interes, który chciałeś mi zaproponować.

— Bardzo prosty — odpowiedział Nienazycki spokojnie. — Prostu chcę ci zaproponować wejście do spółki na miejsce Bamberga.

— Mnie? — zawołał ze zdziwieniem Nielecki.

— Tobie!

— No przecież wiesz, że nie mam ani grosza. Nienazycki objął go swoim chłodnym wzrokiem i rzekł z naciskiem:

— Ty pieniędzy nie potrzebujesz, od pieniędzy będzie Villard.

— A ja od czego będę?

— Od reprezentacji! Musi być kilku ludzi. Dyzio dał 30.000, ale figurować nie może, zresztą z tych pieniędzy już nic niema; 10.000 poszło na małe wydatki, a reszta się rozlała. Właśnie pieniądze Villarda uratują sytuację, gdyż to fikcyjne kupno można zamienić na rzeczywiste. Niech da tylko miljon, to zrobimy interes lepszy niż trzydzieści trzy passy Bamberga. Rozumiesz?

Nielecki zamyślił się, pogwizdując z cicha.

— Gruba gra, — rzekł po chwili. — Tak między nami mówiąc, „komandytowa spółka” groszem nie pachnie, a te wszystkie papiery — to arcydzieło kapitana z Köpenicku.

— Na razie. Wiem napewno jednak, że można to wszystko kupić naprawdę. Zresztą... Kto nie ryzykuje...

— Ten nie siedzi w kryminale... — dokończył nie bez melancholji w głosie Nilecki. — Tak przynajmniej bywa często. Zresztą trzeba się nad tem namysleć, bo mimo wszystko, nie chciałbym wpaść tak, jak Bamberg — albo gorzej.

Stanęli przed restauracją, nad której wejściem jaśniała elektryczna lampa. Oddali kapelusze i laski szwajcarowi i weszli na salę, tonącą w blasku elektrycznych lamp i zielonych krzewów, któremi udekorowana była cała restauracja.

Usiadłszy przy stoliku, Nienazycki zadysponował kolację, kazał przynieść koniak i zakąski, poczem nachylając się w stronę Nileckiego, ścisnął go za rękę.

— Kociu! odwagi, — zawołał pod naporem wewnętrznej radości. — Wszystko będzie dobrze, tylko śmiało.

— Śmiało, dobrze, ale nie bez przytomności, bo można wpaść tak, że...

W tem miejscu machnął znacząco ręką i roześmiał się nieco sztucznym głosem.

— Już wierz mi — odpowiedział Nienazycki. — Jutro bezwątpienia będzie u mnie Villard, poproszę go na wieczór i poznasz go sam. Bardzo sympatyczny — dodał ze złośliwym uśmiechem. — Wypuszczam na niego przedewszystkiem Nunę. Wiadział ją na jakimś filmie i szalenie mu się podobała. To ułatwi całą sprawę. Nieprawdaż?

— Tak... bezwątpienia, — rzekł jakimś nie swoim głosem Kocio. Nienazycki, nie zauważywszy tego, ciągnął dalej:

— Jestem obecnie trochę „na bakier” z Nuną, ale potrafię ją ułagodzić. Jeżeli ona zgodzi się wejść do „spółki” z nami — sprawa wygrana. A że zgodzi się, to wiem napewno!

Zaśmiał się z zadowoleniem i wyciągnął rękę z kieliszkiem, który kelner nappełnił koniakiem.

— No Kociu! — Na pomyślność!

— Czyja? — zapytał Nilecki nie bez pewnej złośliwości w przymrużonym oku.

— Naszą naturalnie!

— Wspólników „Komandytowego Towarzystwa do eksploatacji lasów”?

— I przyszłych kapitałów.

— Oby zawsze trafiały do naszej kieszeni, dokończył Nilecki, wybuchając śmiechem. Chociaż powiadam się o jedno.

— O co?

— O to, że jeżeli wszystko zależy od twojej żony — to w takim razie i od Białonoga. A wiem, jakie to bydlę... Gdyby nie jego zeznania, nie wpakowanoby Bamberga napewno.

— Och, nie obawiaj się. — Już potrafię sobie z nim poradzić, zawołał Nienazycki — marszcząc brwi.

— Za często z nią chodzi. — Wczoraj słyszałem złośliwy żarcik, że widocznie Białonóg otrzymał nowy spadek, skoro ty pozwalasz mu afiszować się ze swoją żoną.

— Co? kto to powiedział? — zapytał Nienazycki błędnie... Odstawił kieliszek i utopił swe zimne spojrzenia w oczach Nileckiego.

— Kto to powiedział? powtórzył pytanie, zaciskając ręce.

Nilecki zmieszał się trochę, widząc zatem jego szczere oburzenie i wściekłość, która wyzierała z jego bladych oczu — rzekł pojednawczo:

— Daj pokój. — Niepotrzebnie ci powtarzam. Ot tak mi się zapewne wyrwało.

— Ale powiedz, kto! zawołał Nienazycki. Dam mu w pysk, gdziekolwiek go spotkam. Słowo ho-

noru ci daję, skopię nogami jak psa! — mówił drżącym głosem, uderzając zlekka dłonią po białym obrusie.

— No, tem bardziej nie powiem, bo nie lubię awantur między przyjaciółmi.

— Jakimi przyjaciółmi — zawołał Nienazycki jeszcze bardziej się unosząc. — Ja przyjaciół nie mam. Miałem kiedyś, ale nie teraz. — Dzisiaj mam tylko dwóch ludzi, w których życzliwość wierzę: ciebie i Dyzia.

— No, ja nie powiedziałem tego — to wiem, bo sam ci to mówię, rzekł Nilecki pijąc komi. Zresztą zamiast się odgrażać, napij się lepiej — i daj spokój całej tej sprawie.

— Dam mu w pysk, chociażby to nawet był Dyzio — rzekł Nienazycki, podnosząc kieliszek do ust.

Nilecki rzucił na niego niedostrzegalne spojrzenie, pełne pogardliwej ironji. Kiedy Nienazycki postawił kieliszek, twarz Kocia była pełna spokoju i pogody.

— Jeżeli ostatecznie chcesz, to ci powiem. Ale o ile dasz mi słowo honoru, że nie tylko nie dasz mu po gębie, ale nawet nie pozwolisz poznać po sobie, że wiesz o tem.

— Dobrze, daję ci słowo honoru! — zawołał z pełną skwapliwością Nienazycki.

Nilecki spojrzał na dno kieliszka, nalał komiaku i podnosząc go do ust — rzekł od niechcienia;

— No więc się dowiedz, że właśnie Dyzio to powiedział.

— Sękorzewski? — zapytał Nienazycki ze zdumieniem.

— Tak...

— No, to głupstwo — rzekł po chwili z uśmiechem pan Tomasz, rozpogadzając twarz. Ten degenerat, ktoby go brał na serjo... On gada, co mu ślina na język przyniesie i każdy wie o tem. Myślałem rzeczywiście, że ktoś inny. Dyzio!... cha, cha, cha! — powtórzył, śmiejąc się serdecznie. Ten cymbał opowiada przecież niestworzone rzeczy. Któregoś dnia tłumaczył moim gościom po pijanemu, że powinienem siedzieć w więzieniu, ponieważ kiedyśmy byli w Paryżu, ukradłem mu z portfelu 10,000 franków,

— A to nieprawda? — spytał dobroduszenie Kocio.

W szarych oczach Nienazyckiego zapalił się błysk jak refleks światła na wyostrzonym nożu, i zgasł niezwłocznie.

— No, nie bądź taki dowcipny — rzekł poważnie.

— Powiedz mi lepiej, czy zgadzasz się wejść do spółki — czy nie?

Nilecki zawahał się. Siedział wpatrzony w brzeg kieliszka i myślał. Po chwili podniósł swoje ładne oczy na Nienazyckiego i rzekł cicho, jakgdyby się usprawiedliwiając:

— Goły jestem.

— No też właśnie. Zarobisz grubo! — rzekł Nienazycki ciepłym głosem. Nie masz co się namyślać, w ostateczności zwalisz wszystko na mnie.

— No... więc dobrze! — rzekł po chwili Kocio. Jak wisieć to za obie nogi. Niech będzie komandytowa spółka.

Twarc Nienazyckiego zajaśniała pogoda.

— Doskonale. Zatem daj rękę — i pijmy na pomyślność.

Obaj panowie uściskali swoje prawice.

Taki jest zwyczaj, że ludzie zazdroszczą tym, którzy potrafią odjąć sobie nieco lat w wyglądzie zewnętrznym, co jak wiadomo, jeżeli chodzi o kobiety, jest najważniejszym zagadnieniem ich życia. Kobieta, która, mając lat czterdzieści, wygląda na trzydzieści, jest przedmiotem zazdrości nawet tych kobiet, które posiadają o dziesięć lat więcej, niż mówią to ich wdzięki. — Ludzie pragnęliby zachować czarowną młodość do lat najpoważniejszych czemu doprawdy niepodobna się dziwić, zważywszy na te wszystkie przywileje i uroki, które przynosi młodość, a które gasną równocześnie z latami. Zwłaszcza kobiety nie chciałyby się starzeć nigdy. Dla kobiety starość jest większym dramatem, niż dla króla strata tronu.

Jest to zresztą coś bardzo pokrewnego z sobą. I tu i tam bowiem z wyżyn panowania schodzi się siłą faktu do stanowiska plebsu. — Ze stóp tronu, do poziomu tłumu.

Nuna Miron była piękna, miała ciemno-szafirowe oczy w obramowaniu długich czarnych rzęs i włosy koloru zboża. Jej cera matowa, jakgdyby objęta różowym obłoczkiem, ciało gładkie jak jedwab, pełne biodra i śliczne nogi, cienkie w kostce, a kształtne wyżej. Jej leniwy a jednocześnie lekki chód rozpalał wyobraźnię i wiodł za sobą korowód słów pełnych uwielbienia, zazdrości i pragnień. — Istnieją kobiety, których obecność między nami zdaje się być usprawiedliwiona jedynie tym podziwem, jaki wzbudzały niegdyś rozkoszne hetery starożytnej Grecji. Zarówno jednak one same, jak i ów podziw uległ zrozumiałej modernizacji.

Nie mniej jednak do takich kobiet właśnie należała Nuna Miron mimo swych lat czterdziestu,

które oficjalnie nosiły nazwę trzydziestu dwóch. — Piękna aktorka umiała tak powiedzieć tę niezbyt przyjemną dla siebie cyfrę, że i w te trzydzieści dwa lata nikt nigdy nie chciał uwierzyć.

Niestety jednak Nuna wiedziała najlepiej, że tak nie jest, z tą tylko różnicą, że odejmowała sobie ośm lat, które rosły z każdym cyknięciem sekundowej wskazówki. Często też leżąc na kozetce w swoim buduarze, patrzyła długo melancholijnym wzrokiem na białą tarczę zegara, który cykał, szepotał, mówił swojemi małemi lśnjącymi drucikami, o przemijającym wieku piękności, o dniach słodyczy opadających, jak liście z jesiennego drzewa i o niej samej, która, podlegając ogólnym prawom natury, zmieniała się z dnia na dzień, z roku na rok — idąc wolno, lecz stale do chwili, kiedy ze wszystkiego co było pięknem jej młodości, zostanie tylko wspomnienie.

Nuna takich chwil nie lubiła i broniła się przed niemi, tak samo jak przestała lubić chwile zasiadania przed lustrem, które jeszcze kilka lat temu przejmowały ją radością. — Wówczas budziła się ze snu, jakgdyby skąpiana różowym blaskiem wschodzącego słońca. Na białej skórze policzków kwitły różane rumieńce, a krwiste wargi drżały w uśmiechu, jak dojrzałe wiśnie wśród koronek młodych liści. — Teraz mimo niezwyklej starości i świetnych zdolności dr. Kossa, który specjalnie zajmował się jej urodą, mimo elektrycznych masażów i kilkunastu słoiczków z maściami, mimo diety i „regime'ów”, mydeł leczniczych i nieszkodliwych pudrów — pod oczami, w zgięciu ust i w kącikach nosa, niby ręką szatana malowane, powstawały niedostrzegalne zgięcia i fałdeczki, rysy czy zmarszczki niewidzialne, a jednak istniejące — i nie tylko istniejące, ale zmieniające wyraz jej twarzy tak

lekko i nieznacznie, że niepodobno było uchwycić przyczyny, która czyniła te zmiany, niestety rzeczywiste.

Nuna wiedziała dobrze, że wchodzi w okres czasu, kiedy nauka i sztuka stają się bezsilne wobec przyrody. Czasami przypatrując się swojej twarzy tak pięknej i pociągającej, miała wrażenie, że poza powłoką tej atlasowej skóry ukrywa się inna twarz rzeczywista, o żółtej barwie i obwisłych fałdach. Zdawało się jej, że widzi siebie za lat dziesięć, kiedy będzie miała lat pięćdziesiąt, wyglądając na czterdzieści. Wtedy obejmował ją taki strach, że miała ochotę potłuc wszystkie lustra w całym domu, gdyż bała się, że pewnego razu, spojrzawszy w lustro, zobaczy siebie bez złudy trzydziestu lat, ale w sprawiedliwym stosunku do swych lat czterdziestu. Każdą też zmarszczkę, choćby najmniejszą, długo oglądała rano, rozciągając palcami i gładząc, jakgdyby błagała ją o zniknięcie, chociaż nienawidziła jej całą duszą. Była to dla niej męka straszliwa, z którą tała się przed wszystkimi, z wyjątkiem dr. Kossa, który coraz to nowsze wymyślał lekarstwa i bardziej skomplikowane masaże.

W dniu, w którym spodziewała się wizyty Villarda, poświęciła na swą toaletę więcej czasu. Poprzedniego dnia położyła się wcześniej spać, gdyż sen doskonale wpływał na świeżość cery — i jasność zrenicy. Przebudziwszy się, kazała sobie podać śniadanie do łóżka i pijąc kakao, rozmyślała nad przypuszczalną wizytą Roberta. Chodziło jej bardzo, aby dnia tego wyglądała korzystnie i mogła olśnić go zarówno wdziękiem jak i urodą. Spojrzawszy w lustro i obejrawszy starannie swoją twarz, stwierdziła z zadowoleniem, że był to jej „beau jour”. Wczorajsza nowa, prawie niedostrze-

galna zmarszczka, cienka jak włos, znikła zupełnie.

Zmarszczka ta ukazywała się wówczas, kiedy śmiejąc się jednocześnie marszczyła brwi, co czyniło pełen uroku i wdzięku żartobliwy grymas. Umiała to robić świetnie, nauczywszy się tego od pewnej baletnicy, tańczącej na hościnnych występach, jeszcze wówczas, kiedy sama jako kopciuszek baletu brała kochanków z pomiędzy studentów. Wczoraj jednak zauważyła z przerażeniem, że grymas ten, który kiedyś szalenie się wszystkim podobał, wywołuje maleńką fałdeczkę między skrzydełkiem nosa, a lewym kącikiem ust. Zaprzestała więc natychmiast i odrzuciła ze wstrętem lustro od siebie. Dzisiaj stwierdziła, że fałdeczka znikła, jakgdyby jej nigdy być nie mogło w tem miejscu. Przeciwnie, nawet oddawna istniejące maleńkie zmarszczki pod oczyma zmały i stały się z oddalenia półlokciowego niedostrzegalne. Nuna wpatrywała się z zadowoleniem w swoją twarz, pełną życia i pogody. „No, dzisiaj istotnie wyglądam na lat trzydzieści” — rzekła półgłosem. — „Mam oczy pełne blasku, widocznie te krople, które wzięłam wczoraj, pomogły”. — „A usta”?...

Dotknęła brzuszkami palców swych warg i oblizała je końcem języka. — „Trochę za blade — ale zdrowe” — rzekła. — „Nie ma najmniejszego załamania. Cera świeża. Cielęcina świetnie robi. Dobrze, że nie wszystkie kobiety o tem wiedzą. W każdym razie „dr. Kosmetykos” — wart jest pochwały”.

Myśl o dr. Kossie, którego Kosmetykosem nazywał Nienazycki, przypomniła jej męża. Nuna mimowoli spochmurniała i położywszy na atlasowej kołdrze lustro, zamysliła się.

— „Czy ja nie za wcześniej wysłałam za męża za tego łobuza” — pomyślała z tem samem co zawsze rozżaleniem. — „Gdybym poczekała jeszcze pięć lat, nicby się nie stało.”

W tej chwili zapukano do drzwi i weszła pokojówka. Była to miła dziewczyna, nie zbyt ładna ale i nie brzydka. Białe fartuszek i biała kokarda muslinowa we włosach nadawała jej charakteru powiechności.

— Co się stało? — spytała Nuna dosyć niechętnie.

Pokojówka zbliżyła się do łóżka i rzekła poufale przyciszonym głosem, z właściwością wtajemniczonych we wszystko pokojówek.

— Hrabia Dyzio siedzi w salonie i prosi, żeby go pani przyjęła.

— Ależ ja leżę w łóżku — zawołała Nuna, marszcząc brwi. — Czy powiedziałas mu o tem?

— Owszem, powiedziałam, że pani jeszcze leży w łóżku, a pan hrabia powiedział na to, że: „tem lepiej”.

Usta Nuny wymamrotały jakieś złowieszcze wyrazy. Pokojówka stała wyczekująco, a Nuna namyślała się najwidoczniej, co uczynić. Naraz zapytała też przyciszonym głosem, jakgdyby bała się, aby jej gość siedzący w salonie nie usłyszał.

— Pan w domu?

— Nie, wyszedł — odpowiedziała tym samym tonem pokojówka.

— Dawno?

— Nie. Może pół godziny temu.

— Nuna znów się zamyśliła, poczem wskazała ręką na toaletę.

— Daj mi szkatułkę i potrzymaj lustro.

Pokojówka zgrabnie i szybko wykonała rozkaz. Nuna otworzyła szkatułkę napełnioną toaleto-

wemi przyborami. Przesunęła po twarzy puszek, zwilżyła usta jakimś płynem i lekko przyciemniła brwi. Pokojówka, trzymając lustro, wpatrywała się w nią z zachwytem, wreszcie rzekła:

— Cudownie pani dziś wygląda.

Nuna nie odpowiedziała nic. Uśmiechnęła się tylko nie bez cienia melancholji, przypomniawszy sobie niezwłocznie, że dawniej słyszała pochwały tak samo brzmiące z wyjątkiem słowa: „dziś”. Dawniej pokojówki mówiły zazwyczaj:

— „Jak pani cudownie wygląda”.

Albo:

— „Jaka pani zawsze cudowna”.

Oddała jej lustro, rozstała kilka kropel l'Origanu na głoniach i rzekła:

— Poproś pana hrabiego, niech wejdzie.

Pokojówka odeszła, Nuna poprawiła poduszki i uporządkowawszy koronki i hafty nocnego stroju, przesunęła ręką po czole. Chciała odsunąć od siebie złe i chmurzące jej twarz myśli, poczem przybrała wyraz, któryby można było nazwać „rozkapryszoną melancholją”.

Po chwili rozległo się lekkie pukanie i do sypialni wszedł mężczyzna lat pięćdziesięciu kilku, z ogromną łysą głową, podobną do melona. Opierał się na lasce, która pomagała mu chodzić, gdyż mimo okrągłej twarzy hr. Sękorzewski robił wrażenie człowieka, z którego wypompowano krew. Twarz miał bladą z podkrążonemi oczyma, usta natomiast przypominały dwa wąskie paski wykrócone z sienie wątroby i położone na plasterku cieleciny. Wszystko to razem czyniło jego fizjonomję opłakaną, pół-martwą, pozbawioną życia — tembardziej, że oblicze ordynata było w tej chwili na chmurne, czego jednak można się było raczej domysleć z fałdów zmarszczek na czole, niż z wy-

razu oczu, które pozbawione rzęs i brwi patrzyły obojętnie.

Nuna, która sama przybrała wyraz twarzy kapryśny i melancholijny, widząc go, tak rozłoszczono, co oznaczało jednocześnie najwyższe oburzenie, z widocznym wysiłkiem, zmieniła taktykę, bo wyciągnawszy do niego ręce, jak do umiłowanego przyjaciela, krzyknęła z radością:

— Ach, Dyzio, Dyziuniu! Chodź, chodź skarbie nadęty! Chodź prędzej!

Hrabia zamiast skorzystać z tak miłego zaproszenia, skinął głową, przyclapał się do łóżka i pocałowawszy ją w rękę, usiadł na miękkim krzeselku.

— Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? — zapytała Nuna po małej chwili, udając, że nie spostrzega jego chłodnego przywitania. Nie mogłeś już bezemnie wytrzymać? Stęsknił się ordynat. Sękorzewski wyjął chustkę z bocznej kieszeni, przetarł jedno bardziej łzawiejące oko i chowając ją z powrotem — rzekł z naciskiem:

— Tak. Nie mogłem wytrzymać.

— Co za zaszczyt, jaka radość — zawołała nie bez złośliwej ironji. — A ja przeciwnie, myślałam, żeś już o mnie zapomniał.

Hrabia spojrział na nią z oburzeniem i wywał lewą wargę, czego się nauczył z jednej w swoim życiu czytanej powieści, o księciu Radziwille „Panie Kochanku”.

— No, uważam, że nie masz słuszości żartować, moja Nuno — rzekł chłodno. — Bo gdybym nawet starał się o tobie zapomnieć, tobym nie mógł.

— Tak mnie kochasz? — szepnęła ironicznie. — O moje winogronko kochane! Wiedziałam, że to niemożliwe, abys o mnie zapomniał!

— Wcale nie dla tego ma foi — odpowiedział spokojnie hrabia. — W tej chwili nie mówię o miłości.

— A o czym?

— O tym skandalu, który urządzasz.

W oczach Nuny zapalił się płomień krótki jak błyskawica.

— Ja urządnam skandal? — zawołała z takim oburzeniem w głosie, że aż hrabia spojrział na nią niespokojnie. — Jaki?

— Cała Warszawa o tem mówi!

— Jaka Warszawa? Od Loursa i Bristolu! Czyli 100 próżniaków i plotkarzy! — E... daj mi spokój, bo to śmieszne! — Ja urządnam skandal? Ja, która nigdzie z domu na krok się nie ruszam! Ja, która żyję jak zakonnica w tym domu, ja, która nie szukam żadnych znajomości. — Nie, to doprawdy oburzające! — I ordynat, to jeszcze powtarza? To niesłychane!

— Zapewne, że niesłychane mon enfant — żeby kobieta taka jak ty, kobieta pierwszej klasy, kobieta, którą, o ile sobie przypominasz, potrafiłem uchronić od degradacji — żeby taka kobieta afiszowała się po drugorzędnych knajpach z jakimś Białonogiem. Nie, c'est un scandal dans le milieu du beau monde. — To nie tylko mnie obchodzi, chociaż mnie przedewszystkiem! — odpowiedział hrabia, mierzając ją zimnem spojrzeniem.

— Ależ hrabio! — zaczęła perswazyjnym tonem Nuna, kto słyszał brać pod uwagę plotki.

— To nie są plotki, o pardon, ma chere, to nie plotki. — Wielu ludzi widziało cię z nim razem. — To nie plotki — skrzeczał Sękorzewski swoim skrzypiącym głosem. Gdyby to były plotki, jabym pierwszy nie zwracał na nie uwagi, ale, niestety, to prawda. — Od kilku osób słyszałem, a ci, którzy domyślają się, co nas łączy — uśmie-

chali się ironicznie. To dla mnie bardzo przykre, moja Nuno! — Ty nie masz prawa wymagać, aby ktokolwiek patrząc na mnie, uśmiechał się ironicznie.

— Ależ ja tego nie wymagam, panie hrabio, cóż znowu — jakżebyś śmiała — odpowiedziała wzruszając ramionami.

— A jednak tak było. — Spotkałem Wirchowskiego, tego szlagona, co gwałtem udaje arystokratę — i mówił mi o tobie. Śmiał się! ma foi śmiał się! Chciałem mu dać w pape, ale przypomniałem sobie, że podobno okradł moje pasierbice. — Dałem spokój!

— Więc czego hrabia chce odemnie? — zapytała Nuna, maskując wzburzenie sztucznym spokojem, który pokrył jej piękną twarz bladością.

— Czego ja chcę? — powtórzył Sękorzewski — och, ma petite — jak się możesz o to pytać. Ty wiesz najlepiej! Chcę i wymagam wierności. Nie powinnaś zapominać o tem, że się kochamy! — Nuna objęła wzrokiem jego skurczoną figurę, siedzącą nieszczęśliwie na fotelu i niedostrzegalny uśmiech pogardy przesunął się po jej ustach.

— No, ja przecież o tem pamiętam, rzekła łagodniej nieco, odsuwając jednak głowę, by nie zobaczył nienawistnego wyrazu jej oczu.

— Więc nie zdradzaj mnie tak z tym Białonogiem — zawołał hrabia płaczliwie. Ja nie rozumiem, co robi ten twój mąż, do diabła. Przecież powinien mieć tyle delikatności, żeby zrozumieć, dlaczego pozwoliłem mu się z tobą ożenić! — A nawet sam to małżeństwo popierałem — dodał po chwili.

— Och, hrabio — jesteś cokolwiek za otwarty, rzekła Nuna, przeszywając go ostrem spojrzeniem.

— No przecież jesteśmy sami — szepnął Sękorzewski, mimowoli zniżając głos. — Twoja pokojówka chyba nie podsłuchuje pode drzwiami.

— Tu nie chodzi o pokojówkę, ale o mnie — zawołała aktorka podrażnionym tonem. Są rzeczy, które się mówi głośno, a są rzeczy, o których nie mówi się wcale! Ukrywała swoje wyraźne podniecenie pomimo pozornego spokoju, którym starała się opanować wzburzenie.

Hrabia jednak był tak pewny swej słuszności, że nie śpieszył się z przeprosinami, co zwykle czynił, gdy widział ją zbyt podrażnioną. Przeciwnie, zrobił zdziwioną minę i wzruszył ramionami. Ten gest, który Nuna zauważyła, jeszcze bardziej wytrącił ją z równowagi.

— Dlaczego hrabia wzrusza ramionami? — spytała przymrużając oczy. Czy to, co mówię, jest takie głupie? takie dziwne? takie bez sensu? Co? Trzeba aż wzruszać ramionami wtedy, kiedy uczciwa kobieta oburza się na te wszystkie łajdactwa i świństwa, które się dzieją sto razy na dzień?

— Co? co? co? wymamrotał Sękorzewski, jakgdyby nie rozumiejąc — łajdactwa? świństwa?... Co?... Zaczynasz mówić swoim zakulisowym językiem.

Doprawdy...

Uśmiechnął się niespokojnie i niewiadomo dlaczego machnął ręką, chociaż ten ruch nie oznaczał ani lekceważenia, ani protestu.

— No, to tak! — zawołała Nuna siadając na łóżku. — Powtarzam raz jeszcze, że są rzeczy „które się mówi głośno, ale są i takie, o których się nie mówi wcale”.

— Ale są jeszcze i takie, których się nie robi, moja droga Nuno, rzekł z naciskiem hrabia, z trudnością zakładając nogę na nogę. — Ja właśnie po

to przyszedłem do ciebie tutaj, żeby ci powiedzieć, że ja wiem o wszystkim.

— O czym? o czym!

— O wszystkim. — Ten Białonóg stoi mi kością w gardle. Uważam, że już dosyć jest tej zabawy, z tym hołyszem, który kompromituje i ciebie i mnie!

— Ach panie hrabio — rzekła piękna artystka, patrząc na niego przez cienkie szpareczki zamkniętych oczu. Pan hrabia zapomina, że ja się nazywam Nuna Miron i mam oficjalnego męża, który też uważa za właściwe robić mi podobne awantury.

— Właśnie uważam, że zaniedbuje swoje obowiązki w tym kierunku — rzekł Sękorzewski, wyjmując drżącymi rękoma papierosnicę. — Wszystko ma swoje granice moja Nuno. — Powinnaś zrozumieć, że i moja tolerancja też nie może przechodzić tych granic, poza którymi znajduje się tylko śmieszność.

Ty zresztą wiesz, że ja, — tu hrabia spojrzał na drzwi i zniżywszy głos, dodał prawie cicho — mam do ciebie prawo nie mniejsze od tego, twego męża, który powinien być tylko figurantem. — To bardzo nieprzyjemnie jest przypominać ci moja Nuno, ale nie zapominaj, że tyle weksli, które płaciłem za niego — no i chociażby te 30.000 które dałem na ten interes, a i to wszystko razem, co stanowi mój stosunek do ciebie Nuno, jest poważniejsze chyba od Tomasza i tego Białonoga! — Och to bardzo przykre, że ty zapominasz o tem, że od tylu lat jestem ci wierny i przywiązany, że nie cofam się przed żadnymi obowiązkami.

I w tem nagle Białonóg! Białonóg mój rywal! — To zabawne! To okropne. — Na razie nie chciałem wierzyć, — ale rzeczywiście to nie plotki!

Nie plotki! — Prawda! — Białonóg wdziera się w moje prawa i zabiera mi serce mojej Nuneczki. To bolesne!

Nuna patrzyła na jego wzburzoną twarz, która pod wpływem wzruszenia poblądła. Ręka hrabiego oparta na łasce drżała, a papieros w ustach dygotał, jakgdyby Sękorzewskim trzęsła febra.

Powtórzył jeszcze kilka razy: „To bolesne” i zaczął strzepywać prztykami jakiś niewidzialny pyłek leżący na spodniach.

— „Boże, co to za okropna mała” — pomyślała Nuna, patrząc z obrzydzeniem na jego łysą głowę i zdegenerowane, przyrośnięte uszy. Głośno zaś rzekła:

— Kiedy ty za gorąco wszystko bierzesz, Dyziu, jak Bożę kocham, to wszystko nieprawda.

— Co nieprawda? — powtórzył hrabia, zwracając na nią swoje spłowiałe oczy. Nieprawda, że cię z nim widzieli?

— Nie, to prawda, bo rzeczywiście kilka razy byłem z nim w teatrze i na kolacji, ale nie prawda, że się nim interesuję.

— Nieprawda? — szepnął hrabia głosem, w którym można było wyczuć rodzącą się nadzieję pogodnego zakończenia sprawy. — Więc ty się w nim nie kochasz?

— Ja w nim? — zawołała z oburzeniem Nuna. — Co znowu ci przyszło do głowy? Ja w Białonogu? — wzruszyła ramionami, targając jednocześnie brzeg koronkowego rękawka. Opadła na poduszki i z oczami utkwionymi w suficie leżała długą chwilę, nie mówiąc słowa.

Sękorzewski też milczał, patrząc na nią wyblakłymi oczami, podobnymi do dwóch grudek sera. Późem wstał i opierając się na łasce, podszedł do jej łóżka. Usiadł na atlasowej kołdrze i poufale

wziął ją za rękę wyżej kłści. Twarz Nuny przybladła nieco. Jej piękne oczy spadły w spojrzeniu zmienionem i jakgdyby zamglonem na jego twarz żółtą i zmiętą, podobną do spłowiałej szmaty.

— „Przekłeta niech będzie twoja godzina, ty stary trupie, ropucho, wrzodzie” — pomyślała nagle z nienawiścią, odwracając wzrok. — „Jeżeli poważasz się mnie pocałować, plunę ci w twarz”.

Hrabia nachyliwszy się nieco nad nią, spytał przyciszonym głosem.

— Więc kochasz mnie Nuneczko? zawsze jednakowo?

— Tak — odpowiedziała przez zaciśnięte zęby.

— I nie będziesz mnie zdradzała? prawda?

— Niel — odpowiedziała tym samym głosem.

— Pocałuj mnie — wymamrotał Sękorzewski jakimś zmatowanym głosem. — Pocałuj! Chcę odczuć twoją szczerość.

Ona wzdrygnęła się niewidocznie.

— „Bodaj cię ogień strawił” — pomyślała z nienawiścią, podnosząc jednak leniwie rękę do góry.

Hrabia drżącymi rękoma pomógł białym ramionom owinać się koło swojej szyi. Przysunawszy twarz do jej twarzy, mówił ustami przy ustach:

— Ja wiedziałem, że to kłamstwo. I przecież nie mogłabyś tak nikczemnie ze mną postąpić. Za tyle dobra, prawda Nuneczko! Ty wiesz, że do końca życia będziesz miała dobrze. Zapisalem ci 200.000, ty wiesz o tem! Nuneczko! Ty wiesz! Ty jesteś moja, prawda?... Moja... Pocałuj mnie. Albo nie ruszaj się. Ja ciebie pocałuję.

Piękna kobieta leżała nieruchomo jakgdyby umarła. Jej białe ręce rzucone bezwładnie drgały lekko, a odchylone usta, gdyby nie były pomalowane — przerażałyby bladością.

— „O Boże, co za męka” — myślała, zaciskając powieki, aby nie patrzeć na nachyloną, żółtą twarz hrabiego, — „Och, żebyś ty już raz zdechł i przestał mnie męczyć. Ty podłe, głupie zwierzę. Nie, zwierzę to za mało. Każde zwierzę jest szlachetniejsze od takiego polamańca”.

W tej samej chwili uczuła na swych ustach zimny, wilgotny plaster jego warg. Dreszcz wstrętu przebiegł jej ciało i targnął jak rękoma. Uczuła rozlewające się po całym ciele mdłości.

— Pocałuj mnie — zaszemrał głos przy jej uchu. — Uściśnij. Jeżeli Białonoga nie kochasz i nie będziesz mnie zdradzała, będę dla ciebie dobry. Mów czego chcesz! Dam. Ma foil Dam! Zrobię, co zechcesz.

— „Zdechnij” — wyszeptwała w myśli, wpijając paznokcie w atlas kołdry. — „Zdechnij na trąd, na dżumę, na co chcesz... tylko zdechnij”.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Hrabia usiadł dyskretnie na łóżku i tonem pełnym irytacji rzucił pytanie:

— Kto tam?!

— To ja, przynieśli kwiaty! — odezwał się głos pokojówki.

— Odejdź, odejdź Dyziu — zawołała pośpiesznie artystka. — Usiądź na krześle.

Hrabia wstał, stęknawszy. Do pokoju weszła pokojówka, trzymając w rękach ogromny pęk purpurowych róż.

— A to od kogo? — zawołał Sękorzewski, obrzucając kwiaty nienawistnym spojrzeniem.

— Nie wiem, jest list, — odpowiedziała dziewczyna, rzuciwszy hrabiemu lekceważąco-pogardliwe spojrzenie.

Nuna usiadła na łóżku, wyciągnawszy ręce po kwiaty. Otrzymałszy je, utonęła twarzą w pachną-

cych, różanych pąkach, na których drżały jeszcze małe kropelki wody.

— Cudowne, cudowne — szepnęła, poczem, opuściwszy je na kolana, zaczęła czytać list gorączkowo, z wyraźnem zaciekawieniem.

„Szanowna Pani!

„Będąc zaproszonym przez Szanownego męża Pani, ośmielię się dzisiaj złożyć Im wizytę. Mam nadzieję, że Pani raczy wybaczyć natręctwo wielkiemu wielbicielowi Jej talentu, lecz będąc jeszcze zagranicą, miałem sposobność zachwycić się Panią. Pozostaję pełen szacunku

Robert Villard.”

— Od kogo? — spytał hrabia skrzeczącym głosem.

Nuna opadła na poduszki, nie odpowiedziałszy nic.

— „Villard, Robert Villard — jak to ładnie brzmi — pomyślała — W tem imieniu i nazwisku jest coś romantycznego, coś niepowszedniego... coś nie z dzisiejszych dni. — Villard!”

— Od kogo ten list? — powtórzył z naciskiem Sękorzewski. — Zapewne od Białonoga?

Nuna nagle parsknęła nienaturalnym, nerwowym śmiechem.

— Wyobraź sobie, że nie! — zawołała. — Nie od Białonoga. Białonógby się na to nie zdobył!... Ten list i te kwiaty są od człowieka, którego i ty nie znasz i ja też. Nikt go tu jeszcze nie zna! Przyjechał kilka dni temu.

— Któż to taki? — rzucił pytanie hrabia, udając obojętność.

— Robert Villard! — odpowiedziała piękna kobieta takim tonem, jakgdyby ukrywała wielką tajemnicę zawartą w tem nazwisku.

Hrabia chwilę milczał, przeżuwając jakieś myśli, poczem podniósł się i stanął nad nią, opierając się mocno na lasce. Jego spłowiałe oczy wyrażały teraz groźbę.

— Nuna — rzekł przytłumionym głosem. — Ja widzę, że ty jesteś niepoprawna. Ja czuję, że po Białonogu nastąpi Villard, i chcę ci dać możliwość wyboru. Nie między Białonogiem i Villardem, ale między nimi i mną.

Piękna kobieta leżała z przymkniętymi oczyma, utopiwszy białe palce w chłodnych listeczkach róż.

— Chwilami mam wrażenie, że ty mnie lubisz, — mówił hrabia — a czasami zdaje mi się, że to wszystko drwiny i kłamstwo.

— „Boże Nieśmiertelny, co za męczarnia słuchać tego wszystkiego — myślała Nuna. — Ja go mam lubić. Lubić tego żółtego trupa, tego płaza, tę zgniłą rybę... Czy on nie rozumie, że jest ohydny, stary, obrzydliwy?... Czego on chce... miłości? Miłości człowiek, który ma tylko pieniądze. Ach! idjota!”

— Ja wiem, że już jestem stary i nie mogę sprostać tym wymaganiom, które tworzy twoja wyobraźnia. Ale i ty nie masz szesnastu lat.

— Tak, ja wiem o tem — szepnęła cicho Nuna, myśląc o Villardzie.

— No, więc tembardziej.

Hrabia patrzył na nią swojemi wyblakłemi oczyma i zdawał się tracić ciągłość swoich myśli. Kilka razy otworzył usta jakgdyby chciał coś powiedzieć, poczem zamknął je, mlasnął językiem i, wytarłszy czoło biało-żółtawą ręką, milczał. Nuna milczała również. Nie miała ochoty nic mówić,

a nawet patrzeć na niego. W duchu modliła się o to, by sobie poszedł jaknajprędzej. W tej chwili niecierpiała go i brzydziła się nim.

Nareszcie Sękorzewski zabrał się do odejścia. Wypróbował nogi, czy mu się dobrze zginają w kolanach i, oparłszy się silnie na lasce, rzekł:

— Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć, ale zapomniałem... To nic, powiem ci innym razem. Teraz tylko jeszcze raz proszę: zdala od tego Białonoga...

Ujął jej białą dłoń i podniósł do ust. Nuna podniosła z wolna ociężałe powieki i uśmiechnęła się z przymusem.

— Niepotrzebnie robisz takie historie — rzekła. — Wiesz przecież, jak jest.

Hrabia znów otworzył usta, aby coś powiedzieć i znów je zamknął, nie wydawszy głosu. Poczem, machnąwszy ręką niby z lekceważeniem, a może ze złości, wyszedł.

Wtedy łodetchnęła. Jej piękne oczy nabrały blasku i zaiskrzyły się życiem. Objęła rękoma snop kwiatów i utonęła w nich twarzą, pijąc słodki zapach róż.

— Och, Villard, Villard! — wyszeptały jej usta bezwiednie. W tej samej jednak chwili drgnęła, pomyślawszy: „Dlaczego myślę o nim? Czyżby Villard był tym, na którego czekam całe życie?”

Uśmiechnęła się smutno, opadając na białe koronki poduszki.

— Robert Villard! — powtórzyła w myśli. — Młodzieniec lat dwudziestu trzech, wytworny i miły, i młody... ach, młody — powtórzyła raz jeszcze, opuszczając powieki na rozmarzone żrenice.

V.

Tego samego dnia po południu Nuna czekała przygotowana na wizytę Roberta. Po odejściu Sękorzewskiego, który ją rozdrażnił swojemi pretensjami, jak uważała nieuzasadnionemi, przyszedł Nienazycki, z całym bagażem wskazówek, rad i próśb. Nie mówił jej nic wyraźnie, czuła jednak, że dzięki przyjazdowi Villarda zaczyna się gra wysoka, w której, siłą rzeczy, musi odegrać jedną z głównych ról. Nienazycki prosił ją, by zatrzymała dłużej Roberta u siebie, aby mógł zostać na kolacji; chciał bowiem najwidoczniej nie wypuszczać go ze swych rąk i zapomocą sutej kolacji z koniakami i winem zawrzeć bliższą znajomość, która najłatwiej przechodzi w przyjaźń przy toastach i szampanie.

Nuna zgadzała się na wszystko. Nie miała dzisiaj odwagi podnosić jakiejkolwiek kwestji, i swoim zwyczajem podrywać z zamiarów męża. Przeciwnie, była tak uległa, że aż Nienazycki się dziwił. Dopiero, sięgdy dowiedział o wizycie Sękorzewskiego, zrobił taką minę, jakby odrazu domyślił się powodu jej zgodnego usposobienia. Ona zrozumiała jednak jego ukryte myśli, które demaskowały się czasem w słabych uśmieszkach i lekkich akcentach, i odpowiadała mu pogardliwemi spojrzeniami, na które nie reagował, udając, że ich nie spostrzega.

Miedzy tymi ludźmi trwała najwidoczniej walka, podsycana niewygasającym zarzewiem pogardy i lekceważenia. Nuna niecierpała go i często w myślach nazywała go „plugawcem”, nie będąc zresztą zbyt oddaloną od istotnej jego wartości. Niemniej jednak i Nienazycki w głębi ducha swego nie cenił jej zbyt wysoko. I ona, i on wiedzieli o sobie wszystko — i chociaż wszystko przebaczyli, nic

jednak nie zapomnieli. To im pozwalało cenić siebie według danych zasług, nie szczczędzać swych ambicji w chwili sprzeczek, które wybuchały, jak przelotne gradobicia, z małych chmur. Była to raczej spółka, o której często ludzie wiedzą, lub celów się domyślają, nie chcą jednak o tem mówić ze względu na ciemny charakter tych związków. Zresztą głos publiczny jest jak kaleka, który nie ma rąk do wskazywania. Opinia, rzadko sprawiedliwa, często kłamliwa, nie lubi jednak skandalów przed czasem. Jest jak hjena, uciekająca przed żywymi po to, by wyjadać mózgi umarłym. Dlatego, chociaż bywają ludzie, dźwigający brzemię przestępstw, nikt nie poważy się wytknąć ich palcem, uważają że do tego ostatecznego ciosu ma prawo tylko prokurator, który to czyni z racji swego urzędu.

Trudno jednak zaprzeczać, że Villard szedł w matnię. Ludzie bogaci są zwierzyną, na którą polują kłusownicy, a takimi kłusownikami w życiu byli wszyscy ci, którzy cieszyli się z jego przybycia z racji jedynie jego milionów — i młodości.

Trzeba przyznać, że Nuna nie brała pod uwagę jego bogactwa. Bardzo być może, że to dziwiło ją samo, ponieważ życie, które uczyło cenić pieniądze, odarło ją ze wszelkich sentymentów. Mając lat piętnaście, kochała się w pewnym chłopcu od posyłek ze sklepu wyrobów tabaczknych. Później tańczyła w balecie i cieszyła się ogromnem powodzeniem, aż zaopiekował się nią bankier Sztral. To było jej życie. Potworność, na którą oburzają się starsze damy i panny na wydaniu, jest tak pospolita, jak błoto, które powstaje po deszczu. Zapóźno się dziwić. Zresztą, należy się temu dobrze przypatrzeć, aby wiele wybaczyć. Niepodobna winić sępa, że wydziobiuje oczy zdychającemu konio-

wi. Są ludzie, którym los, jakby się zdawać mogło, powierzył to zadanie, ku oburzeniu pocziwców, pragnących widzieć świat takim pięknym, jak się przedstawia w fantastycznych baletach lub w bajkach.

To, co najbardziej Nunę interesowało w Villardzie, to był jego wiek. Robert był młodzieńcem dwudziestotrzyletnim. Są to dla mężczyzny lata, które promieniają. Dla kobiety w tym wieku, w jakim była Nuna, młodzieniec dwudziestotrzyletni stawał się cudownym zjawiskiem, pełnym uroku młodości, tej młodości, która w niej samej bladła z dnia na dzień. Myliłby się każdy z tych naiwnych, któryby przypuszczał, że w głębi serca Nuny zatliło się jakieś uczucie z rodzaju wzniosłych tęsknot. Daleka była od tych poetyckich uczuć. Miłość, to tak czarujące dla wszystkich niemal słowo — dla niej miało znaczenie inne. Zapomniała już dawno, co zawiera wewnątrz ta kryształowa kruza, którą tak łatwo zmiażdżyć brutalnemi łapami. Miłość — to było słowo, którego nie deklinował chłopak na posyłki, kiedy wyczekiwał na nią pod bramą. Wówczas nie umieli do siebie mówić, nie wiedząc naprawdę, jak się nazywa to czarujące uczucie, pełne rozkosznych dreszczów, pragnień, śmiechów i łez. Bodaj, czy nie po raz pierwszy zapewniał ją o swojej „miłości” bankier Sztral, gdy już „zmądrzała” i zerwała idylliczne stosunki z subjektami i studentami. Ale wtedy to było już kłamstwo, tak dalekie od księżycowych schadzek i przelotnych, pełnych zawstydenia pocałunków, jak oddalonym jest grzyb, przytulony do pnia, od lotu jaskółki.

Dzisiaj, z całego natłoku wrażeń, opowiadań, rad i projektów Nienazyckiego, wyrzutów i zazdrości Sękorzewskiego — został w jej sercu jeden jas-

ny promyk, którym była młodzienczość Villarda. Chciała go poznać. Czekwała na niego niecierpliwie, nie tłumacząc sobie nawet tego pragnienia. Wiedziała dobrze, że właściwie klei się nowy „interes”, którego inicjatorem i głównym opiekunem był Nienazycki. Wiedziała również, że „interes” ten prawdopodobnie będzie Villarda kosztował drogo. Czy żałowała go? Niel Nuna nauczyła się nie nawidzieć ludzi bogatych — niszczyła ich bez litości. Przechodząc któregoś dnia ulicą, spotkała jednego ze swych dawnych kochanków, którego zrujnowała. Był to pewien eks-obywatel ziemski, który stracił dla niej wszystko, co posiadał. Oddała mu ukłon z lekkim zdziwieniem, mając mu za złe, że nie zapomniał jeszcze o swoim szaleństwie. Nie uczuła żadnego żalu, ani litości, widząc jego wyszarzaną marynarczynę i zniszczone trzewiki. Przeciwnie. Jedyne słowo, które jej się wydarło z głębi serca, było: dureń! Rzuciła to słowo w ślad za człowiekiem, któremu zawdzięczała trzy lata spędzone na zaspakajaniu kaprysów.

I dzisiaj nie roztkliwiała się nad przypuszczalnym losem Villarda. Wiedziała, że jest bogaty, wiedziała również, że wszedłszy w towarzystwo Nienazyckiego, Kocia, Olimpijskiego i wszystkich tych, którymi otaczał się jej mąż, będzie musiał zapłacić „koszta nauki”, jak się wyrażał Nienazycki. Te „koszta” płacili już inni, płacili często, nie domyślając się niczego, często przeczuwając cichą spółkę, w każdym razie nie czyniąc skandalu. Tak będzie i teraz poraz niewiadomo który. Pierwsza wizyta, cichy flirt, obawa przed zazdrosnym mężem, kolacja jedna lub druga, karty, pierwsza wygrana, kolacja, „bruderszafty”, karty — pierwsza przegrana, znów flirt, znów przegrana... wreszcie miłość... lub coś w tym rodzaju — i rozwiązanie:

obraza, wyjazd, pojedynek... i t. p. Tak bywało zawsze, tak miało być i teraz. Jeżeli w przędze starych historii wplątywały się jedwabne nici tajemniczych dreszczów, to znakomita artystka „Globus-filmu” nie szukała wytłumaczenia dalej, poza zwykłą ciekawością jego młodzienczości. Wyobrażała go sobie jako młodzieńca, podobnego do dziewczyny o białym czole i krwistych ustach. Nie widziała nigdy milionera, mającego dwadzieścia trzy lata; ci, którzy w jej towarzystwie rozporządzali dużymi pieniędzmi, byli zazwyczaj podobni do spróchniałych drągów, lub beczulek tłuszczu.

Przygotowała się też do jego wizyty z najwyższą starannością. Recepty dr. Kossa, zrealizowane w szeregu słoików z maściami i puszkami z pudrem, różem, oraz wonnemi eliksirami i odżywcze likworami, odegrały w jej toalecie pierwszorzędną rolę. Nuna, siedząc przed lustrem, delikatnemi dotknięciami palców rozcierała zmarszczki i gładziła skórę, która jakgdyby zamierała, straciwszy brzoskwiniowy puszek młodości. Ze słoików wędrowały na twarz wonne maście, rozprawdzały umiejętnie i spokojnie, barwiąc i zmiękczały niewidocznie skórę, oraz nadając jej jeszcze przed użyciem pudru barwę matową, chociaż żywą i naturalną. Czarny pył palonej róży, nasypyany w kącik łzawnicy — osiadł dyskretnie u obsady rzęs — rysując, nie wzbudzając podejrzenia linią dolną kontur oczu, które nabrały odrazu blasku i wyrazu. Pomógł im jednak niebieskawy cień, rzucony umiejętną dłonią u nasady nosa. Czarne brwi, lekko poprawione ołówkiem kompozycji dr. Kossa — obejmowały cudowną koronę lśniącej jak gwiazdy źrenice, które przy matowej, bladej twarzy Nuny błyszczały cudownym ogniem, gaszone czarnymi firankami rzęs, opadającymi na białe policzki. Pro-

bując swego kokieteryjnego grymasu, mrużyła oczy i uśmiechała się do lustra.

Pokojówka, która widziała już swą panią przygotowaną do włożenia sukni, była zachwycona. Nuna, stojąc nieruchomo, aby nie przeszkadzać Rózi w zapinaniu haftek, przypatrywała się sobie z zadowoleniem. Czasami tylko, jakgdyby lekkie ułucie w serce, przychodziła jej myśl, że lat temu dwadzieścia wyglądała zupełnie tak samo, bez opieki jednak dr. Kossa. „Za lat dziesięć, aby wyglądać na lat czterdzieści, będę musiała robić Bóg wie co” — pomyślała z jakąś utajoną nienawiścią. — Myśl ta była dla niej tak boleśnie przykra, że aby odwrócić od niej swą uwagę, zaczęła opowiadać pokojówce o swoich planach na przyszłość (zmyślonych na prędce), nad którymi nie zastanawiała się jeszcze kilka chwil temu.

— Wiesz, Róziu, mam zamiar wyjechać. Wyjechać gdzieś daleko i tak, żeby nikt nie wiedział dokąd — mówiła. Pojechałabym gdzieś zagranicę nad morze. Albo nie, w góry! Wiesz, w górach byłoby najlepiej! Wynajęłabym chatkę od jakiegoś gazdy, ubrałabym się po chłopsku i żyła tak, jak oni. — Rano wstawałabym o szóstej albo o czwartej. Razem ze słońcem, wchodziłabym na szczyty gór — stamtąd patrzyłabym słońcu w samą twarz i krzyczałabym głośno „hej-hej” — ale tak głośno, żeby echo niosło mój głos między górami, jak ryk niedźwiedzia, daleko, daleko, daleko... Albo nie — zawołała po chwili. Nie mogę chodzić po górach, to mnie męczy, pojedę gdzieś w lasy. Wynajmę mieszkanie u leśnika i będę razem z nim wędrowała po lesie, między stuletnimi drzewami i słuchała jak ptaki swiergocą, jak kwilą wiewiórki, jak dzieciół kuje w pień sosny. Czasami położę się na mchu, niby na dywanie i będę długo patrzyła w nie-

bo. — To będzie ogromny wypoczynek. Zapomnę o całym świecie. Będę tylko sama, sama jedna w całym borze...

— Sama? — powtórzyła pokojówka z niedostrzegalną ironją. — O, prędkoby się pani znudziła.

— Dlaczego? — Czy sądzisz, że nie wytrzymałabym bez ludzi?... O, to się mylisz! Ja ludzi niecierpię — dodała szczerze.

— Tak, ale tam nie byłoby żadnych wygod... o, taki leśnik to zwyczajny człowiek, on przyzwyczajony — ale pani. — Jakby pani sobie dała radę z włosami?

— Nosiłabym chustkę.

— A kąpiele?

— Kapałabym się w jakimś strumieniu — i koniec.

— A coby na to pan doktor powiedział. Przecież pani zimna woda szkodzi.

— E, dureń, osiel jest cały Koss — zawołała z lekceważeniem Nuna, poprawiając jakieś fałdeczki na biuście. — Zresztą dałabym sobie radę bez niego. — Dosyć mam tego życia w mieście lub w kurorcie. — Całe życie tylko patrzeć na ludzkie gęby i słuchać tego, co ślina na język przyniesie różnym bałwanom.

W tej chwili rozległ się cienki terkot elektrycznego dzwonka. — Dziewczyna zerwała się z kolan, i gorączkowo zapinając ostatnią haftkę — zawołała:

— To pewno, ten pan Villard?

— Poproś go do salonu.

Pokojówka wyszła. Nuna stała jeszcze chwilę przed lustrem, trzymając rękę na falujących piersiach. Z pewnem zdziwieniem zauważyła, że serce jej uderza silniej niż zwykle — i drży, rozlewając niepokojące gorąco po całym ciele.

— „Trema?” — pomyślała, podnosząc brwi. To nadzwyczajne. Ja się tremuję z powodu tego młokosa, którego gotówka ma zasilić pustą kasę Nienazycznego.

Uśmiechnęła się sama do siebie — i przeszła do salonu. W chwili wejścia, siedzący przy stoliku z albumami młodzieniec, złożył pośpiesznie interesujące widoki Interlacken — i wstał, składając uprzejmy ukłon. Był to Robert Villard, którego Nuna objęła jednym spojrzeniem, ale tak dokładnie, jakgdyby okrywała go płaszczem.

— Pan Villard — rzekła z czarującym uśmiechem. Mój mąż mówił mi o panu bardzo wiele, — bardzo też panu dziękuję, że pan nie zapomniał o swojej obietnicy odwiedzenia nas.

Robert pocałował z szacunkiem podaną sobie dłoń i zaproszony uprzejmym gestem, usiadł na wygodnym fotelu.

— Ośmieliłem się złożyć pani wizytę, uzyskawszy pozwolenie pani męża. Zresztą przyznam się pani szczerze, że gdybym tego pozwolenia nie uzyskał, nie omieszkałbym mimo to szukać sposobności — aby złożyć pani swoje uszanowanie.

— Och — czy to nie za wiele uprzejmości, zawołała Nuna, uśmiechając się życzliwie. Przecież nie ulega wątpliwości, że gdyby nie spotkanie z moim mężem, napewno nie pamiętałby pan o Casino-Théâtre.

— Nie, nigdybym o tym teatrze nie zapomniał, odpowiedział młodzieniec, ukazując w uśmiechu dwa rzędy białych zębów. — Byłem tak oczarowany znakomitą artystką, która grała główną rolę, że nie potrafiłbym o tym zdarzeniu zapomnieć.

— W każdym razie dobrze, że pan mówi „byłem”. To już jest mniej niebezpieczne.

— Przeciwnie! — zaprzeczył żywo. Byłem zachwycony artystką kinematograficzną na martwym filmie, — dzisiaj jestem oczarowany nią samą.

Nuna spuściła oczy i zaczęła owijać na palec rąbek koronki, zdziwiona nieco jego atakiem.

— „Bezczelny młokos, czy rutynowany lump” — pomyślała. Mówi tak, jakby ze wszystkiego sobie zdawał sprawę.

Odemknawszy nieco powieki, przyglądała mu się uważnie, przyznając mu zarówno niezwykłą urodę, jak i nieporównany wdzięk. Robert siedząc swobodnie w głębokim foteliku, patrzył na nią swymi jasnymi pogodnymi oczyma z tak szczerym zachwytem, że, nie mogąc opanować zadowolenia, Nuna roześmiała się wesoło.

— Pani się śmieje — zapytał, uśmiechając się również. — Czy powiedziałem jakie głupstwo?

— Nie, nie, nie — zaprzeczyła żywo — tylko nie będąc przyzwyczajoną do tak kategorycznych zachwyty, byłam nieco zdziwiona.

— Czem? czy tem, że jestem oczarowany! — zapytał z wymownym zdziwieniem.

— Chociażby tem!

— Ależ to niemożliwe! Nigdy w to nie uwierzę, aby pani się dziwiła temu. Rozmawiam z panią po raz pierwszy w życiu, ale wiem napewno, że niejeden mężczyzna, klęcząc przy pani cudownych pantofelkach, przysięgał swą miłość i wierność. Mówiłem to jeszcze w Casino-Théâtre, kiedy widziałem panią, w tym wzruszającym dramacie — a cóż dopiero teraz, kiedy mam szczęście rozmawiać z panią — widząc ją żywą, autentyczną, prawdziwą. Nie, nie. Niech pani wszystko mówi, tylko nie to, że dziwi panią zachwyty — w to nikt nie uwierzy. Nikt, a przedewszystkiem ja. Ja nigdy w to nie uwierzę.

— Ach, panie Villard — zawołała Nuna, przerywając ciepłym, miłym śmiechem potok gorącej wymowy młodzieńca. — Pan jest wzruszająco szczerzy.

— Naturalnie! Nie mam powodu nim nie być. Prawdy się nie boję, ponieważ wiem, co mówię i za to co powiem jestem odpowiedzialny.

— Widzę z tego, że miał pan już w swoim życiu sto pojedynków najmniej.

— Sto nie, ale miałem. Zresztą moje szczęście w pojedynkach nie pobudza mnie do awantur. Przeciwnie! Broni mnie przed nimi. Niemniej jednak nie obawiam się niczego. Pięknym kobietom mówię, że są piękne.

— A brzydkim?

— Brzydkim? — powtórzył przeciągle Villard — brzydkim mówię o ich cnotach.

— A jeżeli nie są ani piękne, ani cnotliwe?

— Wtedy wcale ich nie znam. Przecież ludzie nie mogą się znać bez powodu. Prawda?

— Jak pan to rozumie? — zapytała Nuna z niedostrzegalną podejrzliwością. — Czy zawsze musi być interes na względzie?

— Interes a powód to co innego — zaprzeczył. — Ja nie mówię i nie myślę o interesach — jeżeli pani pod tym słowem rozumie jakieś wzajemne materialne czy moralne przysługi. Nie, powód, to utajona, tkwiąca w tajemniczych zaświatach przyczyna, wywołująca skutek, będący nawet zupełnie realnym przyczynkiem do zmiany naszego życia.

Nuna utkwiała w jego oczach swoje płomienne żrenice i patrzyła tak długo, dopóki młodzieniec nieco zmieszany nie opuścił wzroku.

— Ten Villard to musi być dobry numer — pomyślała. Po pięciu minutach rozmowy zaczyna od fatalizmów.

— Więc pan przypuszcza — rzekła po chwili dosyć chłodnym tonem — że fakt kupienia przez pana biletu do Casino-Théâtre, był tą przyczyną, której rozwój sięga aż do obecnej wizyty. Czyżby to był już ten skutek, który „zmienia nasze życie?”

— Tego nie wiem, i nie ośmielam się domyślać. Ale rozumując abstrakcyjnie, to tak.

— I jakaż zmiana może nastąpić z powodu naszego „realnego” poznania? — zapytała, uśmiechając się z lekką ironją.

— Nie wiem — powtórzył młodzieniec. — Przecież my jesteśmy jedynie symbolem w tej rozmowie... W każdym razie, jeżeli pani pozwoli mi mówić szczerze i przyrzeknie, że się na mnie nie będzie gniewała, postaram się rozwiązać to skomplikowane na pozór zadanie.

— Mam już panu przyrzekać? — zaśmiała się szczerze Nuna. — Czy to nie za wiele?

— Ale tylko to, że się pani nie będzie na mnie gniewała.

— A co pan chciałby jeszcze?

— Mogłbym prosić również, żeby pani przyrzekła zaprosić mnie na jutrzejszą pogawędkę.

— Pogawędkę? Z kim?

— No... moją — z panią! — odpowiedział z dziecinna szczerością.

Oboje roześmieli się szczerze, nieco za głośno, ale z całego serca.

— Pan zabawny! — zawołała, nie przestając się śmiać. — Piętnaście minut temu raczył mnie pan poznać, a teraz już wymaga pan przyrzeczeń i pogawędek.

— Bo ja nie lubię, strasznie nie lubię tych wszystkich okrażań, omówień, aluzji i t. d. — Pani sady, że ja panią poznałem piętnaście minut temu? Ależ nic podobnego! Ja panią poznałem rok

temu w Casino-Théâtre! Znamy się rok. Dwanaście miesięcy, trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a jeżeli pani schlebia portugalskim ambicjom, to dodam, że ośm tysięcy sześćset sześćdziesiąt godzin.

— Boże, Boże, co za czas, ile to byłoby minut — a sekund!... — zawołała ze śmiechem Nuna, patrząc na niego z coraz większą życzliwością.

— Zaraz pani powiem — odpowiedział popieszczenie. Już obliczyłem!

— Niech się pan nie trudzi!

— Kiedy wiem! Minut będzie pięćset dziewiętnaście tysięcy sześćset — a sekund... o sekund to już bardzo wiele — mówił kładąc w zamyśleniu palec na różowych ustach. — Muszę sobie przypomnieć, sekund będzie — trzydzieści jednem milionów, sto dziewięćdziesiąt sześć tysięcy. No widzi pan! — zawołał z triumfem.

— A widzę, widzę przedewszystkiem to, że jest pan doskonałym matematykiem — odpowiedziała wesoło Nuna.

— Tylko to? — rzucił pytanie, obrzucając ją ciepłym spojrzeniem.

— A cóż więcej?

— Czy to nie nasuwa pani przypuszczenia, że człowiek, który tak skrupulatnie oblicza miesiące, dni, godziny, a nawet sekundy, dzielące go od chwili ujrzenia pani na filmie, musi to czynić pod wpływem innego nakazu, nie tylko ambicji młodości, który jeszcze nie zapomniał tabliczki mnożenia.

Powiedziawszy te słowa zupełnie poważnie, chociaż z właściwym sobie ujmującym uśmiechem, Villard utkwiał w niej śmiałe spojrzenie i czekał na odpowiedź.

Czy pod wpływem jego spojrzenia, czy z jakiegokolwiek innego powodu, serce Nuny zakola-

tało tak silnie, że piękna kobieta bezwiednie przycisnęła rękę do piersi.

— Och, panie Villard — rzekła po chwili jak gdyby zmieszana — wracamy znów do historii „powodu i skutku”.

— Tak, gdyż ja ośmielałam się utrzymywać, że w tajemniczej księdze losów naszych było napisane: „Robert Villard. Pójdzie do Casino i kupi bilet za pięć franków”...

— I będzie sprawdzał podczas demonstracji obrazu, czy pończoszki siedzącej obok dziewczynki są z prawdziwego jedwabiu... — dokończyła Nuna kiwając potakująco głową.

— Och, mój Boże! — zawołał z oburzeniem Villard. — Nawet gdyby tak było, czy to cokolwiek zaprzecza przeznaczeniu? Fakt pozostaje faktem. Poszedłem do Casino i poznałem tam panią. Dla wszystkich ludzi, ja tylko panią widziałem, ale dla mnie ja panią poznałem. Nie umiem kłamać. Zaręczam. Powiem pani prawdę, że przez ten rok, przez te dwanaście miesięcy.

— To jest, przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni — wtrąciła żartobliwie.

— Ja myślałem o pani — dokończył poważnie. — Czyż nie jest to znamienne? A teraz drugi fakt: jadąc do Warszawy, spotykam w wagonie pana, który się zachowuje jak sam Sierlok Holmes lub Pinkerton! Robi dziurkę w gazecie i przygląda mi się z takim zainteresowaniem, że musiałem znieruchomieć na czas pewien, aby uprosić mu pracę. Co się okazuje! Ten pan to pani mąż! Czyż to nie wskazuje pani tego wyraźnego nakazu z wewnątrz, który, jak palcem wskazuje mi panią, a pani — mnie! To takie jasne!

Nuna siedziała, długo patrząc z poza przy-
mrużonych powiek na szczerą, piękną twarz Ro-
berta, który wszystkie swoje dowodzenia wypowia-
dał z taką prostotą, jak gdyby tłumaczył jej przebieg
ostatnich wyścigów. — „Co on sobie myśli i do
czego zmierza” — myślała, nie mogąc sobie wy-
tłumaczyć słów tego młodzieńca, który niemal
oświadczał się jej z miłością, będąc przytem tak
nieskazitelnie poprawnym. „Czy on wie wszystko,
czy też jest tak dziecinny, że nie rozumie znacze-
nia swoich słów? Gdyby na jego miejscu siedział
jakiś bankier Sztral, lub drugie wydanie Dyzia —
miałabym prawo przypuszczać, że za pięć minut
zapropONUJE mi porzucenie Nienażyckiego, za taką
a taką sumę rocznych dochodów. Palec Opatrzności,
który pokazuje mnie jemu, a jemu mnie. To brzmi
jak deklaracja. I to wszystko na pierwszej wizycie,
jak w kinematografii! Zabawna historia!

— Pani się z tem nie zgadza? — przerwał jej
rozmyślenia głos Villarda.

Nuna podniosła na niego swoje oczy, które
w tej chwili patrzyły z odpychającym chłodem.

— Z czem? — zapytała, postanawiając jedno-
cześnie zimnem obejściem ostudzić nieco zbyt go-
rącą elokwencję młodzieńca.

— Z tem, co powiedziałem przed chwilą —
rzekł, patrząc na nią zdziwionym wzrokiem.

— Czy zgadzam się z tym palcem, który wska-
zuje mnie panu, a pana mnie? — powtórzyła umyślnie
brutalizujące słowa. — Wie pan, że ja nie rozumiem
tej alegorji — dodała, marszcząc lekko brwi. —
Ten palec już raz... pokazał mi mego męża i przy-
puszczam, że drugi raz nie będzie miał powodu
powtarzać swego gestu.

Twarz Villarda pokryła się nagle falą krwi
i stała się aż brunatna, pod wpływem rumieńca

Patrzył na nią na pół zdziwionym, na pół przera-
żonym wzrokiem, jak człowiek, którego spotyka
niespodziewana katastrofa.

— Pani mnie nie zrozumiała — wyszeptał po
chwili. — Ja doprawdy, doprawdy, nie wiem, jak
panią przeprosić — powtórzył kilka razy.

Nuna milczała, udając obrażoną, chociaż
wzmianka, którą uczyniła o mężu, rozśmieszyła
ją samą.

W tej chwili Villard wstał i składając ukłon,
rzekł miękkiem, łagodnym głosem:

— Pójdę. Jeżeli pani pozwoli, przyjdę jutro
Może wówczas będę mógł wyjaśnić pani prawdziwą
intencję mych słów.

Jednocześnie jednak Nuna, przypomniawszy
sobie o planach Nienażyckiego, rozjaśniła twarz,
na którą jakgdyby padł promień słońca.

— Panie Robercie — szepnęła, mrużąc oczy
i podnosząc jednocześnie brwi. — Czy pan przy-
puszcza, że ja się gniewam na pana? Och, nie.
Proszę, niech pan tu siądzie (koło mnie i zamiast
jutro, już teraz, w tej chwili, wytłumaczy się ze swo-
ich słów.

Wyciągnęła ku niemu swą wypieszczoną białą
rękę, którą on pochwycił skwapliwie.

— Mogę tu usiąść, na kanapce? — zapytał,
wskazując oczyma miejsce koło niej.

— Tak, właśnie tu!
— Doskonale, więc siadam! — zawołał już
znacznie mniej zmartwionym głosem.

Usiadł swobodnie na miękkiem wygodnym
meblu i, przyglądając się dyskretnie jej profilowi,
rzekł:

— Jak to dobrze, że pani się już na mnie nie
gniewa. Gdy mnie pani bliżej pozna (jeżeli pani

oczywiście zechce to uczynić), wtedy przekona się pani, że na mnie gniewać się niepodobna.

— Dlaczego? Wszakże jest pan odpowiedzialny za swoje słowa, jak pan sam powiedział?

— Naturalnie, ale nie można się gniewać na człowieka, który nigdy niema zamiaru obrażenia kogokolwiek. Ja kocham ludzi i świat, a życie nade wszystko. Wiem, że różnorodność interesów i usposobień ludzkich wytwarza konflikty, ale przecież niema takiej sytuacji, z której nie możnaby było wyjść z honorem, nie obrażając nikogo.

— Sądzi pan?... — szepnęła matowym głosem Nuna, przypominając sobie dzisiejszą rozmowę z Dyziem.

— Bez wątpienia — potwierdził stanowczo. — Dopóki człowiek żyje, jest zdrow na ciele i umyśle, nic go nigdy nie zmusza do uczynienia czegokolwiek niezgodnego z sumieniem i honorem. Jakżeby mógł więc mieć chęć obrażenia pani? Ja, który niech mi pani wierzy, zaliczam do największych powodzeń chwilę, w której mogłem poznać panią osobiście! Nie! To było nieporozumienie! Ten nieszczesny palec, który tak mi się nie udał, skierował pani myśli na fałszywe tory. Bo czyż Opatrzność, pomagając poznaniu, musi koniecznie działać w charakterze swatki, bioracej procent od posagu? Czyż mężczyzna, który z uwielbieniem i podziwem patrzy na kobietę, piękną i młodą, musi koniecznie iść śladem Don Juana? Och, nie, nie i jeszcze raz nie! W mojem powiedzeniu nie było nawet cienia tych myśli, które mogłyby panią obrazić. Przeciwnie. Uwielbienie moje, podziw dla pani talentu i urody są takie same, jak mój podziw dla pięknych dzieł sztuki lub fragmentów przyrody. Ja kocham życie, które wydaje mi się morzem słońca. Jak w gorącym promieniu tańczy mała muszka,

brzęcząc witrażowymi skrzydłami, tak ja tańczę w tem życiu, upojony słońcem. Gdybym miał głos Carusa, śpiewałbym tylko na cześć życia hymn, wysławiający piękno naszego świata. Niech pani powie sama, czy to się zgadza z przypuszczeniem, jakie pani uczyniła względem mnie? Prawda, że nie?

— Nie wiem — rzekła niezdeterminowanie.

— A pani, pani nie kocha życia? — zapytał, patrząc jej prosto w oczy. — Jeżeli powie pani, że nie, będzie mi trudno uwierzyć.

— Dlaczego?

— Bo pani jest zbyt piękna, za wiele pani ma wdzięku, aby nie czuć się jedną z czatek tej wspaniałej całości, na której cześć wszystkie talenty świata wypisują olśniewające pochwały. Piękna kobieta jest także kwiatem i słońcem, strumieniem i źródłem, morzem i łaką — jest życiem tak pełnem uroku, jak młodość, której pragnienia nie znają granic.

Nuna siedziała zamysłona, słuchając tych pełnych zapалу słów młodzieńca. Villard zdawał się być podnieconym, jakgdyby mówił pod wrażeniem oczarowania. Mówiąc, nie patrzył na nią, lecz, gdy kończył zdanie, jego oczy biegły ku niej i stały się na jej ustach lub włosach, padały jak płatki postrzępionej róży do nóg i znów szły ciepłym, łagodnym blaskiem wiosennego słońca ku jej twarzy, szepcząc w uszy pełne szczerzego entuzjazmu słowa. Nunie zdawało się, że ktoś otworzył okno na kwitnący sad — i fala powietrza, rozśpiewana radosnym brzękiem owadów, wpłynęła do pokoju. Zapachniało wilgotnym oddechem drzew, zajaśniało godową bielą kwieciami jabłoni — i objęło ją wiosennym śpiewem, jak czarodziejskim płaszczem.

Złudzenie, wywołane, być może, wspomnieniami lat dawnych, które, odrzuciwszy darń czasu,

pod wpływem słów Roberta, było tak silne, że Nuna, nie wiedząc dlaczego to czyni, spłótna ręce i wyciągnawszy je tak złożone przed siebie, szepnęła:

— Och, życie, życie, pełne uroku — wiosny — słońca!

— Lubi pani wiosnę? — zapytał Villard.

— Lubię, lubię bardzo.

— A wieś?... Łąki, porośnięte kwieciami, przez które przesuwają się szemrzący strumień w ramie zielonej wikliny. A małą dróżką między redutami żółtego zboża? A las? Tajemniczy jak w bajce bór, zarosły paprocią, okryty zieloną szadzią mchu, wielkie pnie, wilgotny chłód mimo upału? Jakgdyby inny świat, zasłonięty, oplątany koronką liści, od słońca, które zapuszcza ostre szpady promieni, między gałęzie i zapala ruchliwe światełka na liściach, wabiąc ku sobie chmary rozśpiewanych, leśnych brzdąkadeł. Cudowne!

Nuna słuchała jego słów przymrużywszy lekko oczy, jakby słuchała upajającego śpiewu. Nie zauważyła nawet, że rozmowa trwała długo, przenosząc ich w zmierzchu zapadającego dnia. Z poza szyb dolatywały mgliste dźwięki gwaru ulicy, cichy szum, przecinany ostrzejszymi głosami dzwonek tramwajowych. Daleki, chórny śpiew wielkiego miasta.

W suterynie, której okno jak szczyrta jama wyglądało z dna kamienicy, ktoś grał jednostajną melodję na harmonijce. Melodja dochodziła do pewnego punktu, poczem następowały te same, kapiące, nudne tony, padające jak woda z rynny, do podstawionej beczki.

Villard przestał mówić, i poprosiwszy Nuny o pozwolenie, zapalił papierosa. Patrzył w okno jaśniejące na ciemnym tle pokoju, który powoli zasnuwał mrok. Na jego pięknych, czerwonych

ustach osiadł cichy, łagodny uśmiech. Zdawał się uśmiechać do swoich myśli, które mówiły zreniowanymi pełnami słodkiego zadumania. Nuna, opuściwszy nieco głowę, patrzyła z pod długich rzęs na jego twarz odwróconą nieco od niej — i miała wrażenie, że się znajduje nie w swoim mieszkaniu, ale w jakimś nieznanym zupełnie pokoju, i w innym czasie a cała ta rozmowa i obecność Villarda zdawało się jej chwilami złudzeniem.

— Co za dziwny, niezwykle człowiek, ten Villard, myślała, Zdaje mi się, że mnie niewidzialne ręce przeniosły w inny świat. Tyle razy widziałam, jak w tym pokoju zapada mrok, a dopiero dzisiaj widzę, jak bardzo wszystko się zmienia w miarę jak gaśnie światło. Cała jego rozmowa to tak, jakgdyby dalszy ciąg tego, co mówiłam do Rózi. Pojechać na wieś i zapomnieć o życiu! Oczywiście o tem życiu, które prowadzę tutaj. Ach tak! — westchnęła.

— Wie pani — rzekł nagle Villard — że mój ojciec zostawił mi między innymi myśliwski domek.

Spojrzała na niego prawie z lękiem.

— Myśliwski domek? — powtórzyła. — Gdzie?

— Dosyć daleko stąd. W tak zwanych Polskich Inflantach. Tam mamy trochę lasów, które mój ojciec kupił umyślnie dla polowania. — Nie byłem tam nigdy, ale wiem, że jest tam cudownie. Wielkie jezioro, tak wielkie, że często stanawszy na jednym brzegu, drugiego nie można dojrzeć. Ogromne bory, ciemne, mroczne, prawie dzikie otaczają ruiny dawnych zameczków. Nikt tam prawie nie mieszka, prócz leśników i kłusowników. I ja też mam tam mały domek murowany, w którym zamieszkam może, jak mnie zanadto zmęczy gwar miasta.

Patrzała na niego długo, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy. Nagle, nie opuszczając powiek, zapytała prawie z lękiem:

— Czy pan wie, co ja myślałam w tej chwili?

W oczach Villarda odbiło się zdziwienie.

— Kiedy? — spytał.

— Teraz, przed chwilą, nim pan zaczął mówić?

— Nie! Skądże ja mógłbym wiedzieć — odpowiedział szczerze. — Niestety, nie umiem czytać w ludzkich myślach.

— To dziwne — szepnęła.

Nagle wstała prędko i szeszeląc suknią, podbiegła prawie do miejsca, gdzie się znajdował kureczek elektrycznego światła. Nerwowym, pośpiesznym ruchem palców przekreśliła wypolerowane drewno, poczem nie spojrząwszy na Roberta, podeszła do lustra.

Mleczna gruszka, otulona blado-liljowym abażurem, zaśniła ciepłym światłem, które spłynęło w miękkich falach na drobne, jasne mebelki salonu. Villard zmrużył oczy i nie mówiąc słowa, patrzył na Nunę, która stojąc przed lustrem, poprawiała w milczeniu jakieś niedokładności starannie ułożonych włosów. Po chwili, odwróciwszy się, spytała z uprzejmo-oficjalnym uśmiechem na ustach:

— A jak się panu Warszawa podoba?

Villard, zrozumiałwszy widocznie ten oficjalno-uprzejmy ton, — odpowiedział swobodnie:

— Nadzwyczajnie! Warszawa jest bardzo ładna. Ma jednak jedną zasadniczą wadę.

— Można wiedzieć, co pan naszej kochanej Warszawie zarzuca?

— Owszem. Mianowicie to, że jest ona na duże miasto za mała, a na małe — za duża.

— O, to wada pierwszorzędną — zaśmiała się Nuna, siadając opodal niego. Naturalnie kobiety

znajduje pan w tym samym niewłaściwym charakterze.

— Pod względem strojów nie — odpowiedział również ze śmiechem Villard.

— Niewątpliwie postara się pan wkrótce przekonać, czy i pod względem „kultury miłosnej” odpowiadają charakterowi wielkiego miasta — nieprawdaż?

— O ile znajdę skłonne ku temu obiekty — przypuszczam, że nie będę uciekał od pożytecznych doświadczeń.

— O, o to niema obawy! — zawołała wesoło Nuna. — Z pańskimi warunkami znajdzie pan bardzo wiele takich kobiet, które zapragną pana przekonać, że Warszawa pod względem „kultury miłosnej” nie różni się od Paryża.

— Czy sądzi pani, że mnie przekonają?

— Bezwątpienia!

— Dziękuję, dziękuję za dodanie otuchy — zawołał Villard, powstając. — To jedno, co mnie przerażało w Warszawie,

— Czyżby warszawiąнки były tak odpychające? — zapytała Nuna. — Takiej sławy, przypuszczam, nie mają na świecie.

— O przeciwnie! Renomę mają doskonałą. Między kobietami świata zajmują to samo miejsce, jakie zajmuje „Mumm” między winami szampańskimi. Tylko, że i tu nie ma róży bez kolców.

— A jakże się nazywają te kolce, jeżeli może mi pan śmiało o tem powiedzieć?

— Owszem. Temi kolcami jest podobno cnota.

— Cnota? — powtórzyła, śmiejąc się Nuna. — Przyznam się panu, że kolce w takim razie nie są niebezpieczne.

— Czytając jednak polskie pisma na obczyźnie, doszedłem do przekonania, że w Polsce wszyst-

kie kobiety są kapłankami Vesty. Na całych szpal-
tach opisywane są cnoty pań. Wszystkie starsze
kobiety, a zwłaszcza te, które miały zaszczyt prze-
nieść się z tego świata na tamtem, otrzymują miano
rzymskich matron, młode zaś panny i mężatki cho-
dzą w liljowych wieńcach jak słowiańskie dziewice.
Jeżeli się ukaże jakaś sztuka teatralna, która po-
wątpiewa chociażby w cnotę małajek, wasze panie
czują się osobiście przez to obrażone i zaraz pro-
testują w pismach, zamieszczając sążniste listy.
Jak pani sądzi, czy człowiek, czytając o tem ciągle,
nie mógł nabrać przekonania, że mężczyzna w Pol-
sce pierwszy pocałunek od żony otrzymuje dopiero
po przyjeździe na świat drugiego dziecka?

Nuna śmiała się serdecznie, aczkolwiek z pe-
wną dystygowaną rezerwą. Tymczasem Villard
wstał i złożywszy jej pełen szacunku ukłon rzekł:

— Pozwoli się pani pożegnać.

— Co, pan już odchodzi?

— Och, to „już” chyba jest zamaskowanym
wyrzutem. Nudzę panią już znacznie dłużej, niż
na to pozwala... pierwsza wizyta!

— O, tylko proszę nie wspominać o ceremon-
jale pierwszej wizyty. Bardzo mi było przyjemnie,
że pan zechciał nas odwiedzić. Nie mniej byłoby
mi przyjemnie, gdyby pan zobaczył się z moim
mężem, który tak bardzo chciał pana u nas widzieć.

W tej chwili, niby z samowładnego rozkazu
„inspicjenta”, wszedł do pokoju Nienazycki. Twarz
starszego pana tchnęła majestatyczną powagą, opro-
mienioną jednak słodkim uśmiechem życzliwości.

— Ach, pan Villard! Ledwo zdążyłem na czas
bo widzę, że pan się już zabiera do odejścia. Och..
Nuneczko, nie puszczaj pana!

Robert wstał pospiesznie.

— Ależ, panie—zawołał, ściskając jego dłoń—
pańska żona jest i tak niezwykle uprzejma, że
chciała znieść moje towarzystwo przez całe dwie
godziny.

— O, niech pan tylko nie przypuszcza, że
uczyniłam to bez wielkiego zadowolenia — wtrą-
ciła z czarującym uśmiechem Nuna.

Robert skłonił się.

— No, tembardziej, tembardziej — rzekł Nie-
nazycki z zadowoleniem. — U nas, proszę pana,
jeszcze panują dawne, słowiańskie obyczaje. „Gość
w dom, Bóg w dom”. Nie puścimy pana pod ża-
dnym pozorem, tembardziej, że kolacja się zbliża.
Żaden polski szlachcic nie wypuszczał gości przed
wieczerzą. Prawda? Więc tak samo i u nas. Tra-
dycja ma swoje prawa nieobalone, niezniszczalne,
kochany panie.

— No tak, ale może pan robi wyjątek, ze
względu na to, że jestem z pierwszą wizytą —
tłumaczył żartobliwym tonem Villard.

— Ale niema żadnego tłumaczenia — wołał
Nienazycki serdecznie. — Anektujemy pana na dzi-
siejszy wieczór zupełnie. Przejdziemy teraz do mo-
jego gabinetu, a gdy będzie kolacja — moja żo-
neczka każe nas poprosić.

Nuna patrzała na jego dobroduszną, uśmiech-
niętą twarz, czując, że wielka gra się zaczęła. Kie-
dy jednak powiedział „moja żoneczka”, po ustach
aktorki przemknął ironiczny uśmiech, a piękne
oczy posłały mu pogardliwe spojrzenie.

Villard się wymawiał, ale atakowany bez wy-
technienia przez oboje małżonków, dał się wreszcie
namówić i został. Nienazycki zdawał się rozpylać
w uprzejmości. Ujął go mocno pod rękę, a popro-
siwszy żonę o przesłanie „butelczyny” na apetyt —
pociągnął Villarda ku drzwiom.

— Pójdziemy teraz na cygaro. Zwierzę się panu z pewnego interesu, który mam zamiar przeprowadzić, o ile naturalnie pana to zainteresuje — mówił serdecznie.

Przy samych drzwiach, puszczając przed sobą Villarda, odwrócił głowę i rzucił w stronę Nuny długie, porozumiewawcze, zadowolone spojrzenie.

Nuna została sama. Chwilę stała nieruchomo, z tym samym pogardliwym uśmiechem na ustach, który zakwitł ironją, kiedy nazwał ją „żoneczką”, poczem wolnym krokiem wyszła z salonu.

VI.

Stół przygotowany na przyjęcie Villarda miał wygląd imponujący. Na śnieżnym obrusie wśród wazonów z kwiatami rosły strzeliste butelki z koniakiem i winami — otoczone wieńcem zakąsek, zimnych ryb, kawioru i sałat. Przy lśniących nakryciach, tonąc w kaskadzie spadającego z góry elektrycznego światła, siedziało kilka osób. Na honorowym miejscu, tuż przy Nunie zajął wskazane sobie miejsce Villard, który zdawał się być bardzo zadowolony z serdecznego przyjęcia. Naprzeciw siedział Nienazycki, gładząc od czasu do czasu fryzowaną brodę gestem poważnym, chociaż nie pozbawionym wdzięku i wykintu. Rozmawiał z Kociem Nileckim, który wpatrując się w Villarda zachwyconym wzrokiem, słuchał opowiadania Nienazyckiego, udając, że uważa, chociaż łowił każde słowo wypowiedziane przez Roberta do Nuny. Nieco dalej zajmował miejsce Krasanow, łysy i suchy mężczyzna z przyszyżonymi wąsami, patrząc obojętnie na sąsiada, słuchał jego apa-

tycznie, kiwając głową. Tym sąsiadem był elegancki młodzieniec o podniszczonej, zwiędłej twarzy, o dużym nosie i nieco odstających uszach, z czego można było wnosić, że w żyłach młodzieńca musiała płynąć szlachetna krew sławnych trębaczy Jerychońskich. Był to pan Gustaw Olimpijski, niewiadomo dlaczego tak się nazywający.

Całe towarzystwo było już po kilku kieliszkach koniaku i mimo powściągliwych gestów promieniowało żywym zadowoleniem. Zwłaszcza Olimpijski, który tłumaczył coś Krasanowowi bez wytechnienia, dopomagając swym słowom nieco hamowaną, nie mniej jednak charakterystyczną gestykulacją, miał minę człowieka zadowolonego i z życia i z siebie.

Po napełnieniu pustych kieliszków, wszyscy ujęli za cienkie kryształowe nóżki i podnieśli złotawy napój do ust.

— Panowie, moi mili goście — zaczął Nienazycki. — Chociaż nie czas jeszcze na toasty, nie mogę się oprzeć wewnętrznemu nakazowi uczucia, które każe mi wznieść zdrowie naszego miłego gościa, pana Roberta Villarda.

Długie Aaa, poparte ukłonami, skierowanymi w stronę Villarda, podkreśliło uczucia gospodarza domu. Villard skłonił się również, aczkolwiek nieco zdziwiony.

Nuna uśmiechnęła się lekko.

— Pani się śmieje? — zaszemrał jego głos przy jej twarzy. — Czy ze mnie?

— Nie, podziwiam potęgę koniaku.

— Tworzącą tak prędko sympatię! — Czy tak?

— Chociażby!

— Więc niesłusznie, gdyż pani mąż i bez pomocy koniaku jest bardzo sympatyczny.

— Eksploatacja lasów jest dzisiaj najlepszym interesem — zagórował nagle głos Olimpijskiego. — Towarzystwo, mające za zadanie skupywanie i wyrąb lasów w Rosji, ma przed sobą kolosalną przyszłość. Zresztą tu obecny jeden z założycieli i główny dyrektor Towarzystwa pan Nienazycki, to panu najlepiej powie.

Krasanow zwrócił swoje mętne, apatyczne oczy w stronę Nienazyckiego, który kiwnął kilkakrotnie głową potakująco, mówiąc z przekonaniem:

— Miljardowe obroty, szalona dywidenda.

Nilecki szturchnął nieznacznie w bok Olimpijskiego. Ten spojrzął na niego podnosząc wysoko brwi:

— Czego chcesz? Nie wierzysz?

— Daj pokój, Guciu, teraz z temi interesami, przyjdzie czas i na to.

— Ma pan słuszność — rzekła Nuna, nie patrząc na Olimpijskiego, którego nie cierpiała. — Nie lubię interesów.

— Ja chcę w to uwierzyć — zawołał Olimpijski, któremu koniak trochę mącił w głowie. — Tak samo jak Kocio. Pani wie? Ja dzisiaj spotkałem Goldbauma. On ma zupełnie inne zdanie.

— No mógłbyś mówić o kim innym, nie o Goldbaumie — wtrącił Nilecki, obrzucając go pełnym oburzenia wzrokiem.

— Dlaczego? Parę miesięcy temu prosiłeś mnie, abysmy tylko o nim mówili.

Powiedziałwszy to, wybuchnął śmiechem. Kocio zaś zmieszał się i nie wiedząc, co odpowiedzieć, zwrócił się z jakimś zdaniem do Nienazyckiego.

Na szczęście podano nowe półmiski i towarzystwo zabrało się do jedzenia. Villard, siedząc przy Nunie, nie zwracał prawie wcale uwagi na resztę towarzystwa. Z całego jego zachowania można było wywnioskować, że tak jak przyszedł jedynie

dla Nuny, tak i uległ prośbom Nienazyckiego tylko dlatego, aby dłużej być w jej towarzystwie. Nuna odczuwała to, i jakieś dziwne uczucie ogarniało ją, ilekroć zwrócił się do niej. — Miała wrażenie, że nagle, zupełnie zresztą niespodziewanie, stało się coś ważnego, coś, co obejmuje ją niewidzialnymi rękoma, przyciskało czule do serca i rozporządza jej myślami, które w oczarowaniu kręciły się koło jego imienia. Przez cały czas kolacji, zapomniawszy niemal o roli gospodyni domu, myślała tylko o nim. Nie słyszała i nie starała się rozumieć, co mówią inni. W tej chwili całe towarzystwo było dla niej nie tylko obojętne, ale nienawistne prawie. Drażniła ją napuszczona powaga Nienazyckiego, jego słodko-uprzejmy uśmiech i pełne godności wyrażenia. Irytował ją wydatny nos Olimpijskiego, jego skrzekliwy głos, apatyczny wyraz twarzy Krasanowa i przyzwyczajenie poprawna, głupio-przyjemna mina Nileckiego. W myśli szemrały jej słowa Villarda, które mówił podczas zapadającego zmierzchu. W tej chwili jej rozmowa, kilka godzin temu prowadzona, wydawała się bajką widzianą we śnie i jakimś cudownym urojeniem, nie posiadającym jednak żadnego sensu realnego życia.

W tej chwili była daleko od tego towarzystwa, w którym się znajdowała. Słuchała tylko z prawdziwym przejęciem słów, które mówił półgłosem Villard, wpatrując się jednocześnie w jego płonące oczy.

— Żałuję bardzo, że mówiąc tak długo z panią, nie mogłem powiedzieć pani wszystkiego o moim zameczku w Inflantach — szeptał. — Chciałbym tam pojechać, Wokoło żywej duszy... będę sam.

— Sam — pomyślała z żalem Nuna. — Dlaczego sam? Gdyby ten chłopiec wiedział, jak bardzo pragnęłabym odpocząć.

W tej chwili Nienazycki, stuknąwszy nożem w kieliszek, wstał.

— Oho, będzie mowa — westchnęła w myśli Nuna. — Ten łgarz zabiera się na dobre.

— Szanowni panowie... — zaczął tonem tak uroczystym namaszczone, przed którym można było uciec do drugiego pokoju.

— Ojczyzna nasza, nasz kraj, który w nieustannej walce o swój rozwój... wyteża wszystkie siły, może się szcycić mimo wszystko owocami pracy swych obywateli.

— Z ciężkiego kalibru — zaszemrał żartobliwy głos Villarda przy włosach Nuny.

— Przechodzimy czyny straszne — mówił jakgdyby wzruszonym głosem Nienazycki. — Nie mamy nic! Jesteśmy najbiedniejszym narodem na świecie, mamy tylko garść ludzi, którzy, mimo ciężkich warunków, wysoko wznoszą sztandar imienia polskiego. Tymi ludźmi jest garść artystów-parjasów i garść przemysłowców.

— To już dwie garście — wtracił półgłosem Nilecki.

Villard miał ochotę parsknąć śmiechem, uczuł jednak w tej samej chwili na swojej ręce pod stołem miękki dłoń Nuny.

Mowa Nienazyckiego zgasła w jego świadomości, jakgdyby Nienazycki zaniemówił. — Robert ujął miękkie palce Nuny i ścisnął je lekko, pieścił, czując taki sam uścisk w odpowiedzi. Miłe ciepło ogarnęło go i jakaś słodycz zwała się na piersi, hamując oddech na chwilę. Nagle zobaczył utkwione w siebie duże, ciekawe źrenice Nileckiego — i bezwiednie, nieco za prędko, wyjąwszy rękę z pod stołu, zaczął się bawić podstawką, wlepiając jednocześnie wzrok w majestatyczną, natchnioną twarz

Nienazyckiego, który mówił dalej, niezrażony mimowolną uwagą Kocia.

— Ta garść przemysłowców, którzy, ofiarowując swój talent, swoją pracę i swoje majątki, podnoszą dobrobyt kraju i jego znaczenie, jest jak owa garść żołnierzy, którzy walczą pod sztandarem ojczyzny. Przemysł, to przyszłość każdego kraju i narodu. Bez przemysłu niema życia. Dlatego rozumiejąc znaczenie tego nervus rerum współczesnego świata, mam zaszczyt powitać przedstawiciela wielkiego kapitału, który się między nami znajduje. Mówię tu o panu Robercie Villardzie, który dzisiaj przystąpił do spółki naszego towarzystwa eksploatacji lasów z kapitałem pół miliona rubli, na które 150.000 zalicki złożył w moje ręce.

W tej chwili Nuna uczuła jakgdyby uderzenie w głowę. — „Stało się” — pomyślała z nieoczekiwanym żalem. — „Villard wpadł”.

— Panie, — przerwał nagle uroczystą mowę Villard, — wiem o tem, że nie wypada przerywać mówcom, ale zasługa moja jest zbyt mała. Moje 500.000 to kropla w morzu. Wszakże tam są reprezentowane kapitały daleko większe, chociażby pana Nileckiego.

Kocio chrząknął lekko zmieszany. Nienazycki zaś kiwnął dobroliwie głową.

— Tak, ale zapomina kochany pan, że nasz przyjaciel Nilecki, umieszczając cały swój kapitał w naszej spółce, zna dobrze ten interes i wie, rozumiejąc stosunki, że ten rok przyniesie najmniej 15 procent dywidendy. Pan zaś, drogi panie Villard, tylko co przyjechałeś i tylko twojej rzutkości i śmiałości zawdzięczamy, że kapitał naszego Towarzystwa powiększa się o pół miliona. Na to, że zdecydowałeś się na swój udział, potrzebował pan kilku zaledwie minut. To zupełnie po amerykańsku,

a ponieważ Ojczyzna nasza potrzebuje właśnie takich ludzi, dlatego poważylem się wynieść pańskie zasługi ponad poziom. Tak, kochany panie Villard! Szanowny ojciec pański zdobył majątek na polskiej ziemi, a pan, mimo to, że przebywałeś stale zagranicą, odczułeś odrazu potrzeby naszego społeczeństwa, a przystępując do spółki, dałeś dowód, że jesteś dobrym obywatelem kraju, dobrym patriotą i dobrym Polakiem. — Dlatego wznoszę toast: Niech żyje Robert Villard!

Panowie podnieśli się zgodnie — powtarzając ten sympatyczny dla Roberta okrzyk. Cztery kieliszki napełnione winem wyciągnęły się ku niemu, a potem cztery prawice, które ścisnęły jego rękę serdecznie.

Nuna jednak siedziała bez słowa, nie biorąc udziału w tej ogólnej manifestacji. Miała wrażenie, że dzieje się coś obrzydliwego, czego nietylko jest świadkiem, ale i uczestniczką. Szczera, zadowolona twarz Villarda, który w krótkich słowach podziękował za zaszczyt przyjęcia go do spółki, prowadzonej tak świetnie przez szanownego dyrektora Nienazyckiego — nasuwała jej myśli zrodzone ze złych przeczuć. „Co on sobie pomyśli, jeżeli cała sprawa się wyda?” — myślała z niepokojem. Przecież to zwyczajne oszustwo, Nielecki niema ani grozza, a Nienazycki...?

Uśmiech ironiczny i gorzki przesunął się po jej ustach. „Wszystko oszuści, kłamcy i szantażyści. A ja między nimi”.

— A pani nie życzy mi tak dobrze, jak pani mąż? — zapytał nagle Villard.

— Dlaczego pan wątpi? — spytała lekko zmieszana — czując na sobie zimne spojrzenie Nienazyckiego.

— Niechce pani tracić brzegiem swego kieliszka o mój. Czyż to nie dowód? — odpowiedział z miłym uśmiechem.

Nuna wyciągnęła rękę, aby uczynić zadość jego prośbie. Kieliszki z cichym brzękiem zadrżały w ich palcach. Villard nachylił się nieco nad stołem, pragnąc lepiej spojrzeć w jej oczy, które zniknęły pod rzęsami opuszczonych powiek.

Nienazycki patrzył na nich i lekki uśmiech zadowolenia przesunął się po jego senatorskiej twarzy. W zimnych oczach zapalił się błysk tryumfu.

— Panowie — rzekł, gładząc brodę... — Do dna! Takiego zdrowia nie można pić połowicznie. Za pomyślność naszych interesów.

— Za pomyślność! — dodał z ironicznym grymasem Olimpijski. — Żeby pan Villard jaknajprędzej miał te 15 proc. dywidendy.

W tej chwili jednak, kiedy panowie podnieśli kieliszki do ust, Nuna nagłym ruchem ręki odsunęła krzesło i wstała.

— Panowie wybaczą — rzekła, widocznie panując nad wewnętrznym rozdrażnieniem. Ale muszę opuścić wasze towarzystwo.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Villard zaś wstał również.

— Pani słabo? — zapytał głosem pełnym niepokoju.

— Nie, nie! Za chwilę będę z powrotem — odpowiedziała zapłoniona. Nie patrząc na nikogo, wyszła szybkim krokiem, wiodąc za sobą dwa różne spojrzenia: niespokojny, rozżalony wzrok Roberta i chłodne, pół nienawistne, a jednocześnie groźne spojrzenie Nienazyckiego.

— Co się stało pańskiej żonie? — zapytał niespokojnie Villard, patrząc na Nienazyckiego...

Starszy pan stał, uśmiechając się jakimś dziwnem skrzywieniem ust, pół pogardliwym, pół litośnem. Poglądził fryzowaną brodę i skłoniwszy się, rzekł:

— Może przejdziemy do mego gabinetu? Jest projekt, byśmy resztę wieczoru poświęcili na pokera. Czy pan nie przeciwko temu niema, panie Villard?

— Przeciwnie, bardzo lubię karty — odpowiedział z roztargnieniem młodzieniec. Wszyscy wstali, zamieniawszy ukłony, Nilecki zaś podszedł w tej chwili do Villarda.

— W jakie gry pan najlepiej lubi grać? — zapytał z zainteresowaniem zawodowego gracza.

— W „chemin de fer” — odpowiedział spokojnie młodzieniec.

Widać było, że ta odpowiedź zrobiła ogromne wrażenie na Kociu.

— I grywa pan? — dopytywał się.

— Owszem! Jak się zdarzy. Specjalnie po szulerniach nie chodzę.

— No, naturalnie. Ale jak się zdarzy jakaś sytuacja odpowiednia?

— Wtedy gram — potwierdził Villard, myśląc najwidoczniej o czem innem.

Tymczasem Nienazycki szerokim gestem zapraszał ich do przejścia do innego pokoju. — Weszli wszyscy do gabinetu, gdzie ustawiony był już stół o zielonym blacie, oraz leżało kilka talji kart, nie rozpieczętowanych.

Villard stracił jednak humor zupełnie i był coraz bardziej roztargniony. Bardzo być może, że dlatego właśnie Nieżycki rzekł, biorąc pod rękę Nileckiego.

— Kociu, ty jesteś jak u siebie. Zastąp mnie w roli gospodarza, a ja panów przeproszę i pójde zobaczyć, jak się moja żona czuje.

— Jeżeli się czuje źle, niech pan zaraz zatelefonuje po lekarza — zawołał z młodzieńczą szczerością Villard. — Z takimi rzeczami niema co żartować.

— Niech pan się nie obawia — wtrącił Olimpijski, obcinając koniec cygara nożykiem. — Kobiety mają twarde zdrowie. To tylko napozór są takie delikatne i subtelne, w rzeczywistości jednak każda jest na wszelkie bóle sto razy bardziej zahartowana niż my.

— Przypuszczam, że słowa pańskie dyktuje może jakieś rozżalenie do kobiet, bo o ile zdążyłem i potrafiłem zauważyć, w życiu bywa przeciwnie — odpowiedział Villard.

Tymczasem Nienazycki przeszedłszy kilka pokoi, stanął przed drzwiami jej buduaru. — Wszedł, nie pukając. W tej chwili jego łagodnie i dobrotliwie uśmiechnięta twarz, w którą się stroił przez cały wieczór, była zimna i posępna. Gdy stanął na progu, jego szare, białawe oczy zaiskrzyły się blaskiem zimnego noża. — Poszukał wzrokiem Nuny i stał chwilę milcząc, nie odrywając jednak wzroku od wciśniętej w róg kanapki Nuny, która jakgdyby nie zauważywszy jego obecności, nie drgnęła nawet!

— Co to znaczy? — zapytał po chwili przez zaciśnięte zęby. — Zaczynasz robić jakieś hece...?

Nuna milczała, ukrywając twarz w splecionych ramionach.

Nienazycki wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. Usiadł na krzeselku naprzeciw niej i nie odrywając oczu, pytał uparcie:

— Co ci jest i co ci się stało?

— Nic mi nie jest — zabręczała cicha odpowiedź.

— Dlaczego odeszłaś z taką miną, jakgdybyś była w jaskini zbójców?

Ramiona pięknej kobiety drgnęły, a głowa podniosła się zwolna. Nuna zwróciła pobladłą twarz w jego stronę i, patrząc mu w oczy, rzekła z naciskiem:

— Alboż tak nie jest?

Nienażycki zbladł. Chwilę siedział, walcząc z nagłą wściekłością, która mu szła do gardła, poczem, opanowawszy wzburzenie, rzekł przyciszonym, matowym głosem:

— Radzę ci opanować trochę nerwy, które zanadto igrają. — Od kiedyż to zrobiłaś się taka moralna?

— No, nie od tej chwili kiedy ciebie poznałam, to napewno.

— I nie przedtem! — Zaczynasz tracić pamięć. Przypuszczam, że nie chcesz, bym ci ustawicznie przypominał.

— Nie potrzebujesz mi nic przypominać, bo ja wszystko pamiętam zawołała Nuna, czerwieniejąc się gwałtownie.

— Stary twój system, który dawniej miał znaczenie, kiedy jeszcze przypuszczałam, że jesteś nędzarzem, ale nędzarzem uczciwym. Dawno jednak straciłem to przekonanie — i dawno wiem, że jesteś łotr, łotr skończony.

— Tylko tyle? — zawołał, śmiejąc się zjadliwie Nienażycki. I cóż więcej.

— To chyba wystarczy.

— Nie, to mało, bo skoro jestem twoim męzem, powinienem być czemś gorszym od łotra! Bo jeżeli ja jestem łotrem skończonym, to czemże

ty jesteś, ty, która swoje czterdzieści dwa lata spędziłaś...

— Ach milcz, milcz ty! — zawołała Nuna, zaciskając podniesione pięści do góry.

— Dlaczego mam milczeć, co? — krzyknął zduszonym głosem Nienażycki, chwytając ją za rękę. — Komu ty śmiesz przyganiać i wyrzucać łotrstwo, ty łotrzyco, która rzuciłaś w błoto Warewiczową, a Warewicza w grób! — Ty mi śmiesz zarzucać łotrstwo?

Ty, co masz duszę czarniejszą od smoły, a sumienie zbrodniarza z pod szubienicy. Ty przewrotna żmijo! — ty handlarko pocałunków i uścisków, ty rajturko nikczemna!

— Ale złodziejką nie byłam nigdy! Ani złodziejką, ani oszustką. A to, co ty chcesz zrobić, jest nikczemnem złodziejstwem! — zawołała Nuna, zrywając się z kanapki.

— Co?... co chcę zrobić? Chcę zarobić trochę pieniędzy! — zawołał Nienażycki. — Tak ci żal milionów Villarda! Myślisz, że je powachasz bezemnie?... Jeżeli ja z niego nie wycisnę, to i ty tego nie dokażesz...

— Ach, jakis ty nikczemny! — zawołała Nuna, załamując ręce. — Tobie się zdaje, że już każdy na świecie myśli jedynie o szantażu i o cudzych pieniądzach. Nie, ja nie chcę widzieć na oczy jednego szeląga z jego pieniędzy, ale nie chcę, żebyś i ty je miał!

Nienażycki wstał i podszedł do niej blady i trzęsący się z gniewu.

— Jak ty powiedziałaś? — wymamrotał — ty nie chcesz, abym ja grosz widział z tego interesu? Czyś ty zwarzowała — idjotko?!

— Nie oszalałam! Ja tylko nie chcę, aby Villarda ograbił — rozumiesz? Rób sobie co chcesz, ale od jego pieniędzy ci wara!

— Wara? mnie wara? Czy ty jesteś jego matką czy żoną? opiekunką? narzeczoną? kochanką? Czy zupełnie już nie wiesz, co machluje twój jeźor?! — syczał przyduszonym głosem Nienazycki, pieniać się z wściekłości. Załujesz jego nędznych 150,000, a czy wiesz ile on ma? Więcej niż myśmy przypuszczali. Jego 150,000, to „marny grosz” wobec jego majątku! Rozumiesz?

— Niech sobie ma, ile chce! — ale ja nie dopuszczę do tego, by miał być tu ograbiony, Twoje całe „towarzystwo” — jest zupełnem oszustwem. Nie macie żadnych kapitałów, wszystko kłamstwo. Papiery sfalszowane — jego pieniądze pójdą na szampana.

— Pójdą na to, na co mi się będzie podobalo! O tu je mam — zawołał Nienazycki, z tryumfem uderzając się ręką po sercu. — Tu mam czek na 150,000, które jutro podniosę!

— A ja nie chcę, ja nie chcę — zawołała z histerycznym, ostrym krzykiem Nuna. — Ty go wpakujesz w takie błoto, że go zaaresztują, wywiozą. Ja znam twoje „interesy”. Bamberg już siedział! — krzyczała cienkim, piskliwym głosem, drąc chustkę trzymaną w rękach na kawałki. Jej piękne oczy rzuciły płomienie oburzenia, a twarz mocno blada oblewała się co chwila krwią rumieńca. Cała ta scena była dla Nienazyckiego tak niezrozumiała, że mimowoli uspakajał się, jak ktoś, kto niespodziewanie dochodzi do przekonania, że rozmawia z chorym, który nie jest odpowiedzialny za swoje słowa. Nienazycki patrzył na nią, badawczo i podejrzliwie, przenosząc wzrok to na nerwowo

szarpiące batyst ręce, to na jej czoło zroszone potem.

— Tyś się upił! — zawołał nagle, jakgdyby rozwiązując skomplikowaną zagadkę.

— O, bądź spokojny — odpowiedziała mu z oburzeniem. — Nie jestem pijana. Wiem doskonale co mówię. Jeżeli go bronię, to mam prawo strzedz go przed twoją zachłannością. — Ten chłopiec nie zna życia i lezie z ufnością w świat. Wyobraża sobie, że jesteśmy ludźmi bez skazy — i ty chcesz przygotować mu takie rozczarowanie? To więcej znaczy, niż strata 150,000!

Nienazycki patrzył na nią oczyma, które coraz bardziej rozszerzały się ze zdumienia.

— Jesteś chora — rzekł. — Ja ci sprowadzę lekarza!

— O nie zastraszysz mnie szyderstwem — zawołała, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem. — Nie jestem ani pijana ani chora! — Mnie tylko zał tego chłopca — i nie dam mu zrobić krzywdy. Nie dam!

— Więc co? Może pójdziesz do niego i powiesz, że twój mąż jest oszustem? Może razem z nim wpakujesz mnie do więzienia? — zawołał Nienazycki, wstając. — Och Nuna... pamiętaj!

Jego oczy w tej chwili tryskały ogniem — Z pod nachmurzonych brwi padały spojrzenia, jak ostrza skrytobójczego sztyletu i godziły w jej źrenice zdecydowane na wszystko, pełne nienawiści i pogardy.

— Jakbyś wiedział, że tak zrobię! — Jeżeli mu nie oddasz pieniędzy — powiem!

— Powiesz? — zasyczał Nienazycki, zbliżając się do niej.

— Powiem!

— Powiesz? — powtórzył, — ty, zwierzę nikczemne! Powiesz? A wiesz, co ja zrobię? co, wiesz? — mówił, chwytając ją nagle za ręce. — Ja cię nauczę spiskować przeciw mnie! Już ci zapachniał młokos, jużbyś poleciała za nim, stare pudło, pobielany grobie! Zapachniał ci nowy kochanek. Mało masz Dyzia i Białonoga? — Chcesz jeszcze jego?

Oto, ja ci na to odpowiem, że wpierw zdechniesz, nim mnie wydasz.

Kobieta szarpnęła się z całych sił, pragnąc wyrwać swoje ręce, które ścisnął jak kleszczami.

— Puść mnie, i tak powiem! Puść! — krzychała. Dostę mam tego życia, złodzieju cudzych pieniędzy! Będiesz gnął w kryminalne. Będiesz zdychał na więziennym sienniku, ty bydlaku. Puść mnie, ty oszuście!

Nienazycki dyszał — przysunawszy swoją twarz do jej twarzy tak, że prawie stykały się ich rzęsy.

— Powiesz? — syczał przez zaciśnięte zęby.

— Powiem, powiem — odpowiedziała z nieprzytomnym uporem. — Powiem. Całemu światu powiem.

Wtedy Nienazycki puścił jej lewą rękę — i, błysnąwszy w powietrzu herbowym pierścionkiem, który miał na palcu — wymierzył policzek. Rozległ się trzask, jak kłasnienie z bata i coś w rodzaju chlupiącego jęku. — Nuna krzyknęła zduszonym głosem, w którym drżało śmiertelne przerażenie, strach, wstyd, nienawiść, pogarda, wszystkie uczucia pomieszane razem, stopione w jednym krzyku wydartym z piersi. W tej chwili, nim zdążyła oprzytomnieć, uczuła drugi raz piekący ból w twarzy i szalony przestach, chwyciwszy ją za włosy, szarpnął w tył.

Jej płonące źrenice jakgdyby przypadkowo natknęły się na zmrużone i schowane pod zsunie-

temi brwiami oczy Nienazyckiego, które zdawały się szarpać jej wnętrzości zakrzywionymi hakami nienawistnych spojrzeń. — Nienazycki, nie mówiąc słowa, z zaciśniętymi ustami bił ją, wymierzając głośno policzki raz po raz, to z lewej strony, to z prawej, prędko, miarowo i silnie, tak silnie, iż zdawało się pięknej aktorce, że zakolysał się ukryty w jej głowie dzwon, waląc żelaznem sercem o śpiżowe ściany. — Całą jej głowę ogarnął płomień, który po każdym uderzeniu buchał co raz to jaśniejszym płomieniem i coraz gorętszym żarem palił jej twarz, oblepioną mokremi włosami, przylegającemi do czoła i twarzy w rozczochranych kosmykach, zlepionych łzami i potem strachu. — Nagle Nienazycki jakgdyby podniecając się własną wściekłością, zanurzył lewą dłoń w jej pięknych, z taką starannością ułożonych włosach — i, pociągawszy ku sobie jak łachman, szarpnął raz, drugi, poczem odepchnął ją od siebie jednocześnie silnem kopnięciem nogi w udo, rzuciwszy półprzytomną, zalaną łzami na otomanę.

— Powiesz? — zasyczał, nachylając się nad nią?

Odpowiedział mu zduszony spazm szlochu.

Nuna, z głową okrytą rękoma, wciśnięta w róg kanapki, rzucała się całym ciałem, jak ryba wyjęta z wody. — Szloch zmienił się w cichy jednostajny jęk, nie przerywany oddechem. Był to bolesny, zaiste płacz, pełen rozpacz i bezsilnej nienawiści. — Nagle jakgdyby dla jeszcze jaskrawszego podkreślenia tej ohydnej sytuacji, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, a wślad za niem zabrzmiał łagodny głos Villarda:

— Czy można?...

Nienazycki drgnął. Mimowoli przesunął rękę po brodzie, jakgdyby chciał jej nadać bardziej spokojny wygląd.

— Przepraszam, ze państwa niepokoję, — mówi Villard za drzwiami, ale my wszyscy czekamy. Wice-gospodarz polecił mi poszukać państwa.

Nienależycki, poprawiając pośpiesznie rozwichrzone włosy i przekreścony krawat, prędko na palcach podszedł do drzwi i nie otwierając ich, zaczął mówić wykrzywiając twarz żartobliwym uśmiechem.

— Ależ, kochany panie Villard — przepraszam bardzo! — Moja żona czuje się trochę słaba... Pan nam wybacz, troskliwa opieka kochającego męża lepiej pomoże niż recepta lekarza. Prawda? — Za chwilę będę panom służył.

— Czy żona pańska tak źle się czuje? — brzmiał z poza drzwi niespokojny głos Villarda. Może pan pozwoli pójść po lekarza. Na tej samej ulicy mieszka. Wiem gdzie.

— Ależ nie, nie, kochany panie Robercie, to drobnostka, lekka migrena. Dziękuję panu bardzo za troskliwość... O... moja żona również kazała panu podziękować. Niech się pan nie niepokoi, mówił Nienależycki, przysunawszy usta do szpary drzwi. Za pięć minut będę w gabinecie.

— Zatem dobrze. Proszę, niech pan wyrazi pani Nienależyckiej moje serdeczne współczucie. Czekamy.

Nienależycki stał jeszcze chwilę, nadsłuchując, poczem odchodząc od drzwi, rzekł:

— Ten „szczeniak” — coś zanadto się tobą opiekuje.

Głośniejszy szloch Nuny odpowiedział mu cichym jękiem.

— Widocznie masz powód go tak bronić. Kilka godzin wystarczyło, abyś zapomniała o swoich obowiązkach względem mnie — mówił Nienależycki, gładząc włosy przed lustrem szcztoką Nuny. —

Ale ja cię oduczę tych hysterji. — Ja cię nauczę porządku i posłuszeństwa, ty małpol!

Powiedziawszy to, Nienależycki przejrzał się jeszcze raz w lustrze, obciągnął kamizelkę i zgiąwszy kilka razy ręce i nogi, aby się przekonać, czy ubranie czasami się gdzie „nie ciągnie” — podszedł do drzwi.

— Dzisiaj już nie wychodź. — Powiem, żeś chora. Najlepiej będzie, jak się położysz spać.

I nie spojrzawszy na nią więcej, wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą. Jednocześnie jego rozchmurzona, odpychająca twarz złagodniała. W miarę też jak szedł w kierunku gabinetu, wypogadzała się jak niebo objęte chmurami. Gdy wszedł do gabinetu, oblicze Nienależyckiego tchnęło tą „samą pogodą i jasnością co przedtem, z wyjątkiem oczu, w których można się było dopatrzeć tkliwego niepokoju — wywołanego niespodziewaną niedyspozycją drogiej żony. Była to charakterystyczna specjalnie dla Villarda, który przywitał go naprawdę niespokojnym i pytającym wzrokiem.

Nagle oczy Nienależyckiego zajaśniały radością, a ramiona otworzyły się serdecznie. Zobaczył siedzącego Sękorzewskiego i podszedł do niego z wyciągniętą prawicą.

— Nareszcie, kochany hrabio, myślałem, że już ordynat nie przyjdzie dzisiaj.

Hrabia przywitał się z nim jak zwykle z właściwą sobie nonszalancją — i zapytał:

— Co to, Nunka podobno chora?

— E, głupstwo, wypila kilka kieliszków wina i rozboleła ją głowa. Niema powodu do niepokoju.

— No, to w takim razie możemy zagrać — rzekł z wyraźną ulgą Nilecki.

— I owszem — wtrącił hrabia.

— Doskonale, — potwierdził Krasanow.

— A pan, jak się na to zapatruje? zapytał Nienażycki Villarda.

Wszystkie oczy spoczęły z wyraźnym niepokojem na twarzy Roberta.

— Ja?... z przyjemnością — odpowiedział Villard z widocznym roztargnieniem.

— W takim razie sprawa załatwiona — zawołał Olimpijski mimowolnie, zacierając zadowolonym rękę.

VII.

Przy okrągłym, dosyć dużym stole, siedziało sześciu panów grając. Przed każdym z nich prócz banknotów stał kieliszek z dobrym węgrynym, który gracze pociągali w miarę, jak im na to pozwalał nad wyraz drogi czas. Najmniej stosunkowo pieniędzy leżało przed Nileckim, który pożyczwszy wczoraj od Krasanowa na rachunek Villarda pięćset rubli, przeznaczył na grę tylko dwieście, resztę obiecując sobie schować na konieczne wydatki. Natomiast przed Nienażyckim leżała suma dość duża, o ile sądzić można było z większej ilości banknotów poukładanych starannie jedno na drugim.

Tuż koło niego siedział Sękorzewski, nie rozstając się nawet przy kartach ze swą laską, na której, w chwili rozdawania kart, opierał się, jakgdyby ciężko mu było siedzieć. Twarz miał jak zwykle obojętną, prawie śpiącą, której nawet hazard nie był w późności ożywić. Był też zupełnym przeciwnieństwem Nileckiego, który, udając spokój, pożerał oczyma karty i pieniądze. Ilekroć kto zgarniał większą sumę, Kocio odprowadzał ją rozżalonym wzrokiem, jakgdyby wymawiał pogniecionym banknotom zdradę. Najobojętniej zachowywał się Vil-

ladd i Krasanow. Robert kładł pieniądze, najwiśdoczniej myśląc o czem innem, nie śledząc nikogo wyczekującym spojrzeniem, jak również nie szarpiać nerwów przeciwników „filowaniem”, co Kocia zwłaszcza i Olimpijskiego doprowadzało do widocznego zdenerwowania. Bez trudu też można było zauważyć, że rezultat wygranej jest mu zupełnie obojętny. Kiedy wygrawszy zbierał duże sumy ze stołu, czynił to tak, jakgdyby był całe życie do tego przyzwyczajony, gdy natomiast wyrokiem losu był zmuszony zapłacić „bank”, którego nie pobił — odliczał pieniądze z miną wprawnego urzędnika bankowego, któremu wszystko jedno, co się z temi pieniędzmi ma stać. Zachowanie jego i ten obojętny spokój doprowadzał Kocia do coraz to namiętniejszych, choć starannie ukrytych wybuchów złości. Co za „szmendryk”! — myślał z zawiscią. Gra jak na orzechy. Djabli człowieka mogą wziąć. Tymczasem „szmendryk”, istotnie był w coraz gorszym humorze i grał z wyraźną obojętnością. Zwróciło to też uwagę Nienażyckiego, który panując nad nerwami, grając z pozornym spokojem, mimo to, że każda większa wygrana rozpalala w nim gorączkę złota; jakgdyby dobierał się do złotej żyły, każda zaś przegrana wywoływała stalowy błysk w oczach, starannie maskowany uprzejmym uśmiechem. On jeden może z całego towarzystwa czuł się najlepiej, najwłaściwiej w tej atmosferze, która coraz bardziej stawała się podnieconą. W dymie cygar, oparze wina i w rozkładających się oddechach najedzonych ludzi, oddychał jak ptak wypuszczony z klatki na swobodę. Dla Nienażyckiego gra nie była tylko denerwującą rozrywką lub drogą chciwca, pragnącego wygrać.

Chemin de fer, był dla niego uroczystością, ekstazą, upojeniem, czemś co ponad życiowem ja-

rzemem wznosiło się do potęgi rozkosznego dreszczu. Dla człowieka, który przetasował całe swoje życie, utopiwszy w ryzykownej grze wszystko co posiadał, oczekiwanie na piątkę mając w rękach cztery, sięgało do wnętrza, szarpało nie tylko nerwy pragnieniem wygranej, ale samo przez się stanowiło rozkosz, jak pierwszy dreszcz miłosny w objęciach kochanki. Z tego też powodu Nienazycki uchodził między graczami za gentlemena, co dowodzi, że aby zdobyć ten zaszczytny tytuł, należy przede wszystkim skryć swe właściwe namiętności. Nie chodziło mu przy grze o wygraną, to było widoczne. Ale nie chodziło mu o powiększenie swego kapitału dlatego tylko, że sama była dla niego czemś w rodzaju gościnnego występu zamilowanego aktora, który w samej istocie swego zawodu znajduje taką rozkosz, iż zapomina na razie, o wątpliwym honorarju, które mu przyrzekł prowincjonalny dyrektor teatru.

Po grze obliczał wygrane pieniądze ze starannością kasjera, który niedobory pokrywa z własnej chudej pensji. Należy jednak przyznać, że rzadko kiedy wychodził pobity. Los nie chciał go doświadczać po raz drugi, biorąc prawdopodobnie pod uwagę Górny Potok, który kiedyś posiadał, a z którego wysadziło go „oczko” w niedostatecznej ilości zjawiające się w jego kartach.

Od pierwszej też chwili zapanował nad grą. Dostawszy „bank” w swoje ręce założył go ze stu rubli. Koło niego siedział Villard, który nie patrząc prawie na stół, powiedział jak zwykle: „po banku”. Przegrał. Nielecki głosem niezupełnie zdecydowanym rzucił te same słowa. Przegrał i położył pieniądze z lekkim westchnieniem, które mu wypłynęło z ust, jak niedostrzeżona ciekawka.

— Czterysta rubli w banku, zawołał Nienazycki, kierując wzrok na Olimpijskiego. Ten zawałał się. Na semickiej twarzy, zjawiał się wyraz skupienia, i jakgdyby lekkiego przestachu, który skierował jego szybki wzrok na stos papierów i zdawał się wywacpiwać w nim przychylny dla siebie nastrój. Nareszcie machnął ręką i rzekł:

— Sto!

Padły karty, rzucone wprawna ręką Nienazyckiego, który nie dobierając trzeciej, rzucił je na stół. Było osiem. Olimpijski bez słowa położył żółty banknot i zaczął się wpatrywać w Krasanowa, na którego szła kolej.

— 500 rubli w banku, rzekł spokojnym głosem Nienazycki.

— Wszystko — odpowiedział matowym głosem Krasanow, wyciągając rękę po kartę.

Dostał dwie karty — i kiwnął głową.

— Dosyć — rzekł półgłosem.

Nienazycki przygryzł lekko usta i obejrzał swoje.

— Miał asa i trójkę. Zastanowił się. Ciągnąć, czy nie ciągnąć? Do czterech trzeba. Ale co on tam ma? przemknęło mu przez myśl... Może chce tylko przebić pase... wszystko jedno. Wziął jeszcze jedną kartę. Była trójka. Położył ją na stole powiedziawszy mimowoli z pewną ulgą:

— Siedem.

Krasanow rzucił swoje karty na stół i bez słowa zaczął odliczać pieniądze.

— 1000 rubli w banku, rzekł tym samym, niby spokojnym głosem Nienazycki, zwracając się do Sekerzewskiego. — No, ordynacie dwadzieścia wieków, patrzy na hrabiego.

— Tysiąc rubli — powtórzył z pewnem wahaniem hrabia, Zbiłeś pan ładny grosz, panie Nienazycki.

— Żadny, ale nie straszny dla ordynata.

— No cóż robić, daj pan, rzekł Sękorzewski wytrzeszczając oczy, co oznaczało u niego pewne skupienie myśli.

— Dostał dwie karty i zaczął się im przyglądać z jakimś szczególnym ironicznym uśmiechem.

— Jeszcze jedna — dodał po chwili. — Poczem wszystkie trzy, rzucił na stos zużytych kart.

— Przegrałem. Masz pan tysiąc rubli — rzekł, krzywiąc się nieznacznie.

Bank obszedł koło i przyszedł nienaruszony z powrotem do Nienazyckiego, przynosząc mu czystego dochodu tysiąc dziewięćset rubli.

Wszystkie oczy zwróciły się na Nienazyckiego, który zdawał się namyslać, poczem zdjawszy tysiąc czterysta rubli — zresztą dał do bicia Villardowi.

— Pięćset rubli!

— Biorę — odpowiedział Villard.

I wziął. Miał o dwa oczka więcej od Nienazyckiego.

— Dwa tysiące rubli — bank — rzekł nagle Villard, dorzucając trzy pięćsetrublowki.

Twarz Nileckiego pobladła nieco, a źrenice rozszerzyły się tak, jakgdyby wpuścił sobie do oczu atropiny.

— Dwa tysiące rubli — szepnął z pewnem wahaniem. Miał wszystkich pieniędzy pozostałych z pięciuset pożyczonego wczoraj, dwieście rubli.

— Bić, czy nie bić? myślał; prowadząc ciężką walkę z samym sobą. — Jeżeli wygram, to dobrze, a jeżeli przegram, Feler! Położę czek! Villard się nie orjentuje, a Nienazycki pomoże. Zatem biję!

— Po banku! — zawołał z determinacją, czując jednocześnie gorącą falę krwi spływającą do serca.

— Proszę, odpowiedział obojętnie Villard rozdając karty — uie zdążył jednak zobaczyć swoich, kiedy Nilecki z uśmiechem błogiej rozkoszy odkrył swoje, wyświecając szóstkę i trójkę.

Moje! — rzekł stłumionym głosem, ale z takim wewnętrznym i głębokim wrzuceniem, że Villard spojrzał na niego ciekawie. — W tej chwili rozległ się skrzeczący głos Sękorzewskiego, który utkwivszy swoje białe oczy w twarzy Roberta mówił ironicznie:

— Panie Villard. Musisz pan być bardzo kochany, skoro ci tak szczęście w grze nie sprzyja.

— Tem lepiej — odpowiedział młodzieniec dosyć chłodno. Wolę mieć szczęście w miłości niż w kartach.

— A ja w kartach, zaśmiał się Kocio. Bo gdy mam pieniądze, wszystkie kobiety mi mówią, że jestem czarujący.

— Nie wszystkie, nie wszystkie — zaprzeczył kiwając łysą głową ordynat. — Najwyżej te, które pan znasz bliżej.

— Wychodzę ze stu — przerwał mu Kocio, dając jednocześnie karty Olimpijskiemu. Przegrał jednak i oddał bank z miną pełną rozgoryczenia i zawodu, — Olimpijski natomiast wygrał kilkaset rubli i oddał Krasanowowi, który wyszeł z pięciuset i od razu je oddał Sękorzewskiemu. Hrabia wziął karty w rękę i namysliwszy się chwilę, położył przed sobą paczkę pięćsetrublowych banknotów.

— No, panie Nienazycki — rzekł, uśmiechając się złośliwie. Pięć tysięcy. — Bij pan po banku.

Ma foi. Pan przecież nie jesteś ani zakochany, ani znów tak ubóstwiany przez nikogo.

Ma pan szanse.

— Dobrze — rzekł Nienazycki, czując w portfelu czek Villarda na 150,000.

Przegrał i położył czek wydarty z książeczki.

— Dziesięć tysięcy, do pana Villarda — rzekł hrabia, patrząc na niego nie bez złośliwości.

— Villard zmieszał się nieco, nie tyle sumą, ile złośliwem spojrzeniem Sekorzewskiego.

— Bardzo chętnie — rzekł. — O ile panowie przyjmą moje чеки, chociaż, przyznam się, że lubię grać tylko na gotówkę — rzekł Robert.

Mamy nadzieję, że nie jest pan jeszcze pod kuratelą — wtrącił hrabia, niby od niechcenia.

Rzucił dwie karty i spokojnym ruchem rąk zaczął „filować”. Miał króla i asa. Nienazycki, który widział te karty, przygryzał usta z niezadowoleniem. Nie życzył źle Villardowi, ale miał szczerą chęć, jak i reszta graczy, zabrać mu chociażby z 50,000.

— Daję — rzekł Sekorzewski.

— Sobie — odpowiedział Villard — zapalając papierosa. Ponieważ nie mógł znaleźć na razie zapalaka, Nilecki pośpieszył z ogniem. Ręka, która trzymała zapalną drżała, a cała jego twarz pobladła i spocona wyrażała niespokojne oczekiwanie.

— Pan się tak emocjonuje? — zapytał półgłosem Villard, uśmiechając się łagodnie. — Wszakże tu chodzi tylko o pieniądze.

— Właśnie. potwierdził Nilecki nie spuszczaając wzroku z Sekorzewskiego, który doprawdy trzecią, „filował” znów, wyprowadzając z równowagi wszystkich pozostałych graczy, prócz Villarda. Wreszcie położył karty i rzekł z pewną niechęcią.

— Cztery.

— Pięć — brzmiała odpowiedź Villarda — rzucającego odkryte karty na stół. Była to dama i piątka.

— Wygrał pan — rzekł hrabia. — Pan Nienazycki trzyma bank.

Od tej chwili gra toczyła się właściwie między Sekorzewskim i Villardem. Powoli reszta uczestników stawała się figurantami zabawy, ryzykując małe sumy, które ginęły pod znagającymi się kapitałami Villarda i Sekorzewskiego. W odpowiedzi na pięć tysięcy, z których założył bank hrabia, Villard wyszedł z dziesięciu tysięcy, z których uszczknął trochę Krasanow, resztę zaś przegrał hrabia. Po pewnym czasie rozmowy zamilkły zupełnie, słysząc było tylko cichy brzęk kieliszków i silne sapanie Nileckiego, który zdawał się omdlewać z wrażenia... Gra przeciągała się coraz bardziej, stając się walką na pieniądze tych dwóch ludzi, którzy, mimo to, iż widzieli się pierwszy raz w życiu, zdawali się nienawidzić z całej duszy. Zwłaszcza Sekorzewski rzucał ironiczne słówka, mierzając przeważnie w miłosne szczęście Villarda do kobiet, jego powódzenie i niedoświadczenie, wynikające z młodzieńczego wieku. Robert zdawał się tego nie spostrzegać. Odpowiadał z uśmiechem, powoli jednak i w jego oczach rozpalał się blask niechęci, a usta odpowiadały szyderczym skrzywieniem. Wreszcie szala szczęścia, długo wahająca się między nimi, zaczęła stanowczo przechylać się na stronę Villarda. Robert wygrywał — rzucając pieniędzmi, „wychodząc” z banku założonego z 25 tysięcy rubli. — Hrabia bił, nie wymieniwszy innej formuły, jak „po banku”. — Obaj zdawali się zahypnotyzowani tą grą, w której co chwila dziesiątki tysięcy rubli przechodziły z rąk do rąk. Nagle Sekorzewski, utkwivszy zimne oczy w gorących źrenicach Vil-

larda, rzucił pytanie głosem chrapliwym, skrzeczącym jak zwykle, kiedy był podrażniony:

— Ile pan wygrał, panie Villard?

— Nie liczę pieniędzy przy grze, panie Sękorzewski — odpowiedział Robert tym samym tonem.

— To może pan przeliczy — rzekł spokojniejszym głosem ordynat.

— Bo co? Dlaczego mam liczyć? Przestajemy już grać? — zapytał Villard z jakąś studencką nonszalancją.

— Nie, ale ja chcę się odbić, stawiając tę samą sumę — odpowiedział Sękorzewski.

— Ja mam bank, mogę panu dać do bicia więcej niż pan przegrał.

— Dobrze. Ile pan daje? — spytał Sękorzewski, opierając się obu rękoma na lasce.

— Ile pan sobie życzy.

— Pięćdziesiąt tysięcy, ale pod warunkiem.

— Proszę, zgadzam się na każdy.

— Że ten, kto wygra, ofiaruje całą sumę na cel dobroczynny, złożwszy ją na ręce naszej gospodyni — dokończył hrabia.

Wszyscy spojrzeli po sobie z wyraźnym zdumieniem. Poczem jedni patrzyli na Nienależyckiego, drudzy na Villarda. Olimpijski przymrużył jedno oko, drugim świdrował lekko zmieszaną i zdziwioną jednocześnie twarz Nienależyckiego, który wplątawszy palce w fryzowaną brodę, targnął ją lekko nerwowym ruchem.

Villard powiódł po wszystkich swoim łagodnym, jasnym wzrokiem i lekki uśmiech ucałował jego wargi.

— Ależ i owszem, zgadzam się, — rzekł — lecz jeżeli pan stawia warunek, niech mi woln będzie prosić pana o ten sam przywilej dla mnie

— Proszę, słucham, — szepnął Sękorzewski zmęczonym głosem.

— Że nie pięćdziesiąt tysięcy rzucamy na los szczęścia, ale sto. Jeżeli nasza urocza gospodyni ma być wykonawczynią — przypuszczam, że żadna suma nie będzie się panu wydawała zbyt wielką.

— Niech go djabli wezmą — szepnął zachwycony Kocio do Olimpijskiego.

— Zgadzam się — rzekł Sękorzewski.

Villard spokojnym ruchem rąk utworzył podłużną książeczkę czekową i, napisawszy żadaną sumę, wydarł czek i położył go na stole.

Szybko, z takim samym spokojem jak zawsze, rozdał karty. Sękorzewski zażądał trzeciej. Wszyscy powstali z miejsc i skupili się za plecami graczy. Za krzesłem Sękorzewskiego stanął poblady nieco, lecz milczący i poprawny Nienależycki oraz Krasanow, który zagryzał wargę do krwi i patrzył w karty „filującego” hrabiego, oczyma, które zdawały się przeglądać złożone tekturki nawskroś.

Za Villardem stanął Kocio, odpychając lewą ręką pchającego się jak w oczarowaniu Olimpijskiego. Nilecki był prawie nieprzytomny z wrażenia.

Patrząc na zimną, spokojną twarz Villarda, jego chłodne ręce i pewne gesty, nie mógł dostatecznie się nadziwić tej pozornej obojętności, która cechowała młodzieńca.

Villard tymczasem, położywszy przed Sękorzewskim trzecią kartę, obejrzał swoje. W rękach młodzieńca czerwieniły się dwie damy: karowa i kierowa. Kocio westchnął, robiąc minę tak zmartwioną, jakgdyby w tej chwili słuchał czytanego wyroku śmierci.

Dokupuję trzecią — rzekł po chwili Villard, biorąc kartę z talji, lecz nie odkrywając jej.

W tej chwili oddech zamarł w piersiach stojących za nim graczy. Nilecki ścisnął rękę tak, że mu paznokcie wchodziły w ciało. Olimpijski sapał. Stojący naprzeciw nich Nienazycki blady, z dolną wargą drżącą pod wpływem zdenerwowania, nie panując nad sobą dłużej, wykształcił jakimś nieswoim, jakgdyby sztucznym głosem.

— No i co pan ma?

— Oto są pieniądze — rzekł. — A teraz los!

— Ja?... — spytał przeciągle Villard, odkrywając trzecią kartę. — Ja mam to, co tu leży: dziewięć.

— A ja żyr — odpowiedział hrabia, rzucając karty. — Dama, dziesiątka i walet!

Zaległa chwila milczenia.

Pierwszy przerwał ją Nienazycki, który, opamiętawszy wzruszenie, rzekł szlachetnym głosem:

— A ja, w imieniu biednych, którzy będą korzystali z tych pieniędzy, czuję się w obowiązku podziękować panom za szlachetną walkę.

— Wobec tego napijemy się wina — wtrącił Nilecki.

— A ja konstatuje fakt, że pan jest niepokonany, panie Villard — rzekł nagle hrabia, wstając z trudem z krzesła.

Robert uśmiechnął się pobłażliwie.

— Życzę panu żeby tak było zawsze i na wszystkich polach — dodał Sękorzewski z tym samym co i przedtem ironicznym uśmiechem.

— Dziękuję, postaram się, chociażby dlatego, by panu, panie hrabio, nie zrobić zawodu.

W tej chwili uczuł zupełnie nagle nieopisaną chęć zobaczenia Nuni. Miał wrażenie, że Nienazycki umyślnie nie pozwolił jej wrócić do kolacji. Gęsty dym cygar i papierosów wgryzał się w oczy i piekł do łez, rozdrażniając go jeszcze bardziej. W tej chwili nastąpiła zupełna reakcja jego po-

przedniego nastroju. — Villard pragnął jaknajprędzej opuścić towarzystwo, rozumiejąc jednak, że mogłoby to być poczytywane za chęć uniknięcia dalszego ciągu gry, na co, jak zauważył, liczyli wszyscy, w nadziei odegrania przegranych pieniędzy.

Villard jednak czuł ciężar niesłuchanie dusznej atmosfery i pragnął za wszelką cenę odetchnąć świeżym powietrzem.

W tym celu zwrócił się do Nienazyckiego i głosem niemal błagalnym rzekł:

— Drogi panie, pozwoli pan, że skorzystam z pańskiego balkonu, który widziałem w salonie — i trochę się odświeżę.

— Z największą chęcią! — zawołał Nienazycki i przypuszczając, że Villard uważa balkon za pretekst do opuszczenia towarzystwa, przycisnął guzik elektrycznego dzwonka.

— Dlaczego pan dzwoni? — zapytał ze zdziwieniem Villard.

— Nie zna pan dostatecznie rozkładu mieszkania. Rózia pana przeprowadzi.

Istotnie, opuściwszy zadymiony gabinet, Villard spotkał śpieszącą na głos dzwonka pokojówkę, która na jego widok zarumieniła się w sposób właściwy zarówno pokojówkom, które spodziewają się dużego napiwku jak i pannom na wydaniu, które oko w oko spotykają się nagle z domniemanym pretendentem do ich wdzięków.

— Pan czegoś szuka? — spytała dziewczyna, obrzucając go tkliwo — podziwiającem spojrzeniem.

— Tak. Szukam balkonu — odpowiedział.

— Ja pana przeprowadzę.

— Bardzo proszę.

Po chwili stał na balkonie, zawieszonym nad pustą i śpiącą ulicą. Nigdzie prawie nie paliło się

światło. Wszystkie okna pozasłaniane roletami miały wygląd zamkniętych oczu. Villard oparł się o balustradę i przymrużywszy powieki, patrzył na dziewczynę, która stała na progu, jakgdyby w oczekiwaniu, nie wiedząc co powiedzieć.

Po chwili sięgnął do kieszeni i namacawszy zwitek papierowych pieniędzy, nie patrząc, wsunął jej w rękę. Pokojówka uśmiechnęła się, podziękowała, ale nie odchodziła. To go irytowało. Chciał być sam i myśleć swobodnie o Nunie. Myślał o niej ciągle, mając teraz wrażenie, że rozmawia z nią w małym pokoju o wieczornym zmierzchu. Wydawała mu się w tej chwili cudownie piękna, i pociągająca, lecz gdzieś oddalona, jakgdyby dzieliła go od niej straszliwa, nieprzebyta przestrzeń. — „A przecież jest tutaj w tem mieszkaniu”, przemknęło mu nagle przez głowę. Napewno śpi w tej chwili słodko, ukrywając śliczną twarz w pachnących ramionach. A może cierpi? Może chora? Może ten jej mąż, jak wszyscy mężowie, bardziej jest czuły, gdy chodzi o jego szklanekę piwa, niż o zdrowie żony, kłamał, mówiąc, że jej nic nie jest?... To wszystko możliwe! — myślał dalej, poczem, nie czekając na dalszy ciąg swych niespokojnych myśli, zapytał stojącej na progu pokojówki:

— A jak zdrowie pani? Czy śpi?

— Pani leży — ale w tej chwili byłam i wiem, że nie śpi.

Wtedy opanowało go niespodziewane wzruszenie i nagle, jak grom, zahuczała w głowie zachwała myśl, żeby tam iść! Iść i zobaczyć ją, ach zobaczyć!

Wino, pite obficie podczas kolacji i gry, szumiało, wznosząc opary nad jego zmęczonym mózgiem. Wszystkie też sprzeczne myśli, wywołane wrażeniami ostatnich godzin, skłębione razem, za-

mieniły się w chmurę, z której padały pioruny nieugaszonego pragnienia.

Gorączkowym ruchem sięgnął do kieszeni i, wcisnąwszy w rękę Rózi nowy zwitek pieniędzy, rzekł przyciszonym głosem, pełnym płomiennego dreszczu:

— Idź, idź, proszę i powiedz, że ja chcę chwilę porozmawiać z panią. Muszę! Mam niesłychany interes!

Pokojówka uśmiechnęła się, usłyszawszy te ostatnie dwa słowa, ale powiedziawszy „dobrze”, cofnęła się w głąb pokoju.

— pozwoli, czy nie pozwoli? — myślał Villard prawie z rozpaczą.

W tej chwili był tak podniecony, że postanowił w razie, gdyby się nie pozwoliła odwiedzić, odejść i nigdy już tu nie wracać. Była to wprawdzie tylko chwila, niemniej jednak dowodziła silnie, jak bardzo Villard pożądał widoku Nuny. Na szczęście pokojówka wróciła rozpromieniona, przynosząc zezwolenie. Villard pobladł ze wzruszenia. Posłuszny wskazówkom Rózi szedł za nią na palcach i po chwili znalazłszy się przed drzwiami sypialni, drżącymi palcami zapukał zlekka, czując że serce trzepocze się w piersiach, jak złapany za skrzydło wróbel.

Odpowiedział mu szmer słów, który wydawał mu się czarującym śpiewem. Pchnął drzwi i wszedł.

Przywitał go lekki okrzyk zachwyty. Gdyby nie to, napewno Villard uczyniłby to również, gdyż na widok leżącej w łóżku Nuny, krew uderzyła mu do głowy, czego niewątpliwym skutkiem była niewypowiedziana słodka niemoc, ogarniająca go co raz silniej mocnym zamraczającym upojeniem.

Nuna leżała wpośród białych koronek, czarującą piękną — z oczami błyszczącymi, z twarzą

Jeszcze silnie zaróżowioną i dziwnie interesującymi cieniami wokoło oczu. — Po straszliwej katastrofie, jaka ją spotkała, piękna kobieta, z chwilą zamknięcia drzwi za nią, przestała od razu płakać wiedząc, iż nic tak nie psuje oczu starzejącym się kobietom jak łzy. Dr. Koss, ciągle jej to powtarzał. — Dlatego, zdusiwszy wściekłość jaka gorzała w jej piersiach, Nuna zerwała się z ziemi i spiesznie podbiegła do toalety. Policzki paliły ją, kwitnąć czerwienią jak krzak piwonji. Rozczochrane włosy spadały w zwilgłych strąkach, przylepiając się do czoła. Jej piękne oczy zgasyły zamglone łzami, które stały z twarzą wszystkie recepty dr. Kossa.

Nuna zadrżała z przerażenia i porwawszy się z miejsca, pobięła do drzwi. Zamknęła je na klucz z takim pośpiechem, jakgdyby broniła wejścia zbrodniarzom. — Poczem niezwłocznie rozplotła włosy — i umywszy twarz w przegotowanej wodzie, która zawsze stała w kryształowym dzbanie, usiadła znów przed lustrem.

„Jak ja wyglądam” — pomyślała z mienawiścią, przenosząc jednocześnie myśl, w kierunku Nienazyckiego. Ten łotr! — Czy jest na świecie większy podlec? — Ach, żebyś ty zdechł... szeptała, smarując twarz pachnącą maścią. Dopelnivszy toalety, czyli przywróciwszy swój poprzedni wygląd, zionąc bez ustanku przekleństwami, Nuna włożyła nocny keronkowy czepek i zadzwoniła na pokojówkę. Przy jej pomocy przeszła do sypialni i położyła się do łóżka naopowiadawszy jej wiele o swoim niesłychanym bólu głowy.

Od pierwszej do ostatniej chwili, to jest do wejścia Villarda, myślała tylko o nim i o zemście nad Nienazyckim. Postanowiła się zemścić. Nie mogła jednak pogodzić tych dwóch sprzecznych do pewnego stopnia zadań. Bo jeżeli miała wybrać

zemstę polegającą na zdemaskowaniu starego łotra przed Villardem, tem samem osłabiała i swoją względem niego pozycję. Chciała zatrzymać Roberta przy sobie, gdyż chłopiec ten podobał jej się bardzo, tym samym jednak popierała interesy Nienazyckiego, któremu tak bardzo na Villardzie zależało. Sytuacja więc była fatalna. Oba te uczucia, tak sprzeczne i różne, stopiły się wreszcie w jedno gorące (podobnie jak u Roberta) pragnienie zobaczenia Villarda. Propozycja więc, z którą przyszła uszczęśliwiona Różia, (która przez drogę przeliczyła z zachwytem ofiarowane pieniądze) — bardzo ją ucieszyła. Dała też skwapliwie swoje pozwolenie.

Villard zastał więc ją spragnioną i oczekującą. Nie mogąc opanować wzruszenia, młodzieniec, który lekceważąc własności wina, pił bardzo wiele — rzucił się bez słowa w stronę jej łóżka, i nim zdążyła cośkolwiek powiedzieć, zaczął okrywać jej białe, pachnące ramiona pocałunkami.

Nuna nie odepchnęła go. Przeciwnie, nie zdając sobie sprawy z powagi tej niespodziewanej sytuacji, pod wpływem niezwykłego wzruszenia, które nie pozwalało jej pamiętać o konwenansach, Nuna objęła jego szyję i przycisnęła piękną głowę Villarda do piersi.

— Mój, mój drogi chłopiec — wyszeptały jej usta bezwiednie. — Moje miłe bobo, moje bebe, mój koniak... mój skarb.

— Kocham cię, odpowiedział Villard czując pożar wewnątrz swych żył. Kocham cię od pierwszej chwili. Od tego spojrzenia, którem mnie przywitałaś wchodząc dzisiaj do salonu. — Och! ja sam nie wiem co się ze mną dzieje. Czuję ogień w piersiach, a w głowie szum. Kocham cię, mówił przerywanym głosem, przerywając zresztą sam, każde swoje zdanie gwałtownymi, mocnymi pocałunkami,

które spadały jak wiosenny grad na jej ręce, twarz i oczy.

— Jak to dobrze, żeś przyszedł, zaszemrał przy jego uszach rozmarzony głos Nuny. Czekałam na ciebie.

— Czekałaś? — powtórzył z jękiem szczęścia. Co za upojenie! Czekałaś? A ja marzyłem o tobie i tęskniłem do ciebie. Czekałem tam myśląc, że mnie przywołasz. Gdy się dowiedziałem, żeś słaba, chciałem biec, rzucić się do twych nóg i płakać. — Ale nie, tyś zdrowa! Prawda? Tobie nic nie jest? Tyś zdrowa! Prawda! Jesteś zdrowa i kochasz mnie! Ach powiedz, powiedz, że mnie kochasz!

— Kocham!

— Och — co za szczęście, wyszeptał obejmując ją ramionami. Ty mnie kochasz! Czy to nie jest cud? Kilka godzin temu poznałaś mnie zaledwie. Mój sen się wysnił. Marzenia z Cassino-Teatru sprawdziły się, przyoblekłszy się w ciało, w rzeczywistość, najbardziej czarującą, jakiej mogłem pragnąć! Ty mnie kochasz. A ja cię ubóstwiam — mówił przyciskając ją do piersi. Nie, ja szaleję — ja szaleję z radości i szczęścia.

Nie panując już nad sobą, Villard odrzucił jej ręce i utonął ustami w pachnących fałdach koronkowego neglizżu, nie dziwiąc się nawet, że ręce Nuny jakgdyby osłabły i nie przeszkadzając mu w niczem, leżały spokojnie z wbitemi w atlas kołdry paznokciami.

Gdyby w tej chwili zahuczały gromy — i sto piorunów biło po kolei w dach domu, w którym razem byli, Villard napewno by nie oderwał ust od jej wonnego ciała, drżącego pod jego wargami. Każdy ten dreszcz, jak fala odbita od brzegu wracał ku niemu, nowe rozpalając pragnienie tych pocałunków miljona, które, nienadążywszy spadać z jego

ust — zmieniły się wkrótce w czarującą wstęgę owijającą jej białe, wonne piersi. — Szum, który nie opuszczał go ani na chwilę, zamienił się w huk dzwonu, bijącego w jego skroniach, jak sto serc spizowych w jego sercu własnem, które zdawało się rozrywać piersi rytmem upajającej pieśni zapomnienia. Ogarnęła go ciemność. Zgasło przed oczyma światło różowej ampli — i porwał go wichher szaleństwa.

Gdyby Villard w tej chwili, tak przedziwnie oszalamiającej, mógł myśleć, być może przeraziłby się swą śmiałością. Na szczęście jednak dla wszystkich, którzy swe grzechy usprawiedliwiają szaleństwem, szaleństwa niosą z sobą upojenie silniejsze od rozsądku! — W tej chwili również Villard, zapomniawszy o rzeczywistości, która tak niedawno dławiała go dusznością dymu i oparem wina, przeniósł się, a raczej przeniesiony został mocami piekieł według nabożnisiów, do szczytów rozkoszy tak wielkiej, że zapominając o całym świecie, tonął w słodyczy — pijąc bez miary u źródła rozkoszy i pijąc ciągle, jak spragniony wędrowiec, który kładzie się na brzegu strumienia, pragnąc wypić go do dna samego, w obawie, że nic pragnienia jego zaspokoić nie zdoła.

Nagle uczuł w swych włosach obie ręce Nuny, które odrywały jego głowę i pchały gdzieś w tył — gwałtownie, silnie, przemocą. — Była to chwila powrotu na ziemię z krainy wymarzonego upojenia. Villard, nie rozumiejąc poplątanych wykrzykników, które towarzyszyły tej gwałtownej akcji — uniósł się nieco i wpół przytomny stanął na dywanie, mimowoli gładząc rozwichrzone włosy, które wśród fali pocałunków pozmieniały swoje miejsca. — W tej chwili jego oczy spadły na twarz Nuny, która przeżartym wzrokiem wpatrywała się w stronę drzwi.

Wówczas Villard odwrócił się również i zobaczył stojącego i opartego na łasce hrabięgo Sękorzewskiego, który w tej chwili podobny był do woskowej lalki, wyobrażającej w gablotce panoptikum zamordowanego prezydenta Carnota.

Villard w jednej chwili otrzeźwiał, tak, jak gdyby mu położono jednocześnie na głowę worek z lodem, a pod nos podsunęto flaszkę z amoniakiem.

Hrabia-ordynat stał czas długi, nie mówiąc nic, z utkwieniem w Roberta białymi wylupiaściami oczyma, które, mimo wszystko, miały taki wyraz, jak gdyby Sękorzewski postanowił zjeść Villarda na surowo. Skorzystała z tego milczenia Nuna, okrywając się kołdrą, po samą szyję, chcąc widocznie dać tym ruchem do zrozumienia hrabiemu, że nie wchodzi się bez pukania do pokoju kobiety, która leży w łóżku.

— Panie Villard — zaczął hrabia głosem przezywającym, pod naporem wściekłości. — Pan postąpiłeś zuchwale i niecznie. Jak pan śmiałeś wejść do tego pokoju!

Robert jednak oprzytomniał już zupełnie i poprawiwszy włosy, tudzież krawat, fantastycznie wykręcony, odpowiedział z pewnem wzruszeniem w głosie:

— Pani! Jedynym człowiekiem, który ma prawo zażądać odemnie wytłumaczenia jest pan Nienażycki. Nie mniej jednak nie odmawiam i panu satysfakcji, jeżeli masz do niej prawo. W każdym razie jesteś pan, panie hrabio, gentlemen i musisz rozumieć, że nie możemy tutaj prowadzić tej rozmowy.

Powiedziawszy to, podszedł do Nuny i pocałował jej rękę, odszedł do drzwi. Tu skłonił się raz jeszcze i wyszedł. Hrabia opadł bez sił na najbliższy fotel.

— Nie, ma foi — zawołał — tego za wiele. Jakiś szatan się uwziął na mnie od jakiegoś czasu. Och, Nuno, Nuno! Jak nie Białonóg, to Villard!... Tego za wiele, tak, ça dépasse les bornes!

VIII.

Nazajutrz, kiedy Villard otworzył oczy, po długim i męczącym śnie, zaczął sobie niezwłocznie przypominać wypadki ubiegłego dnia. Nie trudno przypuścić, bez wszelkich zastrzeżeń, że nie był z nich zadowolony. Przeciwnie, o ile czuł się szczęśliwym, z odniesionego nad Nuną zwycięstwa, o tyle samo zakończenie tej czarującej awantury (jak w myśli się wyrażał) nie było mu przyjemne. Nie ulegało wątpliwości, że będzie musiał się bić z Sękorzewskim. Fakt pojedynku nie wzbudzał w nim najmniejszego niepokoju, nie był jednak w możności zrozumieć, na jakiej zasadzie „ten gutaperkowy hrabia” „stawiał się” tak ostro. „Ani mąż, ani brat, ani narzeczona, ani kochanek”, myślał roztrząsając tę zawiłą sprawę, a jednak strzelał z największego kalibru oburzenia. Upił się do diabła, albo oszalał z zazdrości stary gruchot? A może zakochany?

To przypuszczenie wydawało mu się tak śmieszne, że parsknął wesołym chichotem:

— To zabawne, co za pomysł. Ta zasuszona gruszka, ten wyleniały mops — wołał na głos — ten wypchany puhacz — zakochany w Nunie. Można zwarjować ze śmiechu.

Nagle, jak gdyby pod wpływem nowej myśli, porwał zegarek i spojrzał z przestachem.

— Jedenasta godzina! Do diabła! Sekundanci hrabięgo nakładają rękawiczki i szykują się z wi-

zytą — zawołał, zrywając się z łóżka. — Za godzinę najdalej powinni tu być, a ja leżę w łóżku. Co sobie pomyśla, gdy zastana mnie pod kołdrą.

Gwiżdżąc, zaczął się ubierać pośpiesznie, tracąc powoli z przed oczu chudą figurę hrabiego. Natomiast obraz Nuny stanął przed jego roześmianymi oczyma w całym blasku swej piękności.

— Kochana, droga Nuneczka, co sobie pomyśli i co zrobi, gdy się dowie, że biłem się z jej przyczyny z tym starym orangutangiem? Dobrzeby jednak było, gdyby mnie nie trafił, bo zginąć po jednej serji tych cudownych pocałunków...?

Villard zastanowił się i spoważniał.

— Zginąć — mówię to słowo, jakgdyby ono oznaczało coś, co jest w życiu, a nie poza życiem — pomyślał. — Zginąć! — to przecież nie oznacza żyć. Zginąć, to znaczy pożegnać się ze wszystkim i wszystkimi, to znaczy zamknąć oczy po to, by ich już nigdy nie otworzyć. O... to zmiana okropna, straszliwa, powiedziałbym zasadnicza — myślał dalej siedząc przed lustrem, przerwawszy mimowolnie staranne gładzenie włosów szczotką. Teraz wpatrując się w swą twarz odbitą w lustrze — stwierdził, że jego oczy patrzą tak poważnie, jakgdyby się już stało ogromne nieszczęście. Przestraszył się. Przestraszyła go myśl, że może się boi. Ten okropny lęk przed strachem, jest niebezpieczniejszy dla wielu ludzi, od samej obawy przed faktem.

Villard wstał z przed lustra i zaczął się ubierać starannie, znacznie wolniej i dokładniej. W tej chwili nie miał ochoty się śmiać. Zaczął rozmyślać nad możliwością śmierci i im dłużej myślał, tem bardziej ta śmierć stawała się mu wstrętniejszą. Nagle przypomniał sobie, że w razie „wypadku” —

jego majątek przepadnie krewnym, jakimś ludziom nieznanym, których nigdy na oczy nie widział. Wydawało mu się to niesprawiedliwością. Postanowił jeszcze przed przyjściem sekundantów Sękorzewskiego, napisać list do jedyne go przyjaciela swego ojca. Po śmierci starego Villarda zajmował się on interesami całego majątku, więc przekazał mu wypełnienie swej ostatniej woli. Nie namyślając się długo, siadł przy biurku i, wyjąwszy arkusik listowego papieru, nakreślił kilka słów:

„Kochany i wielce Szanowny Panie!”

„Jako dawny przyjaciel mego ojca i całej naszej rodziny, nie obrazi się Pan, jeżeli ufając w Jego życzliwość dla mnie, ośmielę się obarczyć Go nowym obowiązkiem przyjaźni. Wprawdzie jestem młody i bynajmniej nie mam chęci schodzić bezpotomnie z tego świata, nie mniej jednak rozumiem dobrze, że skomplikowane sytuacje, które życie narzuca ludziom, mogą stworzyć okoliczności, dla mnie tak nieprzychylne, iż będę zmuszony pożegnać się z tym pięknym światem. Nie chcąc w podobnym wypadku zostawić mego majątku do rozporządzenia nieznanym mi, a dalekim krewnym, uważam, iż przysługuje mi prawo rozporządzić nim według własnej woli.

Dlatego właśnie, czyniąc kochanego i szanownego Pana wykonawcą mej prośby, stwierdzam że będąc zdrowym na ciele i umyśle, cały mój majątek ruchomy i nieruchomy, słowem wszystko, co posiadam, w ogólnej sumie dziesięciu milionów, przeznaczam na następujące cele:

Jeden milion rubli dla pani Nuny Nienazycznej, żony przemysłowca — Tomasza Nienazycznego.

Jede milion na studja zagranicą dla młodych poetów i literatów.

Jeden milion — na wybudowanie kąpielni bezpłatnych dla brudasów.

Jeden milion — na wykupienie dzieł sztuki z rąk obcych.

Jeden milion — na mleko dla niemowląt.

Jeden milion — na przytułek dla dziewcząt moralnie zaniedbanych z tym warunkiem, by kierowniczką zakładu, nie każały się całować w kolanach, jak to gdzieś czytałem.

Jeden milion — dla moich krewnych do podziału.

Jeden milion — na założenie szkoły nauk politycznych.

Jeden milion... Tu zawahał się, nie wiedząc kogoby jeszcze uszczęśliwić milionem. Wreszcie napisał: — na popieranie wydawnictw dla ludu.

Jeden milion — do uznania i rozporządzenia Pańskiego".

Podpisawszy się, zakleił kopertę i nakreślił: Wielmożny pan Apolonjusz Różecki — adres — i zygzak oznaczający „w miejscu”.

— No, jeżeli nie wyjdę cało z tej afery, przynajmniej będą mnie błogosławili literaci i poeci, dziewczęta z pod latarni, niemowlęta, przyszli polscy ministrowie i ambasadorzy, brudaszy i lud, który za moje pieniądze dowie się, kto to był Adam Mickiewicz, Zofja Chrzanowska, Tadeusz Kościuszko, a także jak się obchodzić z krowami, aby dużo mleka dawały. Obdarzyłem całą Polskę wzamian za życie, które mogę złożyć u kauczukowych nóg hrabiego ordynata. Zamiana słaba. Miejmy jednak nadzieję, że Sekorzewski nie lepiej strzela, niż wygląda. Chociaż Bóg kule nosi — a najlepszego strzelca może położyć ręka fuszera. Niemniej wierzę w szczęście! W gwiazdę, jaśniejącą na firmamencie mego przeznaczenia. Ja miałbym paść jak

postrzelony jarząbek?... Nie! Byłoby to głupie zakończenie tej całej sprawy i miłości, którą czuję w piersiach. O tak. Niema wątpliwości, że Kocham Nunę. Kocham, Kocham, Kocham.

Mówiąc te słowa, Villard chodził gorączkowo po hotelowym pokoju, przerzucając się myślą od obaw śmierci, do piękności Nuny, która coraz gwałtowniej i silniej zaczęła panować na jego naturą.

— Nuna jest piękna i kocha mnie — myślał. — To co się stało wczoraj jest najlepszym tego dowodem. Bo tylko szczerza i gwałtowna miłość może się zdobyć na taki blask nagły, na taki krzyk tryumfu, na taki śpiew uwielbienia i pożądania. Tylko prawdziwa miłość. Kto wie, czy nie czekała na tę chwilę całe życie? Bardzo możliwe! Ludzie nie żyją, lecz błądzą, szukają bez wytchnienia, aż do chwili poznania tej drugiej połowy serca, która stwarza całość. Tą całością jest właśnie miłość, pod której naporem, tak jak ja wczoraj, zapomina się o wszystkim. O czasie i miejscu, konwenansach i o wszelkiej przyzwoitości, dokończył z uśmiechem.

Co za cudowna chwila... Ach jej białe ciało! Co za poemat wysniony, jaki zapach wymarzony. Upić się można od jednego dotknięcia ust! A przecież nie mogę powiedzieć bym ją raz pocałował. Doprawdy w głowie się miesza, na samo wspomnienie. Gdyby mi kto jeszcze przedwczoraj powiedział, że tak się stanie, nigdybym nie uwierzył. A jednak dzisiaj jestem bogatszy o cały bezmiar uczuć! Kocham i bezwątpienia jestem kochany! I dlatego niepodobna przypuszczać, by los, który tak niespodziewanie zadzierzgnął ten węzeł, rozciął go nazajutrz kulą tego starego błazna, który djabli wiedzą, czego chce odemnie! Musi być przecież jakaś logika faktów, inaczej życie byłoby kaprysem szatana, — niczem więcej, a wszyscy lu-

dzie przestaliby wierzyć w sprawiedliwość Boską. Nie!... On mnie nie zabije. Najprawdopodobniej skończy się na niczem, na dwóch dziurach w powietrzu lub kilku poszarpanych liściach, które spadną z drzewa. Potem się rozejdziemy... aby... snuć dalej złotą nić miłości. Inaczej niepodobna sobie wyobrazić przebiegu tych wypadków!...

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i wszedł numerowy.

— Do szanownego pana jakiś pan przyszedł. Oto jego karta!

Podał bilet wizytowy z hrabiowską koroną, który Villard przyjął dosyć skwapliwie.

— Tak... Sękorzewski już przyszedł. A więc gra idzie dalej — pomyślał. Głośno zaś dodał: — Proszę poprosić tego pana.

Służący wyszedł. Villard zaś przekonawszy się w lustrze, że zarówno w jego ubiorze, jak i w twarzy niema nic nienormalnego, czekał w zupełnym spokoju na przyjęcie hrabiego.

Po kilku minutach rozległo się nowe, tym razem znacznie dyskretniejsze pukanie.

— To on — pomyślał, rzucając „proszę” spokojnym, dźwięcznym głosem.

Sękorzewski wszedł i skłonił się lekko. Od pierwszego spojrzenia Villard zauważył, że wczorajsze zajście musiało go kosztować wiele nerwów, gdyż hrabia wyglądał, jak wyciągnięty z grobu. Pod bladymi oczami sine worki powiększyły się bardziej, rzucając jeszcze większe ziemiste cienie na obwisłą skórę. Twarz hrabiego, brzydka i stara zawsze, podobna była w tej chwili do jabłka, zapomnianego w kącie piwnicy, na którym z biegiem czasu występują brunatne plamy zgnilizny. Ordynat stał, zamknąwszy starannie drzwi, wsparty z tru-

dem na lasce, z pochyloną naprzód głową, jak gdyby dźwigał na plecach ciężar ponad siły.

— Panie Villard, — rzekł po chwili głosem wzruszonym. — Pan się domysła, dlaczego przychodzę?

— Owszem, niech pan raczy spocząć.

Sękorzewski usiadł, opierając obie ręce na lasce. Villard zajął miejsce naprzeciw niego. Chwilę milczeli, poczem Sękorzewski rzekł głosem pełnym boleści:

— Tak, stało się.

— Co się stało? — zapytał Villard.

— Pan się pyta?

— Nie wiem, o czym pan myśli.

— O wczorajszym dniu, panie Villard, — odpowiedział Sękorzewski. — O wczorajszej, a raczej dzisiejszej nocy, która złamała moje życie.

Robert, patrząc na jego starą, zniszczoną twarz i drżące ręce, uśmiechnął się na pół z litością.

— Taka noc wymaga zadośćuczynienia, — mówił po chwili Sękorzewski. — Pan to powinien rozumieć. Jeżeli się coś traci wielkiego, należy znaleźć sposób okupienia tej rozpacz, panie Villard. Ja do obecnej chwili nie mogę przyjść do siebie po tej okrutnej, straszliwej scenie, której byłem świadkiem. To była scena szatańska!

— Panie hrabio, — zaczął po pewnym namyśle Villard. — Pan mi wybaczy, jeżeli okaże się zbyt mało domyslnym. Być może, że „ta scena”, o której pan mówi, uczyniła na panu takie wstrząsające wrażenie, ale niech mi wolno będzie zapytać pana, panie hrabio, dlaczego wziął pan tak do serca moje pacałunki?

— Pacałunki? — powtórzył hrabia przeciągle. — Pan jest trochę za skromny w wyrażeniach, panie Villard. Ce n'étaient pas seulement des baisers.

— No przypuśćmy, — przerwał pośpiesznie Robert. — Ale przecież uznaje pan, panie hrabio, że ja, jako człowiek młody i mężczyzna, mam prawo być zachwyconym pięknnością i wdziękiem pani Nienależykiej.

— Zachwyconym — tak, ale to, co pan uczyniłeś, było bezczelnością, było czemś więcej, niż bezczelnością, zwłaszcza w stosunku do kobiety uczciwej.

— Och, tak, lecz nie popełniłem przecież gwałtu.

— Och, panie Villard, panie Villard! — zawołał z boleścią Sękorzewski. — Jeżeli nie popełniłeś gwałtu, to jeszcze gorzej — o, mon Dieu, to znacznie gorzej, bo to jeszcze bardziej rani moje serce!

— Dlaczego?

— Jakto, pan tego nie rozumie? — zawołał hrabia-ordynat z oburzeniem. — Pan nie rozumie?

— Nie! — odpowiedział szczerze. — Nic a nic!

— To okropne! Och, wierz mi pan, wołałbym stokroć bardziej, żebyś popełnił gwałt. Im ten gwałt byłby brutalniejszy, im bardziej potworny, byłbym mniej zrozpaczony!

— Ależ nic nie rozumiem, doprawdy, — zawołał Villard. — Więc gdybym ja, na przykład, okazał się ordynarnym chamem i, nie czekając na słowo zachęty czy zezwolenia, rzucił się na nią i, wykręciwszy jej ręce, obezwładnił ją siłą moich rąk, pan, panie hrabio, może byłbyś zupełnie z tego zadowolony?

— Zadowolony? Nie! Ale...

— Tak wynika z pańskich żalów.

— Ale, mniej zrozpaczony, — dokończył hrabia

— Przyznam się panu, że nic z tego nie rozumiem, — zawołał Villard zrywając się nerwowo z krzesła. — Robisz mi pan poniekąd wyrzuty, że

postępowanie moje z panią Nuną było zbyt delikatne. Może dlatego chcesz mnie pan wyzwać na pojedynek, że nie powykrecałem jej rąk i nie powyrywałem jej włosów?

— Tak, panie Villard... nie jesteś pan zbyt daleki od prawdy.

Villard stanął nagle na środku pokoju i zaczął mu się przyglądać.

— Warjat, — pomyślał. — Ma źle w głowie!

— Patrzysz pan na mnie tak, jak gdybym zwał, — rzekł Sękorzewski. — Ale to tylko dowodzi, że nie znasz pan jeszcze życia, panie Villard.

— Być może. Ale niechże mnie usprawiedliwi w pańskich oczach oryginalność tej sytuacji. Bo przyznam się panu szczerze, że trudno mi pojąć przyczynę, dla której wogóle żądasz pan odemnie tłumaczenia.

— Aha... więc zbliżamy się do rdzenia naszego konfliktu. Ma foi. Nareszcie wykrztusiłeś pan to pytanie. Bardzo słusznie. Pan przecież zna jej męża?

— Znam! I nie będzie w tem nic nadzwyczajnego, jeżeli powiem, że on jeden tylko ma prawo żądać satysfakcji. Pan przecież, o ile wiem, nie jest również jej bratem?

— Nie!

— Ani krewnym?

— Naturalnie!

— Więc? — zapytał przeciągle Villard... — Pani Nuna nie jest bezdomną sierotą, ma męża, który może się ująć za nią. Prawda? A pan? Ma foi — powtórzył ze złośliwym naciskiem. — Pan, panie hrabio występuje bez mandatu — a mnie przysługuje prawo takiego stanowiska nie uznawać.

— Tak, naturalnie, gdyby tak było. Ale tak nie jest!

— Nie?!!

— Nie, panie Villard — zawołał hrabia nieco żywszym głosem. — Ja mam mandat, który moje stanowisko względem pana w zupełności usprawiedliwia.

— Tak? więc się mylę. Nie mniej chciałbym go poznać i wiedzieć dokładnie, przez kogo jest panu ofiarowany?

— Przez tę, która ma prawo jedna, jedynie podobne mandaty wydawać. Przez Nunę, panie Villard... Przez kobietę, względem której dopuściłeś się pan ohydny, powiedzmy, nietaktu. I której honoru ja postanowiłem bronić!

Villard patrzył na niego trochę zmieszany wzrokiem, nie będąc pewnym, co właściwie skłoniło hrabiego do takiego postawienia kwestji.

— Panie hrabio, — rzekł po chwili, — ja pana poproszę o zupełnie szczerą odpowiedź.

— Służę panu.

— Czy Nuna, pani Nuna — poprawił się młodzieniec — wie o pańskiej u mnie wizycie?

— Nie! — odpowiedział Sękorzewski. — Jakżeby mogła o tem wiedzieć?

— Więc na jakich danych przypuszcza pan, że został pan, panie hrabio, pasowany przez nią na rycerza, mającego prawo występować w obronie jej honoru?

Sękorzewski zamyslił się chwilę, jakgdyby nie mógł zdecydować się na odpowiedź.

— Panie Villard — rzekł po chwili z pewnym wysiłkiem — jeżeli odpowiem panu na to szczerze, będzie to z mej strony niezwykłą, wielką ofiarą.

— Bardzo być może, rozumie pan jednak, że ja nie mam powodu ryzykować swego życia dla pańskiego kaprysu. Ja muszę wiedzieć, że to nie kaprys. Ja chcę wiedzieć, panie hrabio — odpowiedział Villard stanowczo. — Ja pana poznałem wczoraj w charakterze gościa, czyli w pozycji tej samej

w jakiej i ja się znajdowałem. Dlaczego więc staje pan w obronie pani Nienażyckiej tak gorąco? Dlaczego pan, a nie pan Nilecki? albo pan Krasanow? a przedewszystkiem pan Nienażycki? Pan rozumie, że mnie to musi dziwić? Prawda? Trudno, żebym stawał do pojedynku z każdym, kto bez uzasadnionej przyczyny tego zażąda.

— Ja to rozumiem, panie Villard — odpowiedział Sękorzewski — ale ja byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pan się o to nie pytał. Niech pan weźmie za przyczynę ogólne poczucie moralności, które zostało we mnie obrażone pańskim czynem. Jestem starszy od pana i bywam u państwa Nienażyckich jako przyjaciel domu. To panu powinno wystarczyć. Zresztą, Nienażycki o niczem nie wie, a gdyby nawet wiedział, to być może, że jego interesy jakie ma z panem obecnie, bardzoby go w tem przedsięwzięciu kępowały. Ja jestem wolny i mogę stanąć w obronie moralności, panie Villard, bez żadnych skrupułów.

Villard słuchał jęklivego głosu hrabiego z coraz wyraźniejszą niechęcią.

— Panie hrabio — rzekł po chwili sucho. — Ja jestem młody, to prawda, ale nie taki młody, abym mógł uwierzyć w podobne kpiny. Do czego pan zmierza?

— Do tego, że jeżeli pan występujesz przeciw mnie w imię zbeszczeszczonego przezemnie „ogólnego poczucia moralności”, to ja panu dam kilka jeszcze innych sposobności, aby pańskie oburzające się, a cnotliwe serce, znalazło zadośćuczynienie. Oto na tym samym korytarzu mieszka pewna śpiwaczka z cafe chantanu. Wczoraj było u niej kilka huzarów, z których jeden, zapewne pijany, uderzył ją w twarz. Ponieważ ta dziewczyna niedawno przyjechała do Warszawy, nie ma więc jeszcze kochanka, któryby mógł lub chciał się za nią ująć. Idź,

wyzwij pan tego oficera na pojedynek! On postąpił nikkczemnie — o, stokroć bardziej obraził ogólne poczucie moralności niż ja, który zgrzeszyłem brakiem rozwagi i może istotnie zbytkiem namiętności! Tak, przyznaję się, ale w tym wypadku namiętność jest siostrą młodości! Ochl panie hrabio. To są dwie siostry tej trzeciej, która nosi czarujące miano miłości. Oto są trzy powaby naszego życia i wszystkie trzy popchnęły mnie w objęcia Nuny.

— Dość panie! — zawołał Sękorzewski. — To mi wystarczy. Sądziłem, że będę mógł z panem załatwić tę drażliwą kwestję, bez tłumaczenia panu istotnych powodów, które mnie skłaniają do rzućenia panu wyzwania. Niestety, pan jesteś pijany swoim powodzeniem! Ośmielasz się mi mówić, że młodość, miłość i namiętność pchnęły cię w objęcia Nuny! Namiętność! Co za cynizm w tak młodym wieku! Nie! To wygląda gorzej, niż sam myślałem.

— Tak, mam odwagę to powiedzieć, gdyż nie uważam, aby w tem było coś złego — potwierdził Villard, płonąc jak pochodnia, z entuzjazmu. — Nuna jest piękna! — jest wspaniałą kobietą. Ja zaś mam tylko dwadzieścia trzy lata. Widząc ją na filmie w Casino-Theatre już wówczas pragnąłem ją poznać — i los był dla mnie łaskawy. — Nie rozumiem, co pana tak dziwi? Jest pan osobiście pokrzywdzony? Nie przypuszczam! Czem-że bowiem dla pana jest Nuna? Żoną? córką? siostrą? narzeczoną? Nie wymagaj pan, panie hrabio, bym się jeszcze bardziej dziwił, gdyż przyznaję, że cierpliwłość zaczyna mnie opuszczać!

— Dosyć, dosyć — zawołał zduszonym głosem Sękorzewski, błędąc gwałtownie. — Honorem ręczę, że chciałem tę tajemnicę zachować dla siebie, ale pańska bezwzględność zmusza mnie do wyja-

wienia prawdy. Ja muszę bić się z panem. Cokolwiek się stanie, pańska obecność tutaj jest niemożliwa. Ja panu powiem, panie Villard, czem dla mnie jest Nuna... ale dasz mi słowo honoru, że nikt się o tem od ciebie nie dowie?

— Ależ daję panu dziesięć słów! — odpowiedział Villard, chodząc gorączkowo po pokoju.

A więc słuchaj pan — zawołał Sękorzewski z wysiłkiem. — Nienależycki to tylko dekoracja. Właściwym mężem Nuny jestem ja, panie Villard.

Robert przystanął nagle, jakgdyby go jakieś niewidzialne ręce przytrzymały za ramiona.

— Co? co? co? — wyszeptał nie rozumiejąc. — Kto jest właściwym mężem Nuny?

— Ja! — potwierdził Sękorzewski. — Teraz rozumiesz pan, dlaczego czuję się obrażony pańskim czynem!?

— A ja nie rozumiem. Jak można mieć właściwego i niewłaściwego męża? Pan chcesz zapewne powiedzieć, panie hrabio, że Nienależycki jest mężem, a pan kochankiem? Czy tak? Przyjaciół domu, to przecie prawie zawsze znaczy to samo...

— Tak, panie!

— I że Nuna mając męża, zdradza go stale... w pańskich miłosnych uściskach?

— Tak, właśnie, że tak...

Villard stał chwilę, wpatrując się w jego zielonkawo-ziemistą twarz — poczem usta jego zadrgały, nos się skurczył a z pomiędzy białych zębów padła-salwa gorącego, szczerego śmiechu.

Sękorzewski zbladł. Ścisnąwszy rączkę łaski — wystękał przerywanym głosem:

— Panie Villard! Pan się zapominasz!

— Do stu tysięcy djabłów! — zawołał Villard w pośród nowej nawałnicy śmiechu. — Pan nie ma za grosz poczucia rzeczywistości, panie hrabio!

Spójrz pan do licha w pierwsze lepsze lustro! Pan, kochankiem Nuny! Cha, cha, cha, co za nieprawdopodobny melodramat! Doprawdy można „trzasnąć” ze śmiechu. Cha, cha, cha! Nuna pańska kochanka! Nuna! Cudowna Nuna, piękna Nuna, kochanką takiego księcia paralityków! Cha, cha, cha! Ona, która mieć może u swych nóg, każdego kogo zapragnie — na kogo kiwnie palcem lub mrugnie okiem... Cha, cha, cha, cha... — cha!... Ona... pańską kochanką!...

W tej chwili Sękorzewski nadspodziewanie prędko wstał z krzesła i uderzywszy łaską w blat stołu, krzyknął, dygocąc z wściekłości:

— Milcz pan... smarkaczul...

Śmiech zgasł jak zdmuchnięta świeca.

Villard pobladł nagle, a jego roześmiana przed chwilą twarz pokryła się maską lodowej powagi.

— Tak, panie hrabio — rzekł przez zaciśnięte zęby. — Teraz już znaleźliśmy obaj usprawiedliwienie... Nasza dalsza rozmowa nie jest potrzebna... Teraz ja pana proszę o satysfakcję!

Sękorzewski drżącymi rękoma wyjął bilet wizytowy i rzucił na stół.

— Oto jest mój adres — mruknął drgającym głosem... Czekam pańskich przyjaciół...

Sklonił lekko głowę i opierając się na kij wyszedł.

Villard stał długą chwilę oszołomiony. Poczem zacisnąwszy pięści — zawołał z oburzeniem:

— Taki zgnili śledź, taki wyskubany kapłon — kochankiem Nuny! Nie, ten stary grzyb zasługuje na to, by mu jego głupi, łysy łeb przestrzelić!

Mimo szczerzej chęci zobaczenia Nuny, Villard nie miał odwagi pokazać się w domu Nienazyckich. Wprawdzie nie przypuszczał chłodnego przyjęcia z jej strony, niemniej obawiał się, że Sękorzewski

mógł o wszystkim powiadomić Nienazyckiego, który, w podobnej sytuacji, byłby zmuszony do wystąpienia przeciw niemu. Nie miał jednak czasu bardzo rozmyślać nad tem nieszczęściem, będąc zajęty wyszukiwaniem świadków, co, ze względu na jego krótki pobyt w Warszawie, nie było łatwe. Na szczęście przypomniał sobie o Nileckim, który w przystępie rozkosznego zachwytu, wcisnął mu w rękę swój bilet wizytowy.

Wsiadł więc w dorożkę i kazał się wieźć do mieszkania Kocia, który oczywiście jeszcze leżał w łóżku, mimo, że była już godzina trzecia popołudniu. Otworzyła mu drzwi jedna z córek profesora, która, dowiedziawszy się, że przyszedł odwiedzić Nileckiego, wskazała mu drzwi do jego pokoju, poczem uciekła jak od zadżumionego. Kocio zobaczwszy wchodzącego Roberta, zmieszał się i zaczerwienił ze wzruszenia, przeprasząc go za nieład w pokoju, istotnie imponujący, jak również za swoje lenistwo i t. p.

Villard usiadł na wskazanem krześle i prędko przystąpił do rzeczy. Wytłumaczył mu przyczynę swoich odwiedzin — i objaśniwszy powody, dla których prosi go o tę grzeczność, zaproponował mu przedstawicielstwo w obronie honoru swego w nieporozumieniu z hrabią. Kocio oczywiście zgodził się skwapliwie, miał jednak taką minę, jakgdyby całą propozycję Villarda uważał za niegodny dla siebie zaszczytu. W każdym razie sprawa cała została załatwiona, ku zadowoleniu Roberta, który odetchnął z ulgą.

Prosił jedynie, by się na wszystkie warunki Sękorzewskiego zgodzić bez zastrzeżeń i do spotkania doprowadzić jaknajprędzej. Kocio miał też prosić jednego ze swych przyjaciół, o towarzyszenie w tej delikatnej misji, do hrabiego. — Cała ta

afera wywarła na Nileckim ogromne wrażenie, którego nie starał się nawet ukryć — dziwić się głośno bezczelności Sękorzewskiego i jego śmiesznym pretensjom do Nuny. W rzeczywistości jednak, plotki i domysły, jakie krążyły wokoło Nuny, przypisujące jej utajony romans z hrabią, stały się dla niego, wskutek akcji Villarda, zupełnie pewną rzeczywistością. Robert prosząc go o przyjęcie mandatu świadka w tej honorowej sprawie, nie mówił mu wszystkiego, dał mu jednak do zrozumienia, że nieporozumienie wynikło na tle różnicy zdań, co do uczuć pani Nienazyckiej. — Dla Nileckiego było to zupełnie wystarczające. Jeszcze wczoraj, przy kartach, długa nieobecność Villarda, była przez Olimpijskiego złośliwie komentowana w półsłowach, które być może nie uszły uwagi Sękorzewskiego i skłoniły go właśnie do cichej wyprawy w kierunku sypialnego pokoju Nuny. Obecnie dla Nileckiego, który pieczeniarskim sprytem, wywachiwał wszystkie wiatry, sytuacja, naogół przedstawiała się jasno. Nie wiedział tylko kto kogo przyłapał w pokoju Nuny. Należało przypuszczać, że hrabia Villarda. W takim razie jednak, nie Robert jego, lecz Sękorzewski młodzieńca winien był wyzwać.

Zamiana stanowisk, dokonana na skutek złośliwego śmiechu Villarda, pokrzyżowała domysły Nileckiego, który jednak powoli, wysnuwając wnioski ze wszystkich drobnych faktów i szczegółów, wspomnianych mimochodem przez Roberta, przedstawił sobie dosyć dokładny obraz ubiegłych wypadków.

Villard uściskawszy mu rękę — opuścił mieszkanie Nileckiego z ogromną ulgą.

Wyszukawszy sekundantów rozumiał, iż polowa pracy jest już skończona. Sam pojedynek, jak

w tej chwili okochodził go najmniej. Mimo bowiem drwiącego śmiechu, słowa hrabiego, głoszące z taką pewnością o jego stosunku miłosnym z Nuną, powoli żarły go jak trucizna, spływająca kroplami z potwarcy Jagona do serca Otella. Villard miał tę zasadniczą wyższość nad murzynem, że nim nie był. Natomiast jak każdy kochanek, gotów był wierzyć nawet we wróżby, wyciągane na katarynce przez morską świnkę, o ileby one podrażniały jego męską ambicję! Cóż dopiero, gdy sobie przypominał poważny głos i uroczystą minę hrabiego. Nie wierzył jego słowem, mimo to, jednak sama myśl, usuwająca przypuszczenie tej możliwości piekła go jak rozpalonem żelazem. — Rozmyślał też nad tem, w jaki sposób zobaczyć się z Nuną, aby z jej własnych ust usłyszeć zaprzeczenie. — Lść nie mógł, obawiał się też posłać list, aby nie wpadł w ręce Nienazyckiego. Nie wiedząc co zrobić, wszedł do pierwszej lepszej restauracji i kazał sobie dać jeść. — Był głodny, co dowodziło, że mimo skomplikowanej sytuacji, w jakiej się znajdował, jego młody organizm nie dał się sparaliżować moralnym cierpieniem. Siedząc przy oknie Robert, patrzył obojętnie na snujące się po ulicy osoby, myślą krążąc ustawicznie koło Nuny i hrabiego.

— Co to by była za potworna historia, myślał, gdyby się okazało, że mówił prawdę! — On i ona. Nuna i Sękorzewski. Gdyby kto przeszedł cały świat, nie znalazłby jaskrawszego kontrastu!

Ile jednak na świecie kobiet, miewa kochanków brzydkich i starych! — Doprawdy niepodobna zrozumieć dłażczego to czynią. Dla interesu?... Ach to okropne! — Ale przecież w tym wypadku i to również nie jest możliwe. Nuna jest... zamężna. — Nie! — Fe, fe, fel zawołał, nie chcę o tem nawet myśleć. — Nie mogę myśleć! — Takie stare, wyle-

niałe konisko, miałoby być jej kochankiem? — Gdyby to było prawdą, zerwałbym, raz na zawsze z kobietami! Bo jeżeli taka ropucha ma szczęście, to do diabła, jakie jest prawdopodobieństwo wierności?!

Cały obiad przeszedł mu nad rozpamiętywaniem podobnie zawiłych pytań. — Wreszcie zapłaciwszy, wolnym krokiem udał się do domu i ku wielkiej swojej radości zastał bilecik od Nuny.

Villard był uszczęśliwiony. W kilku słowach, widocznie pośpiesznie pisanych, Nuna zawiadamała go o swojej wizycie o godzinie piątej. — Nic więcej nie pisała, Villard miał jednak wrażenie, że coś się stało — i ogarnął go silny niepokój.

„Pewnie ten stary wół, powiedział wszystko Nienazyskiemu, myślał, chodząc po pokoju nerwowym krokiem. W takim razie będę miał jeszcze jeden pojedynek. Ale wszystko jedno. Jeden pojedynek, czy dwa pojedynki nie robi to różnicy temu, kto ma się bić z taką galareta, jak Sękorzewski. — Mogę strzelać dwa razy. — Zamiast dwóch będą cztery dziury w niebie, bo przecież żaden z nich na serjo nie będzie się chciał strzelać. — To nie są studenci, którzy o zakrzywiony ogon psa, albo o łatę na grzbiecie, rozwalają sobie raperami czerepy. — Ludzie stateczni, podtatusiali, mają inny punkt widzenia — bardziej pokojowy, daleki od bulgotu gorącej krwi, której para uderza do mózgu i podnosi włosy. — Wszystko głupstwo — byle to co mówił ten cap, okazało się kłamstwem. Będę się bił z dziesięcioma mężami zdradzonymi i z piętnastoma hrabiami, byle nie z człowiekiem o załzawionym oku, który roniąc zły słusznym żalem wyciśnięte, ma chęć ugodzić w moją pierś, jako pierś złodzieja, który ukradł jego szczęście. — Niel... To wszystko jest kłamstwem, a ja jestem

przeczulonym histerykiem, biorąc pod uwagę jego słowa. Kłamał, niewątpliwie kłamał. Za godzinę nadejdzie Nuna i sprawa się wyjaśni. — Wówczas odetchnę naprawdę całą pierśią”.

Długa, po nad miarę jego cierpliwości, godzina oczekiwania nareszcie przeszła. — Zbliżył się upragniony czas odwiedzin. Villard postanowił skrócić z tej sposobności i sprawę postawić jasno. — Co oznaczała ta groźna zapowiedź, trudno było przewidzieć. Villard nie miał względem Nuny żadnych bardziej skryzalizowanych zamiarów. — Wszystko spadło na niego dosyć nieoczekiwanie, stawiając go wobec faktu dokonanego, którego konsekwencją miał być pojedynek z Sękorzewskim. Gdy sobie uprzytomnił, że jeszcze wczoraj o tej porze zaledwie poznał osobiście Nunę, nie mógł się sam nadziwić szybkości, z jaką pędziły wypadki wplątując go w drażliwą sytuację, — zarówno miłosną jak i honorową. Będąc w Warszawie zaledwie kilka dni, zawiązał romans z mężatką, która dała mu niemały dowód zaufania, będący jednocześnie powodem do pojedyku z hrabią Sękorzewskim. Jeżeli dodamy do tego wejście do spółki i zaangażowanie się tymczasowe na sto pięćdziesiąt tysięcy rubli w „Towarzystwie” jej męża, któremu przy tej sposobności przypała niespodziewanie rogi — będziemy mieli powód do pewnego współczucia dla Villarda, który bynajmniej nie pragnął takiego nawału emocji.

Ale Robert jak to sam powiedział, miał dopiero dwadzieścia trzy lata. Był więc chłopcem bardzo młodym i więcej się dziwił, niż obawiał. — To też z całego kompletu niespodzianek, najwięcej go dotknęły wynurzenia hrabiego dotyczące Nuny. — Postanowił „sprawę postawić jasno”, czyli

według przypuszczenia, kategorycznie zażądać od Nuny szczerzej prawdy.

W tej chwili zapukał, a potem wszedł numerowy oznajmiając, że jakaś pani czeka — i zapytuje czy jest pan. Villard kazał ją prosić, sam zaś pospiesznie poprawił włosy i krawat przed lustrem. — Po chwili usłyszał szelest sukni na korytarzu i otworzył drzwi na oścież. Nuna wpadła do pokoju, jak pachnący zwój jedwabiu, z szelestem materji, ciągnąc po przez cały korytarz hotelowy woal zapachu francuskich perfum. Z cichym okrzykiem: „Mój, mój drogi” — zarzuciła mu obie ręce na szyję i przycisnęła usta do jego ust, z taką mocą, jakgdyby to miał być pocałunek ostatni.

Villard uczył lekki zawrót głowy, tembardziej miły, że niespodziewany. Objął ją ramieniem i, nie będąc dłużnym, starannie, choć z pewnym trudem przeciwstawiał fali jej pocałunków — swe własne składane, gorącemi wargami, przy akompanjamentie przyspieszonych uderzeń serca, które trzepotało się w jego piersiach.

— Mój drogi, mój kochany chłopczyk. Mój skarb — mówiła Nuna odrywając na chwilę usta od jego ust, aby znów namiętnie spinać je białemi zębami w gwałtownym ataku miłości.

— Jak to dobrze, że przyszedł — zawołał chwytając powietrze.

— Nie mogłam się doczekać tej chwili — odpowiedziała! — O mój jedyny, kochany, cudowny chłopaczku! Nie rozumiem co się stało, ale kocham cię bez pamięci. Całą noc nie spałam! Myślałam o tobie, o twoich pięknych oczach, o twojej cudownej buziuchnie, o twoim nosku, o twoich włoskach, jak u laleczki. — Chodź, chodź, usiądziemy na kanapie! Szybkim ruchem zerwała z siebie płaszcz i kapelusz, i rzuciwszy to wszystko niedbale na

pierwsze lepsze krzesło, pociągnęła go za sobą w kierunku kanapy.

— Chodź, usiądziemy. Zmęczyłam się.

— Czem? przyjdziem?

— Oczekiwaniem. Od dzisiejszego ranka myśl o tobie nie opuszczała mnie ani na chwilę. Pragnęłam całą duszą zobaczyć cię jaknajprędzej. Jeszcze było szaro, kiedy się obudziłam i zaczęłam instynktownie szukać... ciebie! Och, co to było za czarujące złudzenie.

— Och ty! — przerwał jej Villard zachwycony.

— Niestety! Przypomniałam sobie, że ty jesteś daleko, daleko, a ja jestem sama. Że niema koło mnie mego ślicznego, [koahanego] pieseczka Bertunia, że mój Bertunio śpi sam, a może nie sam nawet? Och, Bertuniu powiedz spałeś samotny?... pytała przyciskając go do swoich piersi.

— Powiedz, zdradziłeś Nuneczkę? Piesiuniu powiedz, myślałeś o Nuneczce? No powiedz! Choć przez pięć minut. Chociaż przez jedną minutę! No powiedz, powiedz!

— Ależ tak, tak, naturalnie — odpowiedział oszołomiony Villard.

— Ach mój Boże! co za szczęście — zawołała Nuna obsypując jego twarz gradem gorących pocałunków. — Ty myślałeś o mnie! Więc wczorajszy dzień nie był kaprysem, nie był efektem w podnieceniu. Nieprawdaż? Ty mnie lubisz, chociaż troszeczkę, ale lubisz naprawdę!

— Och tak, tak... kocham cię — zawołał gorąco Villard tuląc się do niej.

— Kochasz? — powtórzyła po małej chwili niby pod naporem wstydlwego zdumienia. — Ty mnie kochasz?

— Kocham! tak kocham — potwierdził Villard stanowczo. — Kochałem cię jeszcze dawniej, jeszcze wówczas, gdy cię nie znałem osobiście.

— Kiedy widziałeś mnie na filmie zagranicą? — szepnęła.

— Tak, jeszcze wówczas!

— O mój drogi, mój skarbie jedyny, mój królul! — zawołała okrywając pocałunkami jego czoło, oczy, policzki i usta. — Jakiś ty cudny! Jakiś ty kochany! Ty nie masz pojęcia jak cię kocham! Ja sama nie przypuszczałam nigdy, że będę mogła tak kochać.

— I tak nagle — wtrącił.

— I tak nagle. Od jednego spojrzenia, od jednego uścisku ręki. A nawet jeszcze wpierw. Wtedy, kiedy mi ten stary dureń, który się nazywa moim mężem, powiedział, że cię spotkał w wagonie. Robert Villard! co za cudowne imię, powiedziałam. Robert! To jakgdyby imię poety z angielskiego romansu.

— Ach, nie tylko poety — zaśmiał się Villard. — W Anglii Bob, to imię popularne, tak zwykle jak u nas: Jan.

— Ach to nic, to nic, mój psiunciu kochany, ty jesteś ładniejszy od wszystkich anglików na świecie. Ty nie jesteś żaden Bob, tylko Bertunio, kochany śliczny, przemiły Bertunio, złoty Bertus! Psiunciu, którego Nuneczka kocha, całą duszą, całym sercem!

Siedząc na kanapie obok niego, tuliła go do siebie, całując bezustanku niemal z niepomowaną tklivością. Villard nie będąc dłużnym w tych pieśzeczotach, starał się odpowiedzieć na każdy pocałunek pocałunkiem, nie był jednak w możności tego uczynić, nie tylko ze względu na ich niezwykłą ilość, ale i ze względu na to, że inicjatywa

bezw warunkowo przeszła do rąk Nuny, która postępowała tak, jakgdyby istotnie był kilkuletnim chłopcem siedzącym na kolanach kochającej cioci. Villard, nie spodziewając się takiego obrotu rzeczy, był nieco zmieszany jej napaśliwym charakterem, niemniej jednak uczuwał wewnętrzną radość, oblewającą go płomiennym żarem. Miał wrażenie, że niespodziewanie przeskoczył jednym susem przestrzeń najeżoną rowami i zasiekami, tych przykrych (choć i rozkosznych) trudności, które każdy kochanek winien przebyć, nim dojdzie do upragnionego celu. Tymczasem „upragniony cel” — manifestując kolosalną miłość — sam przybiegł do niego, z okrzykiem najwyższego szczęścia. Villard, jak każdy mężczyzna w podobnym wypadku, uczył rozpierając jego piersi dumę i podziw dla samego siebie. — Cóż bowiem mogło być dla mężczyzny bardziej pochlebne nad błyskawiczne zwycięstwo, które bez najmniejszego z jego strony wysiłku, spadło mu do nóg, jak dojrzały owoc. — Czuąc więc swoją przewagę, która jest najcenniejszym upominkiem namiętności kochanki, usadowił się jeszcze bardziej blisko jej osoby i pieszcząc i gładząc w obu dłoniach jej białą rękę, szepnął szczerze:

— Wiesz... jestem szczęśliwy.

Uśmiechnęła się lekko, spojrzawszy z poza spuszczonych rąk na jego pobladłą twarz.

— Już?... — wyszeptwała.

Villard ścisnął jej rękę, czując jeszcze silniejszy uścisk w odpowiedzi. W tej samej chwili uczył, iż jego oddech zamiera mu w krtani, rzucając na piersi ciężar jednocześnie niezmiernie ważki i bardzo słodki. Ukrył twarz w fałdach jej sukni i leżał tak chwilę, jakgdyby się wstydził spojrzeć jej w oczy.

— Bertuniu — szepnęła. Ty już nie chcesz na mnie patrzeć?

— Ach nie to, nie to, odpowiedział z ustami przytkniętymi do pachnącego jedwabia. — Ale... nagle coś sobie przypomniałem.

— Co? — co takiego, mój drogi?

Villard istotnie, powiedziawszy te słowa przypomniał sobie o wynurzeniach hrabiego, dopiero teraz. Mimo to, iż uważał wstrętą kalumnię, jaką rzucił na nią Sękorzewski, za przeszywającą nawskroś jego serce, mimo to, czar Nuny, jej gwałtowne pocałunki i niespodziewana dla niego gorąca miłość — odsunęły na chwilę wszelki myśl: dotyczące domniemanego jej romansu z Sękorzewski. Teraz jednak, wchłaniając w siebie zapach jej sukni — uprzytomnił sobie rozterkę ubiegłych godzin i siadając na kanapie, rzekł głosem poważnym:

— Nuno! — Ja istotnie przypomniałem sobie coś bardzo ważnego.

— Ale co, co takiego?

— Zaraz ci powiem. Przedewszystkiem zacząć od tego... że —

Nagle przestał mówić — i zastanawiał się czy wogóle, mówiąc jej o wizycie hrabiego, czyni dobrze. Jeżeli powiem jej, że ten łysy grzyb tu był, będę musiał powiedzieć dlaczego przyszedł — pomyślał. A jeżeli powiem dlaczego przyszedł — to powiem o pojedynku, czego się kobietom, a tembardziej kobiecie zainteresowanej, nie mówi.

— O czym myślisz? — usłyszał nagle jej pytanie wymówione głosem niespokojnym.

— Myślę o tem, jakby ci to powiedzieć — odrzekł marszcząc brwi.

— Czy to coś drażliwego?

— Tak.

— No to nie mów, nie mów — zawołała pośpiesznie. Jeżeli to coś przykrego, a zwłaszcza jeżeli ma jakiś związek z interesami mego męża, to nie mów nic. Pragnę być dzisiaj szczęśliwą. — Niechaj nic nie zasępi tego dnia — tych kilku godzin, kiedy po raz pierwszy w życiu jestem z tobą, na prawdę sam, na sam.

— Ach nie, to nie dotyczy interesów twego męża — zawołał Villard. Tu chodzi o ciebie i o mnie — właśnie o nas i o to nasze „sam na sam” Nuno. Bo jeżeli to prawda, co ja słyszałem, dodał wahającym i niepewnym głosem.

— Ty słyszałeś? — Więc plotki jakieś. — O Ródbrciel! zawołała Nuna z istotnym żalem. — Czy możesz zaczynać od plotek? Przestań! Wyrzuć je z pamięci. — To napewno kłamstwo, wymysł złego lub głupiego człowieka, których tak wielu na świecie.

— Tak, tak napewno — odpowiedział. Ja sam przypuszczam, że to kłamstwo. Nie. Ja jestem pewny, że to potwarz. — Ale... Ale...

— Ale lepiej będzie, gdy ty mi sama to powiesz! Ja z twego tonu, z twego głosu, chcę wybić słodycz prawdy? — Cóż to znaczy, gdy my sami siebie upewniamy o czemś. — Taka prawda ginie pod podmuchem pierwszej złej myśli. Nie. Ja chcę słyszeć zaprzeczenie z twych ust, ogrzać się słońcem twej szczerości, — utonąć w fali twego oburzenia!

— Więc, co? co? powiedz — pytała Nuna niespokojnym głosem.

— Widzisz... jest tak — zaczął z trudem — Dowiedziałem się od kogoś (mniejsza od kogo), ale od kogoś bardzo blisko stojącego waszego domu, że ty... że ty jesteś.

— No wykrztuś! — wszystko jedno! — zawołała z determinacją.

— Że hrabia Sękorzewski i ty. — Rozumiesz —
no —

— Nie, nic nie rozumiem! — odpowiedziała Nuna szeroko otwierając oczy.

— Jakto nie rozumiesz? — zadziwił się szczerze

— Skąd mogę rozumieć — spytała, karcąc go zdumionem spojrzeniem. — Mówisz, że rozumiem, a ja nie wiem wogóle o czem mówisz! Czuję jednak, że to musi być jakaś podła obrzydliwość, jakaś ordynarna kalumnia, jakieś skończone łotrostwo!

— No, to ja ci już nic nie powiem — rzekł Villard zmieszany, jej szczerym akcentem oburzenia.

— Ale nie, przeciwnie. Teraz ja cię proszę, abys powiedział — nalegała Nuna. — Jeżeli to jest coś uchybiającego mi, to tembardziej chcę wiedzieć.

— Nie, nie, nie! Za nic w świecie ci nie powiem — odpowiedział Villard, zrywając się z kanapy. Zrobiłem źle, że zacząłem o tem mówić, ale teraz rozumiem, że powinienem trzymać język za zębami. To jest tylko podłe gałganstwo.

— No, właśnie, właśnie, Bertus — zawołała Nuna. — Ja wiem. Ludzie na wszystkich psy wieszają. Dla mnie nie może być innych praw, ja wiem. No chodź, do mnie i powiedz mi na ucho, — rzekła pieszczotliwie, wyciągając do niego obie ręce.

— Nie, nic nie powiem.

— No, chodź! chodź!

Villard podeszedł do niej i ukląkszy przy jej nogach, poddał swą głowę pod pieszczotę jej rąk i ust.

— Powiedz mi, co ci już nagadano na mnie — rzekła, przykładając swe usta do jego ucha. — Powiedz swej Nuneczce, powiedz swej dziewczynce — szeptała głosem, „od którego mrowie chodziło mu po plecach. — Twoja Nuneczka cię o to prosi. Twoja kochana, mała dziewczyneczka, błaga swego pieseczka, aby jej powiedział prawdę.

Villard był roztkliwiony jej prośbą i słodką powodzią pieszczoty. Nie podnosząc na nią oczu, lekko zażenowany rzekł:

— Bo widzisz tak. Słyszałem, że ty prowadzisz romans z Sękorzewskim.

— Jakto, romans? — zapytała Nuna takim tonem, jakgdyby słowo „romans” słyszała pierwszy raz w życiu.

— No, romans — powtórzył Villard. — Że kochasz się w Sękorzewskim. a on w tobie.

— Ja kocham się w Sękorzewskim? — wyszeptała z najwyższem oburzeniem — Villard tyś chyba oszalał! Ja prowadzę romans z Dyziem? Ja?! Z tym starym satyrem, z tą chmielową tyką, z tym łysym głupcem, który byłby szczęśliwy, gdybym mu się pozwoliła pocałować?! Kto ci to powiedział?

— Nie mogę powiedzieć — rzekł pospiesznie Villard.

— Pewno ten plotkarz Nielecki? Ach, tego durnia zawsze nie znosiłam! Gdzie się ruszy, tam jak muchy nad padliną unoszą się, nikczemne oszczerstwa! Nienawidzę go! Sto razy mówiłam mężowi, żeby tego błazna nie wpuszczać do naszego domu. I zawsze nadaremnie! Ale on jeszcze odpokutuje za swoje podle oszczerstwa, ten pieczeniacz, kulfon, pajac, lajdak skończony.

— Alcz uspokój się — rzekł Villard. — To wcale nie on.

— Nie on, więc kto?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Ach, zresztą wszystko jedno — zawołała z oburzeniem, — Ktokolwiek powiedział ten kłamał. Słyszysz? Kłamał!

Villard chwycił jej obie ręce i przycisnął do piersi.

— Kłamał? — powtórzył pytanie patrząc jej prosto w oczy.

— Kłamał — potwierdziła stanowczo — Zresztą ty przecież nie wogłeś w to wierzyć, Robercie — dodała głosem, który drżał pod naporem wzruszenia. — Ja kochanką takiego starego grzyba? Och! Co za przypuszczenie! Na miłość Boską Robercie, przecież jesteś przy zdrowych zmysłach? Musisz rozumieć, że gdybym przedtem, nim poznałam ciebie, chciała zdradzić mego męża, mogłabym uczynić lepszy wybór. Już chociażby z tego jednego względu, podejrzenie podobne jest nonsensem.

— Tak, tak. Ja również tak przypuszczałem — zawołał Villard. — Ale sama możliwość, chociażby jaknajdalej od prawdy będąca, zalewała moje serce goryczą. Ty jego kochanką?! Ty, cudowna, młoda, pachnąca nimfa! Jak z kąpieli jutrzeńki zstępująca bogini leśna w jasnych szatach porannej mgły, i z bagna wynurzający się potwór o żabich nogach. Ty i on? Niel! Na Boga! Raczej bym uwierzył, że szalony, i ze wszystko, co czuję jest jedynie chorobliwym majaczeniem.

— O mój drogi — zawołała, rzucając mu ręce na szyję. — Jaka ja jestem szczęśliwa, że umiesz tak trzeźwo patrzeć na życie. Ty rozumiesz, że tak ważna zmiana w życiu kobiety, jak zdrada męża chociażby niekochanego, musi mieć poważną przyczynę. Niel! Ten, kto ci to powiedział — był lekkomyślnym głupcem. Rzucił potwarz nie pomyślawszy przedtem, że ten, do którego te podle słowa były zwrócone, potrafi myśleć samodzielnie i, mimo młodego wieku, jest tak rozumny, tak mądry, jak mój kochany Bertunio.

— Więc kimże dla ciebie jest właściwie Sekorzewski? — zapytał znów Villard, przypominaw-

szy sobie nagle stanowczy ton hrabiego, i bądź co bądź poważne z jego strony wyzwanie.

— Kim? — powtórzyła z lekkim zmieszaniem Nuna. — Przyjacielem męża. Jego współnikiem, naszym codziennym gościem. Oto wszystko?

— Ale kocha się w tobie?

— To możliwe — odpowiedziała, po chwilowym wahaniu, — ale za to ja przecież nie mogę być odpowiedzialną.

— Tak, to prawda — odpowiedział zupełnie uspokojony. I nagle, jakgdyby na jego piękną twarz padł promień słońca, tak rozjaśniła i wypogodziła się zupełnie.

Robert już wiedział wszystko, jak przypuszczał. Sekorzewski się kochał w Nunie bez wzajemności i dlatego, wyzwawszy go na pojedynek, jako zawiedziony ostatecznie w swych nadziejach, nie chciał jednak swej tajemnicy zdradzić przed Nieznałym. Stąd to milczenie wobec męża Nuny. Cała sprawa wyjaśniła się dla Villarda odrazu. Teraz był spokojny zupełnie, gdyż rozumiał charakter wystąpienia hrabiego w jej obronie i pobudki kłamstwa, które było naturalną konsekwencją nieodwzajemnionej miłości.

Villard, w miarę jak potęgowała się jego wiara w nieskazitelną cnotę Nuny, czuł wzmagającą się ku niej miłość. To było również naturalną konsekwencją wyjaśnienia sytuacji.

Kiedy bowiem czarne chmury zejść ze sklepienia niebios, padają promienie słońca, które nadaje przestworzu taką czystość i jasność, iż mimowoli zapomina się o dniach deszczowych. Villard zapominał też odrazu z właściwą sobie pochopnością, o niedawnych podejrzeniach. Słowa hrabiego okazały się zwykłym kłamstwem i Robert, przekonawszy się o tem, odrzucił je od siebie tak naturalnie

i szczerze, jak wyrzucał nieraz zepsute czekoladki razem z opakowaniem. W tej chwili nie zostało w nim nic z niedawnych posępnych i skomplikowanych żalów. Przeciwnie: był szczęśliwy, że przekonał się tak prędko, i tak stanowczo o czystości i szczerości Nuny i jej zupełnej niewinności w stosunku z Sekorzewskim. Pozostawiając w swoim sercu ogromną dozę pogardy dla hrabiego, resztę uczuć, których była znakomita większość, złożył u nóg Nuny.

Była to chwila naprawdę czarująca, dla tak młodego chłopca, jakim był Villard. Wielka to bowiem przyjemność posiadać piękną i wierną kochankę, ale jeszcze większą przyjemnością jest przekonać się, że podejrzenie zdrady, było fałszywe. Jest to dla każdego kochanka rozkosz podwójna, gdyż, nie tracąc swej przyjaciółki, otrzymuje jednocześnie z rąk losu potwierdzenie swych wartości, które sam zawsze przedewszystkiem uwielbia najbardziej.

Dlatego też po wszystkich nieporozumieniach na tem tle między zakochanymi następuje zazwyczaj wybuch wzmożonego zachwytu i uwielbienia. Byłoby niesłusznem utrzymywać, że Villard różnił się pod tym względem od każdego innego mężczyzny. To też, jakgdyby nagle z jego mózgu wygarnięto jednym gestem wszelką pamięć o tem, co stanowiło przedmiot jego niedawnych trosk, pozostawiając tylko promienisty zachwyt i podziw dla jej piękności. Był to więc niby dalszy ciąg wczorajszego wieczoru. Stanowili dwa rozkoszne dreszcze, jednoczące się w jeden krzyk rozkoszy i pragnienia, w jeden hymn uwielbienia, tężejący w nim z każdą chwilą, odsuwający przeznaczenie z przed oczu wszystkie sprawy świata najdrobniejsze, najlepsze względem niego aluzje. Nie ulega wątpli-

wości, że, jeżeli w tej chwili Nuna czuła to samo co Villard, to oboje w uczuciach swych byli tak prymitywni i idealnie nieskomplikowani, jak dwa wróble na telegraficznym drucie.

To jednak co zostało powiedziane w tej „zasadniczej” — materji powinno wystarczyć wielbiicielom prostoty w życiu. W tych uczuciach, które skłoniły Villarda do zbyt długiego milczenia, a które są tak właściwe kochankom, w niektórych sytuacjach, była owa prostota tak uwielbiana przez zwolenników Vatteau, prostota nie obarczona żadną odpowiedzialnością, a tak nie licząca się z nikim, jak symfoniczny utwór, grany wobec bezpłatnej publiczności.

Nuna, trzeba przyznać, potrafiła wznieść się do wysokości prymitywu. Była tak szczerą, jak murzyńska sztuka. Wszystkie więc zmysły, stopiły się w jeden bezgłosny akord — jako hymn wyspiewany na cześć rozkoszy. Pieśń bez słów, cudowny dwugłos rozkosznego czynu, powstałego na skutek jednoczesnego pragnienia i jednakowego pożądania.

Szczerzoie więc obejmowało ich swemi skrzydłami dość długo. — Nie badajmy jednak czasu, i nie szukajmy więcej szczegółów tej chwili czarownej, której właściwości urocze, zbyt silnie żyją w pamięci każdego z nas, byśmy mieli udawadniać to, czego sami jesteśmy najkonkretniejszym dowodem. Musimy jednak zrozumieć Villarda, jak również nie winniśmy popełniać nietaktu właściwego tym, którzy skłonni są w swej niekulturalnej pewności siebie, nawet księdza uczyć katechizmu. Dlatego nie podsuwajmy ubocznych myśli Nunie i nie czekajmy na jej oburzenie. Zarówno on, jak i ona byli dalecy od wszelkiego niezadowolenia. Jeżeli Nuna była rozżalona, to rozżalenie jej było w odwrotnym stosunku do przypuszczenia cnotli-

wych dam, które mogłyby być oburzone postępowaniem Roberta. — Ale Nuna według wszelkiego prawdopodobieństwa rozżaloną nie była wcale. Przeciwnie, ona pierwsza przerwała właściwe u młodzieńców milczenie, posiadające wszelkie cechy zażenowania, tak czarującego i pożądanego zwłaszcza dla kobiet starszych, które w krynicy wstydlivosti kochanka, odnajdują swoją pierwszą młodość.

To też przycisnąwszy jego rozpalone czoło do falującej piersi — rzekła tkliwie:

— Ach, jakis ty dzieciaczek jeszcze kochany! No powiedz co... No powiedział — Jesteś szczęśliwy? — Tak — wyszeptał przerywanym głosem.

— I kochasz mnie?

— Szalenie, szalenie.

Naraz objął ją w pól i, przyłożywszy usta do jej ucha, szeptał gorączkowo:

— Musisz być moja, moja na zawsze, na zawsze!

— Mam męża.

— Rozwiódę cię z nim. Rzucisz go i wyjdiesz za mnie! Och, co za rozkosz — zawołał, jakgdyby przypominając sobie tylko co ubiegłe chwile. — Nie! Ja się już z tobą nie rozstanę. Zapłacę twemu mężowi ile zechce, żeby tylko nie robił trudności, i wezmę mu ciebie. Na zawsze, na zawsze!

Nuna gładziła jego włosy ręką, uśmiechając się z lekką melancholią.

— Och, mówisz jak dziecko.

— Dlaczego? — oburzył się szczerze.

— Bo nie chcesz pamiętać, że to niemożliwe.

— Niemożliwe? Więc nie chcesz?

— Nie dlatego, że ja nie chcę.

— A dlaczego?

— Dlatego, — rzekła po chwilowem wahaniu, — że ty, mój Berciu, jesteś jeszcze młody, bardzo młody. Tobie dzisiaj podoba się ta kobieta,

jutro tamta, pojutrze jeszcze inna, i tak będzie jeszcze prawdopodobnie z dziesięć lat. A ja? Ja mam już dwadzieścia dziewięć lat, prawie trzydzieści! Jestem od ciebie starsza — dodała z westchnieniem — i o tem należy pamiętać.

— Och nie, nie mów tak — zaprzeczył żywo. — Co znaczy, że jesteś odemnie starszą o parę lat. Ja nie chcę o tem wiedzieć. Jesteś młoda i ja jestem młody. Ty mnie kochasz i ja ciebie kocham! Nad czem więc mamy się namyslać? Nie, Nuno. Ja mówię zupełnie serio. To postanowione.

— Co postanowione, mój kociaku złoty, mój psiuniu jedyny, co?

— To, że ja ciebie z Nienazyckim rozwiódę i żenię się.

— Ty ze mną?

— Ja z tobą!

Przycisnęła usta do jego ust i całowała długo z jakimś głębokim, serdecznym wzruszeniem.

— Dzieciaku! To chwila! Jesteś jeszcze oszomiony, upojonyro zkoszą. To przejdzie! Jutro będziesz mnie chciał tylko widzieć, a o wszelkich ślubach zapomnisz napewno.

— Jutro? — wyszeptał Villard lekko błędąc. — „Jutro, powtórzył w myśli, stanę na mecie i wszystko może się skończyć”.

Bolesny, rwący niepokój szarpał jego sercem. Villard przesunął ręką po czole, odganiając złe myśli, cisnące się natrętnie.

— Widziś! — Już się zastanawiasz! — rzekła Nuna z lekką goryczą. — Widziś jak to łatwo mówić rzeczy piękne bez namysłu.

— To nie to, nie to, zawołał! Przysięgam, że nie to. Ja sobie tylko coś przypomniałem.

— Zapewne tę dziewczynę, którą zostawiłeś w Paryżu? — spytała z dosyć widoczną zazdrością.

— Och nie! Nie myślałem w tej chwili o żadnej kobiecie. Zresztą ona napewno już się po mnie pocieszyła. Nie, Nuneczko. To co mi przyszło do głowy jest stokroć poważniejsze. — To „coś”, co jedno może stanąć na przeszkodzie moim zamiarom.

— Cóż to takiego?

— Nie mogę ci powiedzieć. Jutro się dowiesz. Jutro wieczorem!

Spojrzała na niego niespokojnie.

— Czy nie masz zamiaru popełnić jakiego głupstwa? — spytała, patrząc mu badawczo w oczy.

— Nie, to nie jest głupstwo — odpowiedział poważnie.

— Więc powiedz! — nalegała.

— Nie mogę!

Piękna twarz Nuny spowaźniała nagle.

— Jak to niedobrze, gdy między ludźmi kochającymi się niema szczerości, szepnęła.

Villard patrzył na nią zmieszany prawie bolesnym wzrokiem, poczem, nie mówiąc nic, ukląkł przed nią i ukrył twarz w fałdach jej sukni.

Może po raz pierwszy w życiu, Nuna uczuła naprawdę jasny promień oświetlający serce słonecznym blaskiem. Ogarnął ją silny czar upojenia, ogarnęło ją słodkie wspomnienie młodości, ubiegłej bezpowrotnie. Przymknęła oczy, rozchylając usta w uśmiechu rozmarzenia. Miała wrażenie, że jest naprawdę młodą dziewczyną, u której stóp klęcząc wyszłochuje miłość rozkochany student.

Nie było to jednak tylko złudzenie. Nuna naprawdę pod wpływem miłosnego wybuchu Roberta, czuła opadający z jej ramion płaszcz fatalnych lat, przeżywanych w bagienku kłamanych miłostek. — Uczuła się nagle odrodzoną, oczyszczoną z grzechów, przyciśniętą do łona piękności, tej piękności życia, którą jest prawdziwa, jasna młodość. pełna

czarującej naiwności, wiary w szlachetność i w dobrotliwość ludzkiego kochania. — Ktoś niewidzialny zapalił różaną lampę wewnątrz jej serca i zdjął z oczu ciemną krepę, a z ust uśmiech pełen jadu. Młodzieńcza miłość Villarda wymiotła jednym gestem, pleśń lat spędzonych w kłamstwie, rudą rdzę, żrącą jej sumienie, pozwalającą na wiele czynów, które, w tej chwili, jeżeliby je sobie mogła uprzytomnić, objęłyby ją dreszczem pogardy do samej siebie. Ale Nuna zdawała się zapominać o tem wszystkim co stanowiło jej życie i tego życia zasadnicze fakty. — Miłość Villarda zrujnowała jedynym muśnięciem skrzydeł cały gmach, stawiany cegiełka, po cegiełce przez wszystkich jej nielicznych kochanków. W tej chwili czuła jedynie nieopisaną, słodką radość miłości, która rozpalona jego entuzjazmem paliła się w niej coraz jaśniejszym płomieniem, trawiąc swą żywiołową siłą wszystko co dotyczyło Nienazwykłego i tego życia, które ją wychowało.

I oto nagle, jak grom silny i jasny, zwała się na nią myśl, że to przecież może nie być tylko przejściowym kaprysem młodego chłopca, ale tym piorunem szczęścia, które czasami spada nieoczekiwanie, jak lawina i przypina zwykłym śmiertelnikom skrzydła boskiego upojenia. — Po fatalnej katastrofie z mężem, kiedy, pozostawiona przez niego, gryzła z wściekłości poduszkę kanapy, oblewając ją gorzkimi łzami bezsilności, przyszło jej na myśl, że właściwie mogłaby go porzucić! — Czyż potrzebowała wiązać swe życie z życiem tego wyrafinowanego łotra? Jeżeli kiedyś przyjęła jego zabiegi, i zgodziła się uczynić to „świństwo” (tak przynajmniej myślała o swoim małżeństwie), to przedewszystkiem dlatego, że tego sobie życzył hrabia, który chciał ją podwyższyć w hierachji spo-

leczej, ze względu na własne stanowisko. Obiecał zapisać jej 200,000 rubli, czem przykuwał ją do siebie zabezpieczając zbliżające się lata starości, które jak najstraszliwszy upiór straszły ją po nocach.

Teraz jednak, wobec poważnego oświadczenia Villarda, wszelkie obawy przed ciemną przyszłością opadły jak liście zerwane wichrem z drzewa. Nuna poczuła w sobie gorący płomień prawdziwej, młodzieńczej miłości, miłości odważnej i gotowej do walki z przeciwnościami, i miała wrażenie, że niespodziewanie rozstąpiły się przed jej oczyma chmury na horyzoncie i padło lazurowe światło, wyiskrzzone słońcem. Zabrzmiały chóry anielskie i spłynęły wonie odurzające słodyczą. Rozwód z Nienazyckim!

Rzucona przez niego myśl, w wieńcu miłosnych słów, zaklęć, szeptów, uśmiechów i łez, stała się dla niej błyskawicą, rozświetlającą ciemności jej obaw! Odrzucając to, o czem myślała tylekroć z lękiem, stało się zupełną, jasną koniecznością niemal bezwarunkowo pewną przyszłością. — Nawet jego brutalne z nią obejście, które prócz łez, zalało jej serce goryczą i nienawiścią, nie było tak wstrząsające dla niej koniecznością zerwania z mężem, jak entuzjastyczny wybuch miłości Villarda, który wołał: „Rozwiódę cię z mężem i wezmę cię dla siebie”.

Naraz Villard podniósł głowę od jej kolan i patrząc jej prosto w oczy, rozrzucone i pełne łez wzruszenia, spytał:

— Nuneczko. powiedz mi szczerze! Czy tybyś wyszła za mnie zamąż?

Ona drgnęła lekko i przytuliwszy swoją twarz do jego twarzy rzekła szeptem:

— Ty się pytasz dzieciaku mój?

— W takim razie ja wiem co zrobimy, zawołał, chwytając ją za ręce i ściskając je mocno w swych rozpalonych dłoniach, Nuneczko!

Jeżeli ktoś chce coś działać, powinien działać stanowczo. Wyjeżdżamy.

— Jakto wyjeżdżamy?

— Wyjeżdżamy pojutrze do Stefena.

Patrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Nie rozumiem cię, co chcesz przez to powiedzieć!

— Czyż to nie jasne? — zawołał, zrywając się z kolan. — Jeżeli mówię: „wyjeżdżamy do Stefena” to znaczy: że ty i ja porzucamy jednocześnie Warszawę i przenosimy się na dłuższy pobyt na polskie Inflanty, gdzie mam wśród świerkowych lasów i wielkich jezior myśliwski zameczek. Tam nas nawet Nielecki nie znajdzie. A tymczasem tutaj, twój adwokat będzie prowadził sprawę rozwodową, a kiedy wszystko będzie już załatwione, weźmiemy ślub i wyjedziemy oboje zagranicę i będziemy żyli szczęśliwie do końca życia.

— Cudowna bajka — szepnęła.

— Bajka? — oburzył się. — Chyba, że nie chcesz, bo nie wątpisz, że mówię szczerze...

Ich oczy spotkały się. Zrenice Villarda rzucały płomienie, a z krwistych, purpurowych ust, padały słowa tchnące żarem szczerości.

— Przysięgam ci, przysięgam!

Nuna uczuła zamęt w głowie i rozkosznie rozlewającą się słodycz po całym ciele.

Wyciągnęła ręce i zerwawszy się, zarzuciła mu ramiona na szyję... Oboje padli na kanapę obсыpując swoje twarze gorącymi pocałunkami.

— Mój, mój kociaczek, mój złoty, jedyny pieścioszek... szepnęła w przerwach, nie przesta-

jąc ani na chwilę całować go z coraz bardziej wzmagającą się namiętnością.

— Twój, twój nazawsze, Nuneczko, nazawsze odpowiedział Villard przerywanym głosem, czując to samo przedziwne gorąco oblewające go żarem, jak godzinę temu, gdy przekonał się, że pretensje hrabiego do Nuny, były zwykłym oszczerstwem.

I znów stwierdzając logiczny rozwój wypadków, należy dodać, że miłość, której gwałtowny napór zdawał się obejmować Villardowi pamięć i zdolność obliczania czasu, znalazła swój słuszny wyraz, tak właściwy dla kochanków, a tak godny pożądania dla tych, którzy im zazdroszcza.

X.

Wbrew przypuszczeniu Roberta, którem się (mówiąc na uboczu) nieco pocieszał, warunki pojedynku okazały się niezwykle ciężkie. Nilecki był upoważniony przez Villarda do niestawiania żadnych przeszkód propozycjom hrabiego. Drugi zaś „mąż zaufania”, którym był uproszony przez Kocia, Krasanow, jako były wojskowy, nie chciał nawet dopuścić myśli, aby spotkanie skończyło się bez trupa. Jeszcze więc tego samego wieczoru, zaledwie w pół godziny po wyjściu Nuny, przyszli obaj do mieszkania Villarda i w krótkich słowach przedstawili mu protokół posiedzenia, na którym postanowiono, zgodnie z honorem, aby głęboka obraza, jaka spotkała obie strony (powód pojedynku był zaprotokółowany ogólnikowo i niejasno) nie mogąc być okupiona zgodą, została rozstrzygnięta z bronią w ręku. Warunki tego spotkania z bronią w ręku, były jednak tak ostre, że Villar-

dowi, chociaż istotnie nie był tchórzem, zrobiło się mdło. Po przyjsciu na metę przeciwnicy staną na oznaczonych przez sekundantów miejscach w odległości dwudziestu kroków. Pistolety z muszkami, oraz trzykrotna wymiana strzałów.

— Kto podał te warunki? — zapytał po chwili lowem milczeniu Villard.

— Sekundanci hrabiego Sekorzewskiego, panowie: hrabia Brucz-Brujewicz i pan Stanisław Woynarowicz — odpowiedział Nilecki.

Villard podziękował swoim „mężom zaufania”, upewnił się, że spotkanie ma się odbyć nazajutrz o szóstej rano w lasku Bielańskim i uważał całą rozmowę za skończoną.

Dopiero jednak wówczas Kocio uważał za stosowne rozpocząć opowiadanie, długo i szczegółowo malując słowami, „wstrząsająco komiczny”, jak się wyrażał, obraz przyjęcia ich przez wymienionych panów, którzy, jak mógł wywnioskować z ich słów i stanowczego postępowania, reprezentowali ściśle ograniczone pełnomocnictwo, zmierzające do tak ostrych warunków, aby jeden z przeciwników bezwarunkowo musiał zostać na placu. Krasanow, w zupełności się zgadzał z tym punktem widzenia sekundantów hrabiego i popierał słusność ich zapatrywania. Wszyscy więc czterej panowie (choć żaden z nich nie wiedział na czym polegało nieporozumienie), zgodnie przyznając sobie słusność, postawili warunki, mające dziewięć dziesiątych danych, że nie będzie „dziur w niebie”, jak się pogardliwie wyrażał Krasanow o „fuszerach” i mydlakach, którzy się pojedynkują dla huku. Czy takie zakończenie pierwszego zbliżenia w różowym świetle lampy przypadało do gustu Villardowi — należało wątpić. Robert nie był tchórzem, niemniej jednak ostre warunki, które niemal uniemożliwiały

wybrnięcie z sytuacji, nie przejmowały go zachwytem. Pragnął żyć, a tembardziej teraz, kiedy owionął go czar prawdziwej miłości, kiedy Nuna z westchnieniem ulgi opadała mu na piersi, teraz gdy jego, i tak piękne, bo młode życie, iskrzyło się słońcem. Były to pierwsze refleksje, dość gorzkie i pośepne. Po raz pierwszy Villard zrozumiał, że życie jest krótkie i to nawet zakrótkie w stosunku do tych czarujących bogactw, które zawierał świat. Do wczorajszego dnia nie myślał o tem nigdy. Gdyby mu kto powiedział, że umrze, odpowiedziałby napewno: „Tak wiem, kiedyś, ale kiedyś wszyscy pomrzemy”. To kiedyś w umyśle młodzieńców jest tak dalekie, jakby miało nigdy nie nastąpić. Dzisiaj jednak, zdjęto mu nagle z oczu różowe okulary i pokazano inny świat. Przejrzał i zobaczył rzeczywistość, która za kilkanaście godzin mogła się zmienić w nieubłaganą śmierć, czyniąc z niego martwe odrażające cielsko trupa.

Tymczasem obaj „mężowie zaufania” zaproponowali mu wspólną kolację, na co przystał. Chciał zapomnieć o nadchodzącym terminie i stanąć oko w oko ze śmiercią, nie zgryziony żalem obaw i tęsknotą za życiem, które przypinało sobie skrzydła do odlotu.

Villard jednak, przekonawszy się, że obaj panowie, poczynili już odpowiednie przygotowania i wracając z posiedzenia, wynajęli po drodze pistolety, które posłaniec zaniósł do mieszkania Nicleckiego, oraz zamówili karete, postanowił ubrać się we frak i, nie wracając już do domu, udać się na plac boju.

„Co będzie jeżeli się nie uda?—myślał czując zimny dreszczyk wędrujący po plecach. Co zrobi Nuna na kolei, oczekując mnie tam z niecierpliwością.

Villard, nie wyobrażając sobie żadnych przeciwników, zdołał nakłonić ją, niemal przed samym wyjściem, do wyjazdu natychmiastowego, który miał nastąpić w godzinę po pojedynku.

Nazajutrz więc miała przyjechać na kolej, nie mówiąc nic mężowi i oczekiwać go. Postanowili ukryć się w Stefanpolu, a stamtąd, przez pewnego adwokata, którego nazwisko wymienił Villard bez zastanowienia, przeprowadzić rozwód i wzięwszy ślub udać się na dłuższy pobyt zagranicę.

Projekt był dobry, omawiając go jednak Robert, ani na chwilę nie przypuszczał, żeby pojedynek mógł stanąć jego wykonaniu na przeszkodzie. Wczoraj świat wydawał mu się tak jasnym i barwnym, jak japońska latarnia, a on sam podobnym do skrzydlatego ducha swej miłosnej wyobraźni. Czyż mógł zdobyć się na jakikolwiek rachunek i obliczać „za” i „przeciw” tej sytuacji, której przeprowadzenie wydawało mu się tak proste, iż stał się na poziomie kupienia biletu w kasie kolejowej. Gwizdek konduktora miał być granicą rozdzielającą jego i ją od dawnego życia, początkiem nowej miłosnej pieśni, której podział na rozdziały pozostawiał przyszłemu szczęściu.

Niespodziewanie jednak obsiadły go refleksje obawy i przeczucia fatalne, świdrując go na przestrzał, jak wyimaginowane, zgniłe, zielone oczy upiora, wpatrujące się z kąta izby.

„Niech djabli wezmą, myślał, tego starego grzyba, który jak z pod ziemi wylazł w najnieodpowiedniejszej chwili”. Co będzie jak mnie zastrzeli? To „co będzie?” chodziło za nim jak pies, zaglądało mu do oczu, jak umalowana ulicznica ze Starego Miasta, grzebało się w jego mózgu, jak czerw w starej kanapie, a w chwilach wolnych od tych męczących przesładowań, zamieniało się w blade

widmo leżące na ziemi człowieka z przestreloną głową. Wszystko to się działo z szybkością padającego na ziemię słonecznego promienia. Villard, nie chcąc myśleć o tem, jednak myślał ustawicznie, gdyż każda myśl była tylko maską tego jednego upartego pytania: „co będzie?” Przytem wszystkim bał się, by go nie posadzono o tchórzostwo, więc gwizdał coraz głośniej, urywając zaczęte utwory po to, by zaczynać inne, lub opowiadać, ubierając się, jakieś dowcipy, z których śmiał się pierwszy, nie spostrzegając jednak, że głos jego brzmi trochę sztucznie, a nieco zagłówny śmiech urywa się tak nagle, jak lot ptaka trafionego w samo serce kulą celnego strzelca. Ubrawszy się, Villard opuścił mieszkanie, obrzucając hotelowy pokój czułem spojrzeniem. Coś mu szepnęło do ucha, że widzi go po raz ostatni w życiu i Robert aż przystanął, by po raz drugi popieścić żrenicami wygniecioną hotelową kanapę, do której awanturniczej przeszłości też się nieco przyczynił.

Na ulicy, jak zawsze, trochę zażenowany i zmieszany Nilecki proponował jedną ze swych ulubionych restauracji. Udali się tam niezwłocznie.

Villard, chcąc zahamować coraz silniejszy niepokój, kazał podać przedewszystkiem butelkę koniaku, która przy pomocy milczącego Krasanowa skończyła swój żywot zaiste nagłą śmiercią. Kazał podać drugą, lecz prędko zgon jej poprzedniczki, nasunął Robertowi gorzkie porównawcze refleksje — odnośnie do również często niespodziewanego i niezasłużonego końca ludzkiego żywota. Obecni „mężowie zaufania” zgadzając się na bardzo trafne porównanie, zaprotestowali jedynie przeciw „niezasłużonemu” końcowi butelki, czego nie można było ich zdaniem aprobować, ze względu na to, że koni nie był nie tylko „zasłużony” ale nawet zaszczytny,

zważywszy na dobór osób, które się do jej zgonu przyczyniły. Podobne rozmowy, które ze stanowiska ważkości — nie były warte funta kłaków, zajęły im kilka godzin. Po kolacji Nilecki proponował Villardowi „małego pokera, albo szmendka”, który miał się przypadkowo odbyć u niego w mieszkaniu.

Villard, nie patrząc na zegarek i nie zastanawiając się nad oryginalną porą zaprosin, zgodził się z pewnem nawet zadowoleniem. Zapłaciwszy za kolację, wstał i, czując pewną ociężałość głowy, wyszedł na ulicę nie słuchając przymilającego się szczebiotu Kocia, który starał się bawić go rozmową. Zartobliwo-głupi terkot Nileckiego drażnił go nad wyraz. Udawał jednak zainteresowanego, ze względu na ustawiczną obawę przed podpadnięciem w podejrzenie strachu. Dopiero gdy wszyscy trzej znaleźli się w mieszkaniu Kocia, uczuł pewną ulgę. W pokoju zastali oczekujących na ich przyjście dwóch gentlemenów, z których jeden był już Villardowi znany, jako Gustaw Olimpijski, drugiego zaś Nilecki przedstawił, wymieniając nazwisko Białonoga.

Był to młodzieniec trzydziestoletni, z dużą, zupełnie łysą głową, lecz silnej budowy i bezczelnej zawadjackiej twarzy. Villard nie słyszał nigdy tego nazwiska, było mu więc zupełnie wszystko jedno, jak się nazywał i kim był nowy znajomy, z którym zresztą, jak z nikim z tego towarzystwa, nie miał zamiaru wchodzić w bliższe stosunki. Wogóle wszyscy obecni byli mu wysoce obojętni, a chwilami nawet nieprzyjemni. Gdyby jednak zwracał na nich większą uwagę, przekonałby się prędko, że, o ile zebrane towarzystwo nie było dla niego zbyt zajmujące, o tyle on dla nich stanowił pewną sensację. Zwłaszcza Białonóg przyglądał mu się z takim zainteresowaniem, że zwró-

ciło to uwagę Kocio, który, bojąc się aby Villard tego nie zauważył, zwrócił się do dobrze zbudowanego blondyna z cichą uwagą.

— Ostrożnie z „gałami”. — Co się patrzysz jak wrona w gnat?

— Jestem ciekawy jak wygląda człowiek jeszcze głupszy od ciebie — odpowiedział ironicznym szeptem.

Villard, który usłyszał ostatnie słowa, a nie wiedząc o co chodzi, rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Panowie widzę znają się bardzo dobrze. Rozmawiają z sobą zupełnie po studencku.

— Tak, gdyż obaj studjowaliśmy razem na uniwersytecie w Rosenbergu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdyż Rosenberg był to właściciel potajemnej szulerni i nocnej knajpy, gdzie właśnie obaj gentlemeni zaprzyjaźnili się serdecznie. Villard jednak, nie rozumiejąc powodu tak głośnej wesołości, skrzywił się lekko, co wywołało niemal popłoch między szlachetnym towarzystwem. Nilecki obrzucił Białonoga nienawistnym spojrzeniem, ten jednak, chcąc widocznie ratować sytuację, zawołał wesoło: Jakto — pan jeszcze nie był w Rosenbergu?... Kociu! jaki z ciebie cicerone! Niech pan wybaczy — dodał, zwracając się do Villarda — od czasu jak jego profesor nieboszczyk Bamberg, przeniósł się na międzynarodowy kirkut, niezbyt pojętny, ale pilny jego uczeń stracił na energii.

— Jakiż to jest „międzynarodowy kirkut?” zapytał Robert, siadając do stolika.

— Ach, niech pan nie słucha tego wieloryba — przerwał z pośpiechem Nilecki. — Wprawdzie to jest mój przyjaciel, niemniej jednak, jest to największy przyjacielski mezaljans z mojej strony, jaki miał miejsce kiedykolwiek.

— Nie z twojej ale z mojej, bo jako wieloryb mogę cię mieć w brzuchu — odpowiedział Białonóg, siadając naprzeciw Villarda. — Doprawdy Kocio schardział. Podejrzewam, że wziął a conto posagu od papy Goldbauma.

— Przestań! — zawołał Nilecki, kopiąc go nogą pod stołem.

— Czy pan się żeni? — zapytał Villard, myśląc o czym innym. Ta zwykła jednak uwaga, uczyniona poważnym tonem, wzbudziła nową salwę śmiechu.

— Jakto, pan nie wie? — wołał Białonóg. Panna Dwojra Goldbaum, bardzo pikantna panienka bez feleru. Rodzona córka papy Goldbauma, współnika od eksploatacji lasów w Rosji.

— Wspólnika? — powtórzył Villard poważnie. Nilecki zmieszał się tak bardzo, że nawet Białonóg spoważniał.

— Ja też jestem współnikiem — rzekł Villard, — ale pan Nianażycki nie wspominał o Goldbaumie.

— Ach, on nic nie wie — przerwał Kocio. — On nie ma pojęcia o interesie. Zresztą, mogę panu wyjaśnić te dowcipy. Kiedyś, grając w karty, potrzebowałem na gwałt gotówki i pożyczyłem od Goldbauma, którego mi nastręczył pewien kelner, głupie 5.000. Odtąd się ciągle ze mnie śmieje. Drobizg i głupstwo! Lepiej grajmy!

— Grajmy — potwierdził Villard, którego całe to towarzystwo zaczynało niemożliwie nudzić.

I zaczęła się gra, jak zwykle na początku spokojna i opanowana, w miarę jednak upływającego czasu, coraz gorętsza i ryzykowniejsza. Villard, nie zwracając uwagi na swych towarzyszy, grał machinalnie, myśląc o zbliżającym się terminie spotkania. Co jakiś czas rzucił spojrzenie na zegarek

i mimowoli uczuwał pewną niechęć do niewinnych wskazówek, które z miarowem, monotonnem cykaniem sekundnika, posuwały się naprzód nieprawdopodobnie prędko. Villard prawie nie interesując się sumą, jaka był do bicia, grał z tym nienaturalnym spokojem, który jest niby płaszczem narzuconym na nagie ciało szaleńca. Jeżeli podsuwano mu kartę, mówił: po banku, i brał albo płacił. Częściej jednak płacił. Pieniądze też, które miał przy sobie, powoli przeszły w różnych ilościach do pozostałych graczy. Villard wyjął książeczkę czekową i pisał. Pisał bezustanku, rzadko ściągając ku sobie większą paczkę banknotów, które prawie wszystkie zgrupowały się u Nileckiego i Białonoga.

Tymczasem wskazówki dobiegały czwartej. Villard, z dosyć znaczącym uśmiechem, pokazał zagarek Nileckiemu, który też rzekł niezwłocznie:

— Panowie, z powodu, którego nie mogę wyjawić, możemy grać jeszcze tylko jedną godzinę.

— Więc kto chce na starość mieć pewny kawałek chleba, niech się śpieszy z robieniem majątku — dokończył z dziwnym uśmiechem Białonóg.

Gdyby w tej chwili Villard obrzucił swoich towarzyszy badawczem spojrzeniem, niewątpliwie zauważyłby na wszystkich ustach tensam szczególny uśmiech. Robert jednak był zajęty myślami o Nunie i nadchodzącej godzinie spotkania. Obie te, tak ważne dla niego sprawy, ośwładnęły nim całkowicie. Nietylko nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, ale sama gra interesowała go coraz mniej. Przytem dym z papierosów, palonych bez miary, dusił go, ściskając za gardło jak dłonią. Zaprażył odetchnąć świeżem powietrzem, przypominając sobie jednocześnie podobną sytuację dwa dni temu. Wytłumaczywszy się kilkoma słowami, wstał i podszedł do okna. To samo uczynił Białonóg, który,

mrugnawszy nieznacznie okiem na Nileckiego, odciągnawszy również Krasanowa do okna, stanął tuż za plecami Villarda. Kocio pobladł lekko i stał chwilę niezdecydowany na środku pokoju, poczem błyskawicznie szybko podbiegł do szafy z rzeczami i wrócił do stołu z długiem, wąskim pudełkiem, w którym leżało kilka poukładanych talji kart. Jeszcze jeden błysk niespokojnych oczu w stronę Villarda i, na miejscu kart leżących na stole, zjawił się takichże samych rozmiarów i koloru wąż kart, wyłożonych z pudełka szybkimi ruchami rąk Kocia i Olimpijskiego. Trwało to najwyżej minutę, przez czas której Białonóg pokazywał Villardowi szarzejący świt za dachami kamienic i opowiadał mu coś z ogromnem zainteresowaniem. Karty ze stołu powędrowały wraz z pudełkiem do szafy. Operacja była krótka. Po kilku minutach Villard, oddychając nieco lżej, wrócił do stołu i usiadłszy, zapytał:

— Kto daje karty?

— Białonóg „przecina”, ja daję — odpowiedział Kocio.

Tłusty blondyna, z uśmiechem na mięsistych ustach, wziął pierwszą kartę w dwa palce i wetknął ją, po pewnem wahaniu, mniej więcej przy końcu węża, poczem przełożył cały przód, według zwyczaju, poza tylko co wetkniętą kartę i poklepawszy z uśmiechem rozłożony stos kolorowych kartonów, rzekł:

— No, możemy zaczynać!

I zaczęła się gra, która odrazu przyniosła Nileckiemu passę z dwunastu kart. Wygrał na banku dwadzieścia cztery tysiące rubli, przeważnie Roberta, który się rozgorączkował nieco i chciał trafić po banku. Lecz, co dziwniejsze, że po tych dwunastu kartach Białonóg kupił bank i dał jesz-

sze ośm kart — wygrywając dziesięć tysięcy rubli, które niemal w całości wyłożył Villard, jak widać, opuszczony przez szczęście w zupełności. Grali dalej z tym samym jednak skutkiem. Karta jakgdyby drwiła z Villarda. Wygrywał, mając dziewięć. Jeżeli miał siedem, przeciwnik niemal zawsze odkrywał osiem, gdy wyświecał osiem, biła go dziewiątka, zjawiająca się jak *deus ex machina* w rękach Olimpijskiego, Kocia lub Białonoga. Przegrywał tylko Krasanow, który też pochmurniał coraz bardziej, i coraz częściej, aczkolwiek dyskretnie, zaglądał ukradkiem w mankiet siedzącemu obok Białonogowi.

Wreszcie Villard wstał i skłonił się.

— Dziękuję — rzekł, — Dłużej grać nie mogę.

Nilecki wstał również i nerwowo chował do pugilaresu pieniądze i czeka.

— Godzina piąta — dodał. — Telefonowałem już. Zaraz przyjada.

— W takim razie my się wynosimy — rzekł Białonóg. — Panowie, zdaje się, mają jeszcze jakąś sprawę do załatwienia, więc my pójdziemy spać. Prawda, mister Olimpijski? Zrobiliśmy swoje — dodał z uśmiechem — i mamy prawo do odpoczynku.

— Dużo pan przegrał? — zapytał nagle Olimpijski Villarda.

— Nie wiem, nie liczyłem, — odpowiedział, przesuwając ręką po czole. W tej samej chwili bowiem zaśpiewał mu nad uchem głos Nuny. „Mój pieseczk, mój jedyny, mój chłopczku kochany”.

— Ale mniej więcej? — nalegał Olimpijski.

— Mniej więcej? — powtórzył, wsłuchując się z dreszczem tęsknoty w widmowy głos wspomnienia, — mniej więcej z osiemdziesiąt tysięcy prawdopodobnie.

W tej chwili po przez otwarte okno doleciał miękki trzask bijących o bruk gumowych kół.

Villard podszedł do okna i wychyliwszy się nieco, zobaczył czarne pudło karety, zatrzymujące się przed bramą.

— „Karawan zajechał” — pomyślał czując jakgdyby grudkę lodu koło serca.

— Już jest — zawołał Nilecki, nieco zdenerwowanym głosem.

— No więc, do widzenia, żegnamy panów, — rzekł Białonóg wyciągając do Villarda rękę, którą ten uściśnął obojętnie.

Obaj panowie wyszli. Zostali we trzech, z minami uroczystymi, nieco zmieszanymi, jakgdyby za chwilę miało stać się coś okropnego.

Villard poprosił by się zaczęli ubierać. Miał wrażenie, że się znajduje między dwoma katami, którzy prowadzą go na śmierć. Próbował się uśmiechnąć, i nie mógł tego uczynić, wykrzywiwszy tylko usta jakimś żalonym, gorzkim grymasem.

Po chwili wszyscy trzej, nic nie mówiąc do siebie, zeszli na dół, i zajęli miejsca w karecie.

Kocio piastował na kolanach niewielkie, podługne pudełko w czarnym skórzanym pokrowcu, któremu Villard przyglądał się z coraz większym uporem. Pudełko zdawało się przyciągać jego wzrok i hipnotyzować jak wzrok węża. Nie mógł oderwać swych zmęczonych źrenic od tej małej, czarnej trumienki, leżącej na kolanach Nileckiego, który z błogim, tajemniczym półuśmiechem, zmrużywszy oczy, obliczał w myśli swoją dzisiejszą wygraną.

— Z pierwszej gry, dwa tysiące osiemset rubli gotówką i dwa czekci po tysiąc, to razem cztery tysiące osiemset. Z drugiej gry: siedemset gotówką, to pięć tysięcy pięćset, potem czekci: jeden

na dziesięć tysięcy, dwa po sześć to dwadzieścia siedem tysięcy pięćset. Później bank. ośm tysięcy: to — trzydzieści pięć pięćset i raz, dwa, trzy — po pięć: piętnaście — to pięćdziesiąt pięćset i jakieś drobne, razem pięćdziesiąt jeden tysięcy.

Twarz Nileckiego rozpromieniała.

— Jestem uratowany — myślał, pieszcząc się swemi czarującemi myślami. — Goldberg zapłacony. Szwarcberg zapłacony, wszystkie długi popłacone i jeszcze będę miał ze trzydzieści parę tysięcy. A pieniądze od Nienazyckiego ze spółki? Cudowna historia! Ten Villard to Kalifornia, opatrnościowy mąż, jak Boga kocham! Jeszcze kilka tygodni i wszystkich nas postawi na nogi.

Nilecki mało nie uściskał Villarda, serdecznie za jego tak wybitną pomoc, okazaną zrujnowanemu towarzystwu.

Był naprawdę szczerze zadowolony i rozpieszczany radością wewnętrzną. Jego pogodny nastrój złocił mu twarz słonecznym uśmiechem, co nie uszło uwagi Villarda, który mimo wysiłków, nie mógł się zdobyć na wykrzesanie z siebie szczypty wesołości.

— Czego ten pawjan tak się cieszy — myślał, patrząc z odrazą na zadowoloną twarz Kocia. — Widocznie go bawi ta wyprawa. Może zamówił kinematograf, który, ukryty na uboczu, będzie później pokazywał za pieniądze moje zwycięstwo, albo śmierć. Ładnie bym się ubrał! Zresztą to całe towarzystwo nie bardzo mi się podoba. Za wielkie mają szczęście w kartach, Fortuna zwykła pieścić głupców, albo łotrów. Oto jej kochankowie! Ci jednak, trzeba przyznać, nie są zbyt dobranem towarzystwem. — Nie. Jeżeli... jeżeli — powtórzył — uda mi się postrzelić tę starą szkapę, która tam na mnie

czeka, wyjedziemy z Nuną na zawsze, na zawsze! Zegnaj, Warszawo, zegnaj na zawsze...

Naraz otrząsnął się, jakgdyby uderzony znie-nacka śniegową kulą. Przyszło mu na myśl, że przecież mówi „na zawsze”. Usłyszał swój własny głos, niby wymówiony przez kogoś innego. „Zegnaj Warszawo, zegnaj na zawsze” — i poblądł lekko, uważając swoje własne słowa za ostrzeżenie przeznaczenia.

— „Do wszystkich djabłów — myślał, zaciskając ręce, czy to czasami już nie zaczynają do mnie gaworzyć z tamtego świata? Wszakże sam powiedziałem „zegnaj, Warszawo, na zawsze”, ale myślałem przecież o podróży z Nuną zagranicę. Dlaczego jednocześnie przychodzi mi na myśl, że to jest głos... z tamtego świata? Czy rzeczywiście znajduje się w takim niebezpieczeństwie, że warto pomyśleć o tamtym świecie? Do licha — to byłoby okropne! Teraz to rozumiem, przypatrując się przez szybki tego karawanu.

W tej chwili Villard poblądł naprawdę, czując lekki, mdławawy zawrót głowy.

— Do licha, dlaczego ja się tak myślę? Chciałem powiedzieć: „przez szybki tej karety”, a powiedziałem: „przez szybki tego karawanu”. Czy istotnie ta karetka miałaby być moim karawanem?... A w takim razie jadę na śmierć. Ten nadgniły, stary badył zastrzeli mnie, jak kuropatkę, a za trzy miesiące żaden z tych hultajów nie będzie nawet o mnie pamiętał. Takimże więc epizodem ma być moje życie? Kilka kobiet i kilkanaście partii chemin de fere’a? To zamało. Na miły Bóg, to zamało! Mam dziesięć milionów. Mogę zrobić Bóg wie ile dobrego w życiu!

— Do licha — przerwał nagle jego myśli głos Krasanowa. — Panie Nilecki, czego pan u diabła masz taką rozpromienioną minę?

— Ja? — zapytał zmieszany Kocio. — Doprawdy zdaje się panu.

Kareta stanęła.

— Jesteśmy na miejscu! — zawołał jednak Nilecki takim tonem, jakgdyby przyjechał z panienkami na majówkę.

— Bydłę, zwierzę — mruknął pod nosem Villard, czując do Nileckiego niewypowiedzianą odrazę.

Wysiedli z karety, rozglądając się na wszystkie strony ciekawie. Villard odetchnął całą piersią, poddając wybladłą, zmęczoną twarz pod działanie promieni słońca, które, przebiwszy się przez rzadkie białe obłoczki, złociło azerwonawe pnie sosen. Znajdowali się w rzadkim lasku nad brzegami Wisły. Od szerokiej srebrnej wstęgi wody szedł chłódny, powiew i zapach wilgotny, przesiąknięty wonią nadgniłej trawy przybrzeżnej, i miły niezwykle dla Villarda, niespodziewany swąd przypieczonych ziemniaków i suchych gałęzi. Kiedy podeszli bliżej rzeki, nie mówiąc nic do siebie, Robert ujrzał na niebieskiej szarfię wody, rzuconej po przez zielone łąki, szarą, połyskującą w słońcu, tratwę. Na tratwie między trzema skurczonymi postaciami flisaków, czerwienił się pęk ognia, niby bukiet maków rzucony na niebieskawą serwetę stołu. Od tego ognia właśnie szedł ów przyjemny zapach dymu z żywczych drzew i pieczonych kartofli, które niewątpliwie flisacy przypiekali na blaszanej płycie.

Trzech wytwornych panów w lśniących cylindrach stało w pośród drzew lasku z oczyma zwróconymi w stronę płynącej z biegiem Wisły tratwy. Villard mimowoli obrzucił swych towarzyszy i siebie niechętnym wzrokiem i nagle zrobiło mu się tak nieprzyjemnie, jakgdyby czuł się aktorem, mającym odegrać rolę ponad siły. W słonecznym blasku powstającego dnia, w pośród wysmu-

kłych drzew sośniny i chóru świegotliwego ptactwa, u brzegu spokojnej, zbożnej, pracowitej Wisły, wyglądali jak trzy strachy na wróble, pozostawione obok siebie. Villard czuł dobrze tę nieprzystojną sztuczność swej sytuacji, dziwnie nie harmonizującej z tym błogiem, czystym nastrojem przebudzonego dnia. Coś mu szeptało do duszy, że wszystko to, co stanowiło jego życie obecne, było do niemożliwości głupie i płytkie, a on sam, mimo swoich dziesięciu milionów i wielkiego szczęścia do kobiet (jak sobie ustawicznie pochlebiał) wobec prześwieconego słońcem powietrza i rozśpiewanego brzękiem much i ptaków lasu nie był lepszy niżem od pierwszego lepszego szczygła z czerwonym brzuszkiem, który świegotliwie przeskakiwał z gałązki na gałązkę, zarówno jak i on nie zdając sobie sprawy, jakie moce tajemne każą mu to czynić właśnie w tem miejscu i w tym czasie.

Villard był rozczarowany do siebie i gdyby mu nie było wstyd, wysłałby „do wszystkich diabłów” i Nileckiego i Krasanowa i Sękorzewskiego i wszystkich wogóle, a sam wróciwszy do Warszawy, może poraz pierwszy w życiu zacząłby naprawdę zastanawiać się nad tą niezbitą prawdą, która równa człowieka z najdrobniejszą muszką, wobec wielkiego cudu przyrody, jakim jest świat.

Były to jednak tylko „gorzkie myśli” z kategorii przedpojedynkowych refleksji. Villard nie mógł się zresztą zbytnio nad tem zastanawiać, gdyż właśnie w tej chwili Nilecki, zauważywszy grupę przeciwników, zawołał nie bez pewnej ulgi w głosie:

— O, stoją tam!

Istotnie, przed oczyma Villarda wyrosły, jak z pod ziemi, cztery zupełnie podobne do nich figury, w czarnych paltach i cylindrach. Był to hra-

bia Sękorzewski, jego sekundanci i lekarz, którzy podeszli ku nim nieco bliżej i stanęli nieruchomo.

— No, zaczyna się „początek końca” — pomyślał Robert, zobaczywszy gentlemanów, sterczących sztywno jak powtykane w ziemię czarne kijy. — Za pół godziny jeden z nas zostanie w pozycji horyzontalnej.

Tymczasem obie grupy gentlemenów wymieniły sztywne ukłony.

— Operetka — przemknęło przez myśl Villardowi. Jednocześnie zaczął sobie usilnie przypominać jakąś sztukę, którą widział kiedyś w teatrze. W czwartym czy piątym akcie, tej wzruszającej historii, odbywał się także pojedynek. Na scenie był las, polanka, na której stało kilku wyelegantowanych panów w cylindrach. Mieli się pojedynkować o jakąś margrabiankę! Naturalnie. Stoją naprzeciw siebie, jak dwa pomalowane na czarno djabełskie sztyldwachy. Już jeden podnosi pistolet. Słychać sekundanta... przyjaciela głos tak uroczysty. Jąk gdyby już śpiewał: „Requiem”: Raz, dwa... Tymczasem... o nieba! Cud! Prawdziwy Ohnetowski cud! Między przeciwnikami, jakby senne zjawisko, jak duch w Szekspirowskiej bajce — jak imaginacja poety zblokowanego przez wierzących, zjawia się sama margrabianka... „Nie przelewajcie krwi”, woła rozdzierającym głosem. Niestety! zapóźno. Przyjaciel-sekundant, nie zdążywszy się ugryźć w język woła: trzy! Strzał pada i naturalnie prosto w serce dziewczicy. Konsternacja, żal za grzechy, ogólne przebaczenie. Tak to sztuka Ohnet’a. — woła w duszy z pewną goryczą Villard. — Ale to tylko sztuka dla teatru, a nie brutalne, kpiące, sztydzące ze wszystkiego życie. Za kilka minut, ten głupi Nilecki z miną kawalera, podającego panience cukierki, wetknie mi w rękę pistolet bez muszki — i zacznie

liczyć. Sękorzewski jest wyzywany, ma pierwszy strzał. Na dwadzieścia kroków chłopak z procy trafia wróbla w ogon. Cóż więc dziwnego, że mam szansę gracza, liczącego na kłos brylantowy w dobroczynnej loterii. Jedno jest pewne — myślał dalej, że Nuna się tu nie zjawi, jak owa margrabianka! Zresztą pal licha! Jeżeli się czego boję, to tego, by nie przypuszczali, że mam stracha. Poza tem, niech się dzieje co chce... Niech djabli wezmą cały kram. Gdybym był został w Paryżu, siedziałbym napewno o tej porze z moją Lileczką u Pascala! Słowo honoru, daleko lepsza zabawa, niż strzelać się na Bielanych z gościem, o którego istnieniu nie wiedziałem jeszcze kilka dni temu.

Nagle uderzył go jakiś głos dochodzący od strony grupy przeciwników. Villard przymrużył oczy i zmarszczył brwi jakgdyby pod naporem wzmożonej uwagi, w rzeczywistości jednak, aby zebrać rozproszone myśli.

Jeden z sekundantów Sękorzewskiego suchym urzędowym głosem, recytował jakąś formułkę, nawołującą do zgody. Villard przeniósł wzrok na chudą, jeszcze cieńszą niż zwykle, figurę Sękorzewskiego, który po skończonej oracji, zeprzeczył kilkoma poruszeniami głowy. W tej samej chwili przed oczyma Villarda wyrosła zmęczona, zielonkawa, złażdaczona twarz Nileckiego, który stanawszy blisko niego, podniesionym, równie sztucznym i nienaturalnym głosem, powtórzył mniej więcej to samo, co przed chwilą wygłaszał przyjaciel-sekundant hrabiego.

Villard już od pierwszych słów Kocia zaczął kręcić przecząco głową, poczem zawołał przytłumionym, zdenerwowanym dosyć wyraźnym głosem:

— Przestań pan do pioruna i licz kroki.

— Już odliczone.

— Kiedy?

— Jak pan stał zamyślony.

Istotnie Villard sprawdziwszy wzrokiem odległość, dzielącą go od hrabiego, przyznał słuszność temu twierdzeniu. Tembardziej, upewniła go uroczysta mina Sękorzewskiego, który stał już gotowy do czynu z pistoletem opuszczonym do ziemi.

Takiż pistolet wręczył Nilecki Robertowi, myśląc jednocześnie, że Goldbaum zaspokojony, wierzyciele unicestwieni, a on sam z wczorajszego bankruta stał się właścicielem trzdziestu pięciu tysięcy rubli i to po zapłaceniu długów. Ta radosna, upajająca myśl, tak go opanowała, że nawet wręczając pistolet swemu dobroczyńcy, nie mógł się powstrzymać od przyjemnego uśmiechu.

Villard jednak nie obdarzył go nawet jednym spojrzeniem. Otrzymawszy z rąk Kocia wytworne narzędzie śmierci, z rączką pięknie inkrustowaną perłową masą i słoniową kością, jakgdyby odbiegł od rzeczywistości. Była to coprawda chwila, ale chwila, w której zdawał się być przeniesiony do pokoju Nuny i przeżywać w błyskawicznym tempie snu, pierwsze z nią czarujące sam na sam.

Naraz uderzył go głos, dziwnie chrapliwy i nie-naturalny. Ten dziwny głos wymówił słowo, na dźwięk którego Villard uczuł zimny strumień wody ciekący mu za kołnierz.

Usłyszał słowo komendy: raz!

„Aha, więc się zaczyna — pomyślał. — Hrabia ma pierwszy strzał”.

Przymrużył oczy i nie bez pewnego wysiłku spojrzał w jego stronę.

Sękorzewski stał nieco bokiem z lewą ręką schowaną za plecy. Prawa ręka, trzymająca pistolet, była wzniesiona, nad głową.

„Za dwie minuty mogę nie żyć”, przemknęło przez głowę Villardowi. — Zamiast do Stefanpola, pojedę na Powązki. Ale trudno! Trudno, powtórzył zaciskając jednocześnie zęby, gdyż usłyszał ten sam głos mówiący: dwa.

„Jeszcze dziesięć sekund, szeptał w myśli. — Napoj się słońcem, odetchnij żywicą lasu, posłuchaj czulego śpiewu ptaków i brzęku owadów.

Jednym spojrzeniem ogarnij całą ziemię, jednym uściskiem, przyciśnij do piersi cały świat, jednym pocałunkiem wypij słodycz z ust wszystkich dziewcząt. Za minutę możesz nie żyć! Świat zgaśnie, jak zdmuchnięta świeca! Słońce stanie się czarną otchłanią, a ty trupem, obmierzłym, cuchnącym, sztywnym trupem, którego wspomnienie będzie straszło tych karciarzy i pijaków, pomagających ci teraz przez życzliwość w wędrówce na tamten świat.

— Trzy!

Jednocześnie razem z tem słowem, a może o sekundę później, Villard miał wrażenie, że piorun wyrzynał w niego, jak w sosnę, a wściekła wichura owinęła jego głowę i szarpnąwszy, chciała ją zerwać z karku, jak makówkę. Mimowoli podniósł ręce do góry i złapał się za włosy. Cyindra nie było. Leżał nieco za nim, z dziurą w boku, oparty o jakiś patyk wystający z ziemi. Jeden rzut przerażonych źrenic i westchnienie ulgi. Villard nie wypowiedział słowa, ale krzychało jego serce, krzychało śmiechem, radością, szczęściem. Śpiewało niewypowiedzianem weselem. Robert odetchnął. Uczuł przypływ stężałej przez chwilę krwi i spojrzał wokoło śmiało, odważnie, wyzywająco.

„Teraz na mnie kolej”, pomyślał i nagle ogarnęło go rozrzewniające uczucie wdzięczności i jednocześnie prośby — do dobrego, szlachetnego Pana

Boga, który skierował kulę Sękorzewskiego o pięć centymetrów wyżej. „Gdybym był wyższy, jużbym nie żył” — pomyślał. Co za traf. Cylinder dostał, jak w comber. Ale to nic, teraz na mnie kolej. Jeżeli mi się uda... Ach! jeżeli — powtórzył. — Nigdy: jeżeli. Musi się udać! Do stu tysięcy par diabłów, gdybym chybił, ten stary puhacz wali do mnie po raz drugi i trafia napewno prosto w łeb. Ja nie mogę chybić! Dobry Boże! Trzymaj moją rękę, aby nie zadrżała. Nie zamąć żreucy najmniejszą mgiełką. Ja muszę trafić!...

Jego przymrużone oczy wypuściły dwie strzały spojrzeń, które utkwily w bladej twarzy hrabiego. Sękorzewski stał, jak wyciosana z drzewa figura przydrożna. Nie poruszał się. Tylko czarny cylinder, lśniący w blaskach coraz bardziej złotego słońca, rzucał połyskujące promienie i lekko drżał, na drgającej nerwowo głowie.

„Ja ci teraz pokażę” — syczał przez zaciśnięte zęby Villard. Ja ci pokażę ty „kochanku” Nuny! ty stary, szczwany lisie, zielone winogrona.

Słyszał rzucone w przestrzeń okrutne „raz” i dwa i czekał na: trzy!

Chwila wahania i milczenia. Ma paść decydując słowo. Villard, trzymając nad głową pistolet, ścisnął mocno jego rączkę, wyliczając w myśli strzał, który powinien trafić między trzecim, a czwartym guzikiem kamizelki. Naręszcie słowo komendy pada, wyrzucone gardłowym, zdenerwowanym głosem. Villard błyskawicznym ruchem zniżył rękę i pociągnął za nikłowy cyngiel. Rozległ się przytłumiony trzask i krótki krzyk. Villard rozszerzonymi oczyma patrzył przed siebie. Twardej, sztywnej figury hrabiego już nie było w tem miejscu. Zamiast niej, zobaczył grupkę nachylonych gen-

tlemanów w cylindrach i duże, sterczące prostopadle nogi w lakierowanych butach.

„Trafiłem” — pomyślał — i rzuciwszy pistolet, szybkim krokiem podbiegł do nachylonych nad Sękorzewskim sekundantów-przyjaciół. Nachylił się również nad leżącym, z pewnem jednak zażenowaniem, chociaż trzeba przyznać, chociażby to miało zdruzgotać całą sympatię do Villarda, że w tej chwili, prócz rozpierającego go szczęścia — nie czuł prawie nic więcej. Był szczęśliwy, nie dlatego, że pokonał przeciwnika, ale dlatego, że sam nie został pokonany.

Hrabia leżał, opierając głowę na rękach jednego z przyjaciół. Oczy miał przymknięte, a całą twarz zielonkawo-białego koloru.

— Raniony? — szepnął Robert.

W tej chwili Nielecki odciągnął go na stronę.

— Jedziemy panie — rzekł drżącymi wargami. — Jemu się niewiele należy.

— Jakto? — wymamrotał Villard zmieszonym głosem.

— Dostał w piersi. Między trzecim a czwartym guzikiem od kamizelki — odpowiedział Kocio, patrząc na Roberta przestraszonym wzrokiem. Jedźmy! Oni się nim zajmą! Jest lekarz, on go opatrzy, a zresztą, niech diabli wezmą całą tę awanturę.

W tej samej jednak chwili rozkoszny głos zaśpiewał mu w myślach:

„Mam trzydzieści pięć tysięcy. Spłacone długi i mogę żyć. Goldbaum zapłacony. Wierzyściele uśmierzeni i to wszystko jednym mądrym bankiem chemin de fer’a”.

Villard, nie spojrzawszy na niego, podbiegł do karety.

Jadąc na stację kolei północnej, Villard miał wrażenie człowieka, który uratował się z katastrofy trzęsienia ziemi. Był szczęśliwy. W tej chwili nie myślał już o pojedynku i przeżytej nocy. Ciągnęła go ku sobie przyszłość, która wydawała mu się czarującym poematem. Za kilkanaście minut miał zobaczyć Nunę i wraz z nią uciec od świata. Każdy zakochany, chociażby nim był biedny urzędnik z poczty, marzy o takim wyjątkowym szczęściu. Niema kochanka, nie pożądanego samotności we dwoje, zdala od natrętnych ludzi i codziennych obowiązków. Dla Villarda Stiefenpol wydawał się rajem. Myśląc o niedalekich dniach słodczy, miał ochotę wyskoczyć z karety i biec naprzód, wyprzedzić pędzące konie, aby ukraść czasowi jeszcze choć kilka minut i przyspieszyć to upojenie, oczekujące go w ramionach Nuny. Nie więc dziwnego, że się niecierpliwił, jak również i to powinno się wydawać najzwyczajniejszym objawem młodości i temperamentu, że wyskoczywszy z karety, przeskakiwał po trzy kamienne schody, biegnąc do poczekalni pierwszej klasy. Wpadłszy do sali przebiegł ją wzdłuż i wszerz, jak wyżeł, który zgubił swego pana. Na razie przypuszczał, że Nuna jeszcze nie przyjechała, po chwili jednak zauważył ją, siedzącą przy małym stoliku, odwróconą bokiem i zjadającą kotlet z groszkiem. Był to dla niego widok czarujący! Przebiwszy się przez stłoczony tłum, oczekujących pasażerów. Villard pobiegł do niej i chwyciłszy jej rękę, która nie zdążyła położyć widelca, okrył ją gorącymi pocałunkami.

— Więc jesteś! — zawołał. — Nareszcie! Obawiałem się, że ci zabraknie odwagi.

Nuna objęła go tkliwem spojrzeniem i uściśnęła mocno jego dłoń, uprzednio położywszy widelca na talerzu.

— Dla ciebie, mój drogi — szepnęła. Och, nie sądz tylko, że to przyszło z łatwością.

— On domyśla się czego!

— Nie! Niczego!

— A coś powiedziała? — pytał. — Zapewne nic nie wie, żeś się wybrała do odjazdu?

— Naturalnie, Spakowałam niektóre rzeczy jeszcze wczoraj. Dzisiaj zaś wyjechałam podczas jego nieobecności.

— A pokojówka?

— Wie, że wyjechałam do przyjaciółki, która mieszka w Petersburgu. To samo napisałam w liście do niego.

— W liście? — zapytał nieco rozzarowanym głosem. — Pociąg pisałaś?

— Przecież musiałam coś napisać — odpowiedziała. — Inaczej mógłby przypuszczać, że zginęłam i narobiłby niesłychanego kramu. Och! co za radość! Wiesz, że ja sama nie mogę jeszcze uwierzyć, że to wszystko się dzieje naprawdę — dodała podnosząc w ekstazie oczy ku niebu. — Jedziemy razem,

— Tak razem! — powtórzył.

— I będziemy mieszkali zdala od świata?

— Jak dwoje pustelników. W odludnym zamczku, między jeziorami i lasami.

— Sami, we dwoje!

— To szczyt radości — szepnęła. — Szczyt szczęścia! Och... Villardzik mój złoty! — dodała, kładąc swoją rękę na jego dłoni — Ty mnie nie przestałeś kochać? Prawda?

— Ja ciebie? — zawołał z oburzeniem. — Ależ jak możesz o tem myśleć nawet.

— Tak się tego boję...

— Nie, nie bój się. O to cię przedewszystkiem proszę. Nie bój się i nie myśl o tem. Teraz trudno o tem mówić, bo patrz na nas. Patrz — widzisz, ta starsza pani patrzy tak, jakgdyby chciała nas umarynować w occie — rzekł wskazując oczywiście jakąś otyłą damę, która opierając swój biust na parasolce, a swoją brodę na biuście, przypatrywała się im z ironicznym uśmiechem.

Nuna spojrzała w tę stronę i spochmurniała. Miała wrażenie, że otyła dama uśmiecha się myśląc: „Stara kokieta nie bałamuć chłopaka, który i tak cię rzuci dla młodszej”.

Odwrociła się z pogardą.

— Masz też na kogo zwracać uwagę — rzekła. Może i ja chcesz skokietować?

— Ja? ja?... — zawołał ze śmiechem Villard. Niema obaw! Chyba, że mnie rzucisz... Wtedy przez zemstą popełnię samobójstwo!

— Oboje roześmieli się. Naraz Villard zmieszkał się nieco i powstał z miejsca. Przy stoliku stanął jakiś pan małego wzrostu, siwy, z ostrą, białą bródką. Nieznajomy patrzył dosyć chmurnym wzrokiem na młodzieńca, który, przeprosiwszy Nunę, podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

— A to pan — rzekł, patrząc z ukosa na Nunę, która była tą niespodziewaną wizytą bardzo zaniepokojona.

— Tak, to ja! — odpowiedział wcale nie uprzejmie siwy pan. — Szukałem pana w jego mieszkaniu, ale oczywiście na próżno. Doprawdy, nie wiem, czy pan wogóle sypia.

— Ma pan do mnie interes? — zapytał Villard.

— No, zapewne. Nie przypuszcza pan, żebym go szukał dla przyjemności.

— W takim razie odejdźmy na stronę — odpowiedział młodzieniec, a zwracając się do Nuny, dodał szeptem:

— Przepraszam cię, na chwileczkę. To pleni-potent mego ojca i jego przyjaciel. Nudna pała, ma do mnie jakiś interes. Zaraz wrócę.

„Nudna pała” nie czekając na ich porozumienie odszedł od stolika w przeciwną stronę sali, gdzie było nieco przestronniej. Villard pobiegł za nim. Kiedy znaleźli się razem, rzekł zaafekowanym głosem:

— Kochany panie Apolonjusz, ja już czuję, że pan się na mnie gniewa. Ale naprawdę niesłusznie. Miałem być u pana, ale nie mogłem, słowo daję, nie mogłem. Pan niema pojęcia, jakie niespodziewane wypadki stanęły na przeszkodzie.

— Domyślam się. Ta madame, która tam siedzi przy stoliku, to zapewne jeden z tych niespodziewanych wypadków?...

— Ach, proszę pana. Cóż znowu — zawołał Villard z oburzeniem. To bardzo przyzwoita pani, mężatka z towarzystwa.

— Bardzo dobrze. Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział starszy pan zgryźliwie. — Nie jestem na szczęście pańskim wychowawcą. Nic mnie nie obchodzi, czy pan się lumpuje w towarzystwie mężatek, czy panierek. Ja jestem do pewnego stopnia obrońcą pańskiego majątku i prawnie i moralnie, gdyż ś. p. ojciec pański polecił mi...

— Tak, tak, ja przecież temu nie zaprzeczam — przerwał pośpiesznie Villard.

— Bardzo jestem panu wdzięczny, że pan nie zaprzecza, panie Robercie — rzekł z naciskiem starszy pan, ale otrzymawszy pański list, zawierający testament, czyli różne brednie, nie mogłem tak przecież tego zostawić. Pański ojciec, a mój przyjaciel, polecił mi przed śmiercią, abym baczył na

pańskie czyny i w miarę możności powstrzymywał pana od szaleństw.

— Ale cóż ja takiego robię?... — przerwał Villard.

— Co?... Drzwi banku nie zamykają się od czasu, jak pan do Warszawy przyjechał. Idą procesy różnych świszczypałów, urwipolciów z pańskimi czekami. To panu jeszcze mało?

— Och, wielkie rzeczy. Przegrałem trochę pieniędzy w karty.

— A ten testament: „Miljon na przytułek dla upadłych dziewcząt, z tym warunkiem, żeby zarządzające i opiekunki nie kazały się całować w kolano”. To się nazywa testament, ostatnia, przedśmiertna wola? Pan chyba zadrwił sobie ze starego przyjaciela swego ojca i chciał go ośmieszyć wobec swych przyjaciół.

— Ach, panie Różecki — zawołał Villard. — Jak pan może przypuszczać nawet coś podobnego.

— A co znaczy ten „miljon dla pani Nuni Nienażyckiej, żony przemysłowca, Tomasza Nienażyckiego?”

— A to już moja tajemnica — rzekł, ściągając z niezadowolaniem brwi. To sprawa osobista.

— Osobista sprawa szastania milionami.

— Swojami, i po śmierci!

— Po jakiej śmierci? O ile sądzić mogę, znajduje pana w doskonałym zdrowiu.

— To wypadek. Tyle tylko brakowało, żebym nie żył — rzekł Villard, pokazując Różeckiemu koniec małego palca.

— Panie Villard, panie Villard — powtórzył, kiwając głową starszy pan. — Kiedy pan się ustakuje? Jest pan w Warszawie kilka dni załedwie, a już dzisiaj telefonował do mnie dyrektor banku,

abym się z panem zobaczył. Czy pan wie, kto to jest Nienażycki?

— Owszem wiem, przemysłowiec.

— Właśnie. Dzisiaj rano podniósł za pańskim czekiem sto pięćdziesiąt tysięcy rubli. Panie Villard, pan się rujnujesz, pan wyrzucasz pieniądze bez rachunku, w błoto, jak śmiecie, a to są pieniądze krwawo zapracowane przez pańskiego ojca i dziadka, którzy całe swe życie poświęcili dla zabezpieczenia pańskiego bytu!

— To są pieniądze na pewien interes. Miałem pana w tę sprawę wtajemniczyć, ale nie zdążyłem. Interes świetny. Pan Nienażycki stoi na czele towarzystwa akcyjnego eksploatacji lasów w Rosji. Widziałem dokumenty, akta sprzedaży itd. Wszystko to miałem panu opowiedzieć, ale zabrakło mi czasu — mówił Villard zmieszonym głosem.

— A cóż pan takiego ważnego robił, jeżeli pan nie miał czasu zawiadomić mnie o tak ważnym interesie?

— A to moja tajemnica. Sprawa osobista.

— Znow „sprawa osobista” — rzekł z ironicznym uśmiechem starszy pan, patrząc surowo w oczy Robertowi. — No to trudno! Muszę jednak panu powiedzieć, że mam tu przy sobie pełnopowagę, którą musisz pan podpisać. Jeżeli pan jesteś niestety, takim lekkoduchem, że nie dbasz o swoje interesy, ja muszę to uczynić, chociażby przez pamięć dla pańskiego ojca, którego byłem przyjacielem.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru i „wieczne” pióro. W tej chwili Nuna zniecierpliwiona długą nieobecnością Villarda — przesyłała w jego stronę rozpaczliwe spojrzenia. Robert stał jak na rozpalonym ruszcie.

— Ach, panie Różecki — rzekł patrząc w jej

stronę. — Ja wkrótce przyjadę. Teraz nie mam czasu. Muszę towarzyszyć tej damie do Petersburga.

— Nie wyjedziesz pan przed podpisaniem tej plenipotencji. Panie Villard. Ja byłem serdecznym przyjacielem pańskiego ojca i należy mi się trochę szacunku.

— Ależ mam go, niech mi pan wierzy, tylko już słyszę drugi dzwonek. Słyszysz pan? Jak Boga kocham, drugi dzwonek! Za kilka minut odchodzi pociąg! — wołał Villard, kręcąc się niespokojnie.

— Tu jest pióro — odpowiedział na to siwy pan chłodnym głosem. — Proszę podpisać plenipotencję.

— Daj pan! — zawołał Robert, porywając pióro. — Podpisuję plenipotencję, lecz mam nadzieję, że pan jako jedyny przyjaciel mojego ojca, zechcesz mi od czasu do czasu przesłać trochę pieniędzy.

— Owszem. Muszę jednak znać dokładny pański adres — odpowiedział siwy pan z zadowoleniem, chowając podpisany papier do kieszeni.

Villard zawahał się.

— Jedzie pan do Petersburga? — prowokował go z uśmiechem Rozecki.

— Niekoniecznie. Chociaż tak, do Petersburga, ale właściwie nie — mówił Villard z najwyższym roztargnieniem, namyślając się jednocześnie, czy wyjawić Rozeckiemu właściwy adres. Postanowił jednak powiedzieć prawdę. Rzeczywiście nie jadę do Petersburga, ale do Stefenpoła. Mówię to panu jednemu, na wypadek, gdyby się coś stało.

— Z tą panią? — zawołał prawie przerażonym głosem siwy staruszek.

— A to... sprawa osobista — odpowiedział, śmiejąc się Villard. — Ściskam pańską rękę i zapewniam pana, że jestem szczęśliwy. Życzę panu

również takiego szczęścia. I niech pan się na mnie tak nie „indyczy”, kochany panie Apolonjuszu. Za kilka tygodni będę w przejeździe, to się zobaczymy.

W tej chwili podszedł do nich tragarz kolejowy, który, trzymając czapkę w rękę, zawiadomił Villarda o niezwykleм zniecierpliwieniu Nuny.

Villard potrząsnął dłonią Rozeckiego i podbiegł do niej.

Piękna kobieta była oburzona,

— Dostałam wypieków z obawy, że się spóźnisz! Jak można być tak lekkomyślnym — mówiła podnieconym głosem. — Tragarz, tędy przed nami! Boże, co to za kulfon! Już po drugim dzwonku!

— Mamy własny przedział, niema obawy — uspokajał ją Villard. — Kazałem szwajcarowi hotelowemu zamówić jeszcze wczoraj.

— Ach, co mówisz? Własny przedział też może zająć jakaś lafirynda. Mało jest takich kobiet?! Przecież, pierwszy lepszy urzędnik z gwiazdką, na czapce wpakuje się, i co mu zrobisz?

— Wyrzucę go za drzwi!

— A on zawoła żandarma i wpakuja cię do więzienia.

— Najwyżej spiszą protokół.

— Bagatel! Tylko tego brakowało, żeby taką podróż zaczynać od awantury z żandarmami.

Nareszcie znaleźli się w przedziale, który utworzył im własnym kluczem obdarzony sowicie przez Villarda konduktor.

— Tutaj będzie państwu wygodnie — rzekł lekko dostrzegalnym dwuznacznym uśmiechem, co nie uszło jednak uwagi Nuny. Zmierzyła go też tarcącym spojrzeniem i usiadła dysząc ciężko.

Villard z pewnem zdziwieniem zauważył, że oddychała tak, jakgdyby przeszła przynajmniej dwie wiorsty drogi, prowadzącej pod górę. On nie czuł

najmniejszego zmęczenia. Przeciwnie, świetne zakończenie awantury, napelniało go jakąś wulkaniczną energją. Miał ochotę tańczyć, albo przynajmniej śpiewać. Tymczasem Nuna, padłszy na miękkie poduszki dyszała, położywszy rękę na biuście.

— Zmęczyłaś się? — zapytał przypatrując jej się uważnie.

— Ja myślę...

— Ale czem?

— Jakto czem? Chyba jesteś bez nerwów! — odpowiedziała odpinając woalkę z kapelusza. — Gorąco i tłok! Ci ludzie pchają się niemożliwie! A w dodatku, ty prowadzisz półgodzinne konferencje wtedy, kiedy jest drugi dzwonek! Można dostać bicia serca z samego zdenerwowania!

Zdjęła kapelusz i położywszy go na drucianej siatce, usiadła z powrotem na dawnym miejscu przy oknie. Villard usiadł obok niej. W tej chwili rozległo się miarowe potrójne uderzenie stacyjnego dzwonu, a wkrótce po niem furkot świstawki konduktora i krótki świst lokomotywy.

— Jedziemy! — zawołał Villard.

Nuna mimowoli schwyciła go za rękę i ścisnęła mocno. Spojrzał w jej twarz i uderzył go przestraszony, zmieszany wyraz jej oczu, które patrzyły gdzieś w przestrzeń.

— Boisz się? — wyszeptał.

— Tak... — odpowiedziała krótko.

— Ale czego? — zapytał miękkim głosem obejmując ją w pól.

— Są powody — rzekła po chwilowem wahaniu. — Zaczynam nowe życie, to zawsze przestrasza. Coś się skończyło, coś innego ma się zacząć!

— I to cię przestrasza?... Czy nie wierzysz moim słowom? Czy mam ci mówić ciągle, ciągle

że cię kocham, że chcę abyś była moja, zawsze, zawsze, na całe życie?

Nuna odwróciła się do niego i ujmując jego twarz w swoje dłonie, przysunęła oczy do jego oczu.

— Mój? — wyszeptała ledwo dostrzegalnym poruszeniem warg.

— Twój!

— I nie zmienisz się?

— Niel!

— Nigdy?

— Nigdy!

Odsunęła go od siebie lekko i zakryła twarz dłońmi. Villard patrzył na nią nieco zdziwionym wzrokiem. Niewiadomo dlaczego przesunęły mu się przez myśl słowa, których sam się zawstydził: „Bierze babę” — pomyślał mimowoli, a może wbrew swojej woli — patrząc na tragiczny ruch jej rąk.

— Czy wiesz, cobym zrobiła, gdybyś mnie zdradził? — zapytała nagle, patrząc na niego groźnie.

— Nie zdradzę cię, bądź pewna! — zawołał pośpiesznie.

— Ale gdybyś mnie zdradził?

— Znienawidziłabyś mnie — odpowiedział, nie namyślając się zbyt.

— To przedewszystkiem. A później zabiłabym ją i ciebie!

— O... aż tak! — wyszeptał lekko zmieszonym głosem. — Jakie szczęście, że obawy twoje są bezpodstawne.

— Ale wiedz, co cię czeka, jeżeli mnie zdradzisz... Ja może nigdy w życiu nie kochałam, dopiero teraz po raz pierwszy, naprawdę po raz pierwszy czuję, że jest na świecie prawdziwa miłość —

i tej miłości nie dam sobie wyrzeć, chyba za cenę życia...

— Ależ, Nuneczko... — wyszeptał Villard. — O czym ty mówisz?

— Ach, ty niegodziwy chłopaku! — zawołała nagle, chwytając go za szyję i przyciskając do swego biustu. — Coś ty narobił?! Coś ty uczynił?! Zburzyłeś cały mój spokój, zdeptałeś całe moje życie, ale tamto życie — dodała spostrzegłszy się, że porównanie niekonieczne było trafne. — Natomiast odsłoniłeś przedemną niebo, zapaliłeś stubarwną tęczę, ach, ty mój uwodzicielu — mówiła Nuna, całując go namiętnie. — Tyś mój wybawiciel! Ach! żebyś ty wiedział, co ja cierpiałam przy boku takiego człowieka, jak Nienazycki. Ty nie masz pojęcia. Gdybym się nie bała Boga i tego, że mnie wsadzą do więzienia, zabiłabym go jak psa! Czasami w nocy, kiedy nie mogłam spać, coś mi się majaczyło, jakieś kwietne łąki, jakieś miraże, piękne ogrody, a z tego wszystkiego wylaniało się jasne, cudowne szczęście. To szczęście to ty! Ty, mój wybawicielu... ty, który teraz, teraz, kiedy zdawało mi się, że wszystko już jest po za mną, dajesz mi upojenie prawdziwej miłości. Powiedz, czy zdradzisz mnie kiedykolwiek?

— Ach nie, nie, cóż znowu — odpowiedział, rzucając mimowoli wzrok w okno, za którym migotały wyzłoczone słońcem drzewa...

Nuna przytuliła się do niego. Jasny blask otoczył jej głowę promiennym światłem. Villard czując jej twarz przy swojej twarzy, patrzył z pozą opuszczonych powiek na jej czoło, cienki nos i długie rzęsy. Po raz pierwszy zauważył pod oczyma niepokojące grudki tłuszczu, małe jak łebki szpilek. Drobne kuleczki, umieszczone pod skórą, obśiadły brzęgi cienkich, prawie niedostrzegalnych

zmarszczek, które jednak w świetle, bijącym z okna, były widoczne dość wyraźnie.

Villard z dziwnem uczuciem podniósł oczy i patrzył bez przerwy w okno, śledząc uciekające drzewa i falujące telegraficzne druty.

Naraz Nuna, jakgdyby kończąc głośno, rozpoczęte w myśl zdanie, rzekł dość smutno:

— Bo widzisz, ty, masz dopiero dwadzieścia trzy lata, a ja już prawie... trzydzieści.

— Głupstwo! — odpowiedział z takim pośpiechem, jakgdyby rozmowa na ten temat była żenująca. To zastanowiło go samego. — Do diabła, — pomyślał. Jeżeli ja jej naprawdę nie kocham... ale tylko tak mi się zdaje (co przecież czasami bywa) — to ładna historia... Gotowa mi naprawdę w łeb strzelić, a wtedy wkopałem się, że moje uszanowanie!

Tymczasem pociąg mknął dalej, zostawiając za sobą lasy, pola, dróżnicze budki z czerwonej cegły, drzewa stojące samotnie przy plancie — słowem, biegł naprzód, do wymarzonego raj u kochanków.

XII.

Folwarczek Stefenpol, wybrany przez Villarda na cichą przystań miłości, był to niewielki skrawek ornej ziemi z kilkuset dziesięcinami lasu, który ojciec Roberta jako namiętny myśliwy, kupił specjalnie do polowania. Był to jednak tylko kaprys bogatego przemysłowca, który odwiedziwszy kilka razy swą posiadłość, więcej do niej nie zaglądał. Opiekował się folwarkiem i niewielkim murowanym domem, zwanym zameczkiem, pan Michał Mironowicz ex-obywatel, bankrut, wycofany z życia szlachcic, który po katastrofie majątkowej, dzięki protekcji jednego z przyjaciół starego Villarda, do-

stał w zarząd Stefenpol. Nazywało się to zarządem, w rzeczywistości jednak było raczej darowizną, gdyż ojciec Roberta wkrótce przestał się zupełnie interesować folwarczkiem, utkwionym gdzieś na polskich Inflantach, miejscowości głuchej, opuszczonej, niemal zapomnianej przez świat. Żył więc pan Michał i rządził w Stefenpolu, jako prawy właściciel, nie troszcząc się o dzieje swego dobroczyńcy, którego pamięć powoli zacierała się zarówno w okolicy Stefenpola, jak i w umyśle starego szlachcica. Raz tylko, kiedy w kilka lat po jego przybyciu na folwark, zjawili się kupcy, przysłani z Warszawy przez Villarda, dla obejrzenia majątku, pan Michał przeraził się. Widmo poniewierki stało mu przed oczyma jak upiór. Przekonał się wtedy, że właściciel Stefenpola jest, żyje i może w każdej chwili sprzedać majątek, a tem samem wyrzucić go na żebrę.

Stary przestraszył się i pojechał do Witebska. Mieszkał tam ów przyjaciel Villarda, który kiedyś wyrobił mu protekcję, pozwalając panu Michałowi osiedlić się w Stefenpolu. Stary szlachcic przedstawił mu tak groźnie sytuację, zagroziwszy samobójstwem swoim i zgubę swej małoletniej wnuczki, że wygrał sprawę. Poszedł list do Warszawy, pisany w gorących słowach do Villarda, przedstawiający tragiczne położenie Mironowicza, który pozbawiony Stefenpola, musiałby, jako stary i niezdatny do pracy, zostać jedynie żebrakiem. Stary Villard, przeczytawszy ten list, rzucił go do kosza, a sam zatelefonował do swego adwokata, że się rozmyślił i majątku już nie sprzedaje.

Mironowicz tryumfował. Napisał list do Villarda z podziękowaniem i żył sobie na odludziu wspólnie z swoją wnuczką, jak u Pana Boga za piecem, myśląc już o tem, aby się miał przed śmiercią wynosić ze Stefenpola.

Tak szły lata, przyspinając go coraz do ziemi i bieląc jego włosy siwizną, a jednocześnie krasząc urodą Halę, która rosła wśród lasów i jezior, żyjąc półdzikiem życiem, zdala od ludzi w towarzystwie zwierząt i ptaszków, zastępujących „właściwe jej wiekowi” towarzystwo.

Pan Michał nie uważał takiego wychowania za nic niewłaściwego.

Nauczył swą wnuczkę czytać, pisać i rachować. Kupił jej katechizm i kilka książek (których nie czytała wcale) i naopowiadał jej najokropniejszych potworności o ludziach, którzy byli jego zdaniem, łajdakami bez wyjątku.

Posiadając tak niewyszukaną edukację, mogła jednak drapać się po drzewach, łapać ptaki, strzelać do zajęcy, kąpać się w jeziorze, pływać „duszogubką” na ryby z łuczywem, jak również jeździć konne i zajmować się domem i ogrodem. Stary Mironowicz, przeszedłszy w życiu jakąś katastrofę, zawiódł się na ludziach i nienawidził ich. Tę nienawiść starał się zaszcześcić w sercu wnuczki, która zamało znała świat i tych, których bez wyjątku szkalował przed nią, aby jej nie było w gruncie rzeczy wszystko jedno. Zresztą dziewczyna miała zaledwie siedemnaście lat i w towarzystwie starego dziadka nie mogła zdobyć żadnego światopoglądu i własnego zdania w tej sprawie, która była dla jej umysłu niedostępna. Poświęcając cały czas na współżycie z lasem, nie widząc nigdy innych ludzi prócz prymitywnych chłopów „starowierów”, a nawet nie jeżdżąc do miasteczka, dokąd nic jej nie pociągało, Hala była półdzikiem stworzonkiem, żyjącem własnymi osobistymi obserwacjami z życia ptaków i zwierząt.

Do takiego ustronia zawiózł Villard Nunę, która zobaczywszy „zameczek” przestraszyła się

nie na żarty. Dom w Stefenpolu postawiony prawdopodobnie kiedyś przez jakiego kurlandzkiego barona, był w charakterze myśliwskiego zameczku, zbudowany na niewielkim pagórku, porośłym starem, wielkimi sosnami.

W cieniu ogromnych gałęzi, szare kamienne mury, z poodpryskiwanymi sztukaterjami i zakratowanymi oknami wyglądały jak gmach napół zrujnowanej fortecy. Ani pan Michał, ani jego wnuczka nie dbali nigdy o zewnętrzny wygląd domu, który też nie pamiętał kielni murarza. Przeciwnie. Pewna dzikość, tak właściwa tym stronom, i zaniedbanie zewnętrzne, nadające jeszcze surowszy wygląd domowi, bardziej przypadało do usposobienia starego i jego wnuczki, która kochając przyrodę, wołałaby nawet mieszkać w szałasie nad jeziorem, niż w mурowanym domu. Zresztą nikt tu nie myślał nigdy o odnowieniu niczego, tembardziej, że stary i Hala zupełnie byli zadowoleni z trybu życia, jaki prowadzili, nie rozumiejąc komfortu i nie tęskniąc za nim.

Nie trudno też domyśleć się, że pierwsze spotkanie zakochanej pary z gospodarzami Stefenpoła, należało do tych przygód, które uczestnikom pozostają w pamięci na całe życie. Zarówno pan Michał (Hala przerażona niespodziewanymi gośćmi uciekła), jak i ponury wygląd zameczka uczynił na Nunie przygnębiające wrażenie. Tembardziej, że Mironowicz nie uprzedzony o ich przybyciu, gdyż Villard nie zdążył tego uczynić, w pierwszej chwili nie chciał wierzyć, że ma przed sobą prawdziwego syna Villarda. Po długich pertraktacjach i sprawdzeniu osobistych dowodów Roberta, stary szlachciura wpuścił ich do mieszkania, z taką jednak miną, jakgdyby miał do czynienia z wydrwi-groszami, którzy przyjechali go zniszczyć.

Villard był zmieszany i zaniepokojony tym niespodziewanym przyjęciem. Jadąc tutaj miał wrażenie, że zostanie powitany z rozrzewnieniem, chociażby z tej racji, że jest synem człowieka, który uczynił tak wiele dobrego staremu. Pierwsze rozczarowanie spotkało go na małej stacyjce, na której wysiedli. Nie uprzedzony pan Michał, oczywiście nie mógł przysłać koni, na stacji zaś, prócz siedzącego pod ścianą budynku jakiegoś zamorusanego oberwusa i urzędnika kolejowego, nie było żywej duszy. Po długich naradach, podczas których Nuna, tracąc kilkakrotnie cierpliwość nazwała go głupcem, Villard posłał owego ziewającego gentlemena do pobliskiej miejsciny po żydka, który byłby w możności zawieść ich do Stefenpoła. Po kilku godzinach, żydek zajechał. Taradajka, zaprzężona w białego konia z jedną piątą przynależnej mu sierści, wywołała nowe wybuchy złośliwego zdumienia Nuny. Piękna artystka, przyzwyczajona do wylakierowanych powozów i dorożek „kawalerskich” nie mogła się zdecydować na wejście do obdrapannej skrzynki, opartej na desce i nazwanej „linijką”, a trzęsącej mniej więcej na sposób żółtej febrы. Po kilkunastu jednak minutach wzdragania oboje wgramolili się jakoś do wnętrza taradajki i z głośnym brzękiem żelaziwa oraz świstem bata, który wraz z wymachującym żydkiem, zamienił się w wiatr, ruszyli z miejsca.

Droga była okropna, właściwa jednak tym stronom, bogatym w jeziora rozległe i wysokie, czarne sosny. Po wybojach, dołach, wystających filuternie z wnętrza ziemi korzeniach, wlokła się wyleńiała szkap. popędzana ustawicznie i głosem i batem, ciągnąc półsennie czarną skrzynkę na koszlawych kołach, a w niej siedzącą zakochaną parę. Niestety, zły humor Nuny zdawał się gasić

jego miłosny entuzjazm. Cokolwiekby ludzie powiedzieli o miłości, nigdy nie potrafia zaprzeczyć, że jednolitość życia bez troski, jest właśnie tem słońcem, w którego promieniach miłość rozkwita najprędzej i najdłużej zachowuje świeżość. Podczas podróży, która trwała nieskończenie długo, Villard miał wrażenie, że siedząca koło niego, nachmurzona i opryskliwa Nuna, jest jakąś zupełnie inną kobietą, nie tą, a nawet niezbyt podobną do tej, która tak silne na nim uczyniła wrażenie, siedząc na jedwabnej kozetce w swoim buduarze.

Przedewszystkiem nie mógł się nadziwić z powodu zmiany, jaka zaszła w jej fizjonomji. Pomijając humor, który przecież nie zawsze może słonecznym blaskiem rozświetlać twarzyczkę pięknej damy, ale cała jej twarz zdawała się być inną. Nie pojmował, gdzie się podziała różana świeżość jej cery i cudowny karmin warg, tak gorący i pociągający. Twarz Nuny pokryła się kurzem, a policzki zdawały się zamierać, przybierając kolor żółtawy. Zgasłe oczy, straciwszy swój blask, patrzyły chłodno i obojętnia, a pod oczami pojawiły się sinawe nabrzmienia, które więcej niż kiedykolwiek podkreślały niezbyt widoczne, lecz bądź co bądź istniejące rysy, biegnące od łzawnicy półkolistą linią do miejsc, gdzie powstają pierwsze oznaki bolesnego zmierzchu młodości, pod groźną nazwą kurzych łapek.

Oboje też nie mówili prawie wcale. Wprawdzie Villard chciał ją rozerwać, opowiadając jakieś wesołe historyjki, lecz Nuna nie mogła mu przebaczyć takiego „lekceważenia”, jakim było nie zatelegrafowanie po powóz do rządcy Stefenpola.

Sprawiedliwość przyznać każe, że przyjęcie, jakie im zgotował pan Michał, przewyższało nawet podróż żydowską linijką. Po wielu ceregielach i le-

gitymacjach, kiedy nareszcie stary szlachcić uznał w Villardzie prawowitego syna starego Villarda, wyłoniła się groźna kwestja mieszkania. Okazało się bowiem, że w całym zameczku są trzy pokoje zamieszkałe, lecz zajęte przez starego, jego wnuczkę i „kancelarję”. Reszta apartamentów była na głucho zamknięta i nie odwiedzana przez lat dzieścięć, to jest od czasu ostatniej bytności w tym domu starego Villarda. Nuna, która sobie zupełnie inaczej wyobrażała „pałacyk wśród jezior i lasów”, przysiadła tylko na zydelku w kancelarji i, słuchając rozmowy Roberka z panem Michałem, od czasu do czasu wyrzucała z siebie jakąś gorzką uwagę, wykazującą niedelikatność i brak miłości ze strony Roberta. Villard jednak, nie tracąc zimnej krwi, wywalczył od Mironowicza izbę i potrzebne graty, kompletując je i dopełniając powoli, dzięki swej nieustępliwości i bądź co bądź niezaprzeczonym prawom właściciela.

Po długich tego rodzaju pertraktacjach, stary zobowiązał się za kilka godzin wyporządkować pokój w baszcie, w którym czasami nocował jakiś przejeżdżający kupiec, lub zabłąkany myśliwy. Istotnie, po kilku godzinach oczekiwania, podczas których oboje zaspokajali głód ogromnemi porcjami jajeczniczy, mogli nareszcie przejść do swego pokoju.

Nuna, stanąwszy na progu, wydała okrzyk przerażenia. Izba, w której mieli zamieszkać, nie przypominała niczem jej wytwornej sypialni z jedwabnym, różowym abażurem i szerokiem łóżem, tonącym w koronkach batystowej bielizny. Między szaremi murami słało oparte o ścianę żelazne łóżko, z siennikiem, wypchanym słomą, sosnowy stół, także zydelki, gliniana miska na stołku i niewielka szafka na rzeczy. Nad łóżkiem, jako jedyna ozdoba apartamentu, wisiała na zielonej taśmie sta-

ra jednorurka, bez kurka, wycelowana lufą w poduszkę z szydełkową wstawką.

— I my tu mamy mieszkac? — zawołała ze strachem. — Berciu, to okropne!...

— Rzeczywiście, nie jest to lokal wytworny — odpowiedział z zakłopotaniem Villard. — Ale jutro zrobimy rewizję całego domu. W innych pokojach są meble, urządzimy się, Nuneczko, zobaczysz, to tylko tymczasem, — mówił zagryzając usta, aby nie zakłócić szpetnem słowem nad tą całą sytuacją, która i jemu z oddalenia przedstawiała się nieco inaczej.

— Ale patrz na to łóżko! Kto tu może spać? Boże święty. Po co ta armata wisi nad samą poduszką, jeszcze wystrzeli i będzie nieszczęście — wołała, załamując ręce.

— To stara jednorurka, — próbował tłumaczyć jej. — Nie nabita. Nie może wystrzelić!

Widząc jednak, że jako nieznająca się na rusznikarstwie, nie wierzy, ale nie nabita strzelba nie mogła wystrzelić, zerwał stare żelaziwo ze ściany i rzucił w kąt.

Oboje usiedli na drewnianych, starannie ryżową szczotką do białości wyszorowanych zydlach i popatrzyli na siebie pytającym wzrokiem. Pierwszy wybuchnął szczerym, młodzieńczym śmiechem Villard, którego cała sytuacja zaczynała bawić.

— Do licha! wyobrażam sobie Nuneczko, jak mnie błogosławisz, — zawołał, śmiejąc się. — Po twoim apartamencie taka nora. I to się nazywa rezydencja, pałacyk myśliwski. Ten stary borsuk zapuścił ten dom do niemożliwości.

Nuna milczała. Odwróciwszy od niego swój wzrok, wybiegła spojrzeniem za okno, gdzie zieleń się niewielki sad owocowy! Villard spostrzegł to i uczył jakgdyby ukłucie w serce. Myśl szybka.

i jasna, a jednocześnie ostra i zjadliwa przesunęła się i zgasła.

— Ona mnie nie kocha. Wszystko blaga, — pomyślał. — Spodziewała się pałacu, koni, lokajów, przepychu, a zastała godpodarstwo, Mironowicza i jest wściekła. Może myśli, że jestem zwykłym naciągaczem i udaję zamożność?... Nie! To niemożliwe! Prawdopodobnie jednak jest rozzarowaną i żałuje swego przyjazdu. Tak, to najprawdopodobniejsze.

— Dlaczego nic nie mówisz? — usłyszał nagle niecierpliwy głos Nuny.

— Zacząłem mówić, nie odpowiadasz mi... Bo ja wiem... Może nie chcesz bym do ciebie mówił — odpowiedział, wzruszając ramionami. — Jesteś tak zdenerwowana.

— Bo jestem zdenerwowana — odpowiedziała. — Ty mnie nie rozumiesz. Ja nie wiem, jak sobie tłumaczysz moje niezadowolenie, napewno jednak nie rozumiesz o co mi chodzi.

— Istotnie, — odpowiedział chłodno, usłyszawszy wzmiankę o niezadowoleniu. — Wprawdzie przyznaję, że ten dom pozostawia wiele do życzenia, nie mniej jednak, przecież chcieliśmy przedewszystkiem uciec od ludzi. Naszym życzeniom stało się zadość. Tu niema nikogo. Jesteśmy sami. Nie potrzebujemy się kępować żadnymi względami, będziemy żyć, jak Robinson z Piętaszkiem na bezludnej wyspie. Uważam więc, że niespodzianka, jaka nas spotkała, nie jest znowu tak wielka.

Nuna obręła jego twarz wzrokiem, w którym Villard wyczytał jakiś utajony żal, prawie rozpacz.

— Bertuś — zawołała, przyciszonym głosem. — Mówisz jak dziecko. Przecież musisz rozumieć, że niepodobna istotnie żyć jak Robinson z murzynem na wyspie. Ja wiedziałam, że tu nikogo niema, ale

nikogo „z towarzystwa”, ale nie przypuszczałam, że naprawdę w całym znaczeniu tego słowa, nie ma nikogo. Żadnej pokojówki, żadnej służby, że nie ma wanny i tych... innych tak koniecznych rzeczy, bez których niepodobna żyć! Przecież ja muszę mieć dystylowaną wodę! Zlituj się. A kto mnie uczesze?... A manicure, a pedicure? A masaż, który muszę mieć koniecznie? Gdybyś powiedział, że tak jest jak jest, przywiozłabym z sobą Rózię. A tak, co ja zrobię. Boże święty. Co ja zrobię?...

— Zapomnisz, że istnieją takie rzeczy — zawołał Villard. — Będziesz się kąpać w jeziorze, będziesz leżeć na słońcu, będziemy jeździć łódką i wałęsać się po lasach. Czy to mała przyjemność? Wrócisz do natury!

— Do natury — zaśmiała się z pewną goryczą Nuna, dodając w myśli: „Temu chłopakowi się zdaje, że każdy ma dwadzieścia trzy lata”... Ale co zrobić bez pokojówki? Muszę mieć pomoc! Sama sobie nie dam rady, a gdy nie będę robiła naparzań twarzy, wyleżą mi zmarszczki.

Villard tymczasem podszedł do niej i objął ją ramieniem, a przysunąwszy twarz do jej twarzy szeptał:

— Zobaczysz jak nam będzie dobrze! Zapomnimy o świecie. Ja szalenie lubię takie życie, które tak bardzo różne jest od tego zepsutego, kłamliwego życia w mieście. Nie będziemy mieli tu wygod to prawda, ale gdy pojedziemy sobie łódką w dal jeziora, zobaczysz, że po za karetami, restauracjami, przyjęciami, teatrami i t. d. jest jeszcze na świecie wiele piękności. Och, wierz mi! One są o wiele więcej pociągające. Pamiętam, kiedy byłem małym chłopcem, ojciec pozwalał mi wychodzić do lasu na kilka dni. Chciał bym się przyzwyczaić do samodzielnego życia. Brałem flintę,

rewolwer i sztylet, trochę soli i chleba w torbę i szedłem jak kanadyjski usadnik w lasy. Ach, co to była za rozkosz! Czasami nie wracałem przez tydzień do domu. Polowałem na ptaszki i zające, piekłem sobie mięso na rożnie i czyłem się świetnie. Świat wydawał mi się tak piękny i prosty, a jednocześnie tak dziwnie czysty i szlachetny. Natura jest jak źródło, w którym można brać kąpiel, po znojnym upale życia wielkomiejskiego... Nie wierzysz? — zapytał, widząc że milczy w dalszym ciągu.

— Owszem wierzę — odpowiedziała cicho.

— To jest o wiele przyjemniejsze, niż granie w chemin de fera w towarzystwie Nileckiego, Krasanowa i Białonoga.

Na dźwięk tego ostatniego nazwiska Nuna drgnęła i spojrzała uważnie na Villarda,

— Ty go znasz? — spytał.

— Znam — odpowiedział niechętnie.

— Skąd?

— Grałem z nim w karty u Nileckiego, przed pojedynkiem.

— Przed jakim pojedynkiem? — zawołała Nuna błędąc.

Villard zmieszał się, czując, że zrobił głupstwo, wygadawszy się o zajściu, jakie miał z Sękorszewskim. Chciał zatuszować całą rozmowę, mówiąc o czym innym. Nuna jednak nie dała się zbić z tropu, nalegając i prosząc tak długo, aż zniewolony jej gwałtownymi prośbami, opowiedział całą sprawę od początku do końca.

Piękna kobieta była przejęta tem opowiadaniem do głębi. Villard, który spodziewał się z jej strony podziwu dla swej odwagi, był niemile zdziwiony słysząc okrzyki zdumienia, wyrzucone z pośpiechem, pod adresem hrabiego. Gdy się do-

wiedziała, że był niebezpiecznie ranny, zawołała z żywiołową radością:

— Ależ on mi miał zapisać dwieście tysięcy rubli!

Villard uczuł coś w rodzaju zażenowania, połączonego z niepokojem.

— Za co ci miał zapisać dwieście tysięcy rubli? — zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

Nuna mrugnęła kilka razy oczyma, jakgdyby pragnęła rżęsami przykryć widocznie zmieszanie i zapytała ze zdziwieniem:

— Jakto? ty nie wiesz?

— Nie wiem.

— Przecież hrabia jest moim chrzestnym ojcem. Stąd wogóle tak wielka przyjaźń między nami.

Villard przyjął to tłumaczenie do wiadomości, porównawszy je jednak z objaśnieniami Sękorzewskiego, doszedł do przekonania, że w całym tym stosunku kryje się jakaś tajemnica, której wyjaśnienie nie leży w interesie Nuny.

„On mówił, że był jej kochankiem, ona zaś że chrzestnym ojcem — pomyślał. To jakoś wygląda poderzanie. Zapisuje jej dwieście tysięcy, pojedynkuje się o jej honor, nie mówiąc nic o tem Nienażyckiemu, a jednocześnie ona ucieka ze mną z domu i cieszy się, że zastrzeliłem tego starego pawjana!... Wszystko razem przypomina kryminalny romans, w którym, jeżeli niema jeszcze zbrodni, to tylko dlatego, że autor nie może się zdecydować kogo ma uśmiercić.”

Tymczasem wszedł do pokoju pan Mironowicz, którego Villard zamówił, aby porozumieć się w sprawie trybu życia i rodzaju pożywienia. Stary szlachcic był jak zwykle ubrany w juchtowe buty za kolana, marynarkę krótką, spodnie z samodziału

i maciejówkę, którą zdjął na progu. Villard poprosił go, aby usiadł i zaczęli rozmowę. Konferencja była krótka, wydała jednak opłakane rezultaty, gdyż się okazało, że szlachcic w nienawiści do ludzi naśladować Djogenesa prowadził żywot istotnie zbliżony do trybu życia mędrca z beczki.

Objady pitrasiła im jakaś baba, a musiały być prymitywne nad wyraz, gdyż pan Michał nie umiał z niczego więcej się wylegitymować prócz z mleka, jaj, czasami ptaszka lub zająca. Najczęściej zaś klusek. Nuna jakgdyby straciwszy nadzieje na jakie takie umożliwienie swego pobytu prosiła go jedynie o pomoc wnuczki w sprawach czysto kobiecych, na co stary, chrząkając, zgodził się, nie bez pewnego wahania.

Posiedzenie było skończone. Szlachciura pocałował ją w rękę, uściśnął podaną dłoń Villardowi i wyszedł, obiecując nakłonić wnuczkę do przedstawienia się „szanownej dziedzicze dobrodziejce.”

Po jego wyjściu oboje zostali w milczeniu przeżywając jakieś utajone myśli i refleksję, które ku przerażeniu Villarda, rosły i mnożyły się zastraszająco. Tymczasem słońce powoli zachodziło za ciemną ścianę choinowych lasów, rzucając czerwone, jak pożar promienie, przez małe szybki okien.

Villard wstał z zydelka i wolnym krokiem podszedł do okna. Przed jego oczyma zielenił się ogród owocowy dość duży, zaprowadzony z widoczną starannością na wielkiej polanie wyrabanej w lesie. Wysokie czarne świerki i czerwonawe sosny z pękami zielonych igieł na czubach otaczały ten miły sad, zdobny w ogromne czerwone jabłka, jaskrawo odbijające od łagodnej zieleni drzew. Śliwy, okryte fioletowym owocem, stały jak dwubarwne pióropósze, zwieszające swe obciążone gałęzie ku dołowi. W około domu rosły malwy,

wzdłuż zaś alejek gęste krzaki agrestu i porzeczek, jakgdyby obsypanych czerwonymi i białymi punkcikami małych gronek.

— Patrz, jak tu ładnie! — zawołał Villard. — Te jabłka zdają się palić w słońcu.

— W tej chwili są podobne do zawieszonych lampionów.

Nuna wstała ociężale i podeszła do okna. Stała koło Roberta i oparłszy mu głowę na ramieniu patrzyła na ogród bez zachwyty.

— Tak, ładnie, rzekła.

— Ale cudownie, zawołał z entuzjazmem. — Ach, jakbym chciał wejść na tę sosnę tam, widzisz ją! tę najwyższą?

— Po co?

— By stamtąd patrzeć na cały świat. Byłabym bliżej słońca, prawda?...

— Nie wiele bliżej!

Ale miałbym całą dolinę pod nogami!

— To szalona przyjemność.

Naraz zauważył, że oczy Nuny zachodzą łzami. Nie mówiąc nic, nie odejmowała głowy od jego ramienia i stała tak nieruchomo z twarzą bezgranicznie smutną.

Villard chwycił ją za ręce i popatrzał w źrenice zaszklone łzami.

— Ty płaczesz? — zawołał. — Czego?

Wyrwała się i padłszy na krzesło wybuchnęła płaczem ogromnym, rozrywającym piersi, wstrząsającym nią jak paroksyzm febry.

— Czego płaczesz? — powtórzył. — Powiedz Nuneczko.

Nuna objęła ramionami jego szyję i przycisnęła mocno, jakgdyby broniła go przed porywającymi rękoma.

— Tyś mój, mój — zaszepotała szlochem.

— Twój, twój, Nuneczko! — odpowiedział Villard pośpiesznie, nie rozumiejąc tej rozpacz.

— Boje się! Tyś taki bardzo młody, och Berciul... Tyś taki ogromny dzieciaczek — szeptała, okrywając jego twarz gwałtownymi pocałunkami, i spijając jednocześnie z jego policzków własne, gorzkie łzy.

XIII.

Upłynęły dwa tygodnie od chwili ich przyjazdu do Stefenpola. Czternaście dni zaledwie dzieliło go od pojedynku w Bielańskim lasku, a jednak Villard miał wrażenie, że to nie dni go dzieli, ale lata. Istnieją bowiem sytuacje kilku godzin, których ciężar gatunkowy przewyższa ważkością lata, spędzone bez troski. Villard, mimo przeróżnych kłopotów, jakie miewał w Paryżu, dopiero teraz zrozumiał, że istnieją wypadki, wobec których niepodobna wywinąć się dowcipem, lub większą sumą odszkodowania. Jeżeli bowiem, dawniej, znajdując się w pozycji kłopotliwej, potrafił się ratować pieniędzmi przesyłanymi z domu, jeżeli zaś pieniądze nie miały nic tam do czynienia, zastępowała je jego niepomamowana młodość, odwaga, śmiałość, dowcip, a zwłaszcza tak właściwa młodzieńczemu wiekowi, bezwzględność. Nie przejmował się też nigdy zbytmiłośnym nieszczerstwem, które nawiedzało go, należy przyznać dosyć rzadko. Jeżeli jednak opuściła go jakaś wysmukła „midinette” na jej miejsce było dziesięć kandydatek. Był młody, ładny i bogaty. Tacy młodzieńcy nie często ulegają rywalizacji.

Teraz jednak sytuacja w której się znajdował, była odmienną. Nuna nie była ani „une petite fem-

me", ani „une midinette” z placu 5-tej Magdaleny. Villard znalazł się po raz pierwszy oko w oko z uczuciem kobiety przekwitającej, która nie szuka już niczego nowego, niczego też się nie spodziewa i która nie lubi abdykować z praw przez siebie zdobytych.

Młodzieniec, zrozumiałwszy powagę sytuacji, uczył też pewnego rodzaju niepokój, jakgdyby obawę przed widmem zbliżających się obowiązków. Poczucie tych więzów, tak bezwzględnych i tak sprzecznych z anarhistycznym temperamentem młodości, było pierwszym strumieniem refleksji ochładzającym jego paroksyzm miłosny. Villard, nie bez żalu stwierdził, że każdy dzień przebyty razem w Stefenpolu, zamiast jednoczyć go z Nuną, oddalał go od niej. Przestała mu się podobać, a jeżeli nie mógł się zdecydować na to, by sobie wyraźnie zdać sprawę ze zmiany, jaka zaszła, to niemniej jednak, myśl o małżeństwie była mu przykra i dokuczliwa jak ucięcie osy. Robert znajdował się więc w okresie pewnej wstydlivosti względem samego siebie. Żenował się pomyśleć naprawdę, że cały stosunek jego do pani Nienazyckiej był tylko chwilową namietnością. Pragnąc się usprawiedliwić wobec wyrzutów sumienia, przytaczał w myśli różnorodne jej wady i niedokładności, które podczas tych dwóch tygodni zaobserwował. Przedewszystkiem nie wierzył już by miała dwadzieścia ośm lat. Dzięki warunkom, przed którymi Nuna tak się broniła, recepty dr. Kossa nie działały świetnie. Twarda woda ze studni aczkolwiek przegotowana, złuszczyła jej twarz, a najlepsza kompozycja znakomitego „Kosmetykusa” została wyczerpana, świeżej zaś recepty, z braku materiałów, aptekarz w miasteczku nie podejmował się zrobić. Nie należy zapominać, że istotnie Nuna miała czterdzieści lat,

a jeżeli wyglądała na trzydzieści, zawdzięczała to ustawicznej pielęgnacji i temu nerwowemu nastrowi, który towarzyszył jej w życiu spędzonym w atmosferze podniecającej, między teatrem a przyjemciami. W Stefenpolu, siłą faktu, nastąpiło pewne roznegliżowanie, tak niebezpieczne dla kobiet starszych, mających zawsze bardzo wiele do ukrycia. Villard po raz pierwszy mógł zaobserwować pewne szczegóły jej toalety, które uczyniły na nim przykre wrażenie. Liczne słoiki, flaszeczki, pudry, ołówki i t. d. przerażały go swoją różnorodnością. Po dłuższym zaś współżyciu, zaczęły go drażnić również szczegóły jej właściwej urody, która wogóle jako taka z dnia na dzień gasła w jego oczach.

Pewnego dnia Villard spacerując po ogrodzie sam, gdyż Nuna robiąca toaletę, nie zносиła jego towarzystwa, rzucił sam sobie krótkie pytanie. „Co zrobiłem?” Odpowiedź brzmiała również krótko: „Zrobiłem głupstwo”.

Villard stanął na ścieżce i zamyslił się.

„Jeżeli uczyniłem głupstwo, mówił do siebie, to nic dziwnego. Kto nie robił do licha głupstw w moim wieku? Nie na zrobieniu jednego głupstwa jednak polega głupota, a na trwaniu w głupstwie. Nuna podobała mi się. Miała do tego prawo. Na tle swego różowego buduaru wyglądała cudownie. Czyż jednak dlatego mam się z nią żenić, że była piękna? Była! Czemuz jednak nie jest i teraz? Co się zmieniło przez dwa tygodnie? Czy rzeczywiście byłem zakochany tak bardzo, że nie widziałem jej „kurzych łapek” przy oczach i tej drobniutkiej sieci zmarszczek, które usadowiły się jej koło nosa? Dlaczego mówiła mi, że ma lat dwadzieścia osiem? Kłamała! Ach, kłamała, żeby mnie oszukać”.

Villard chodził po ścieżce i przypominał sobie

różne sytuacje, w których Nuna wyglądała niekorzystnie.

„Jeżeli wróci ze spaceru, nogi jej puchną jak banie”, myślał dalej. „Męczy się chodzeniem, jak gdyby miała czterdzieści lat — i te usta... Te usta, które sądziłem, że są naturalne. Ach, co za szczęście, że nie wajuje bioder i nie używa gumowych piersi. To byłoby okropne, okropne, powtórzył kilkakrotnie. A jednak ona nie jest taką, jaką sądziłem, że jest. Omyliwszy się, czyż mam obowiązek pokutować za to całem życiem małżeństwa?”

Villarda przeszedł dreszcz przerażenia.

„Całe życie! Czyż istnieją słowa okropniejsze nad zawsze lub nigdy!? Zawsze z nią i nigdy bez niej! Sama świadomość tej okropnej jednostajności może zabić każdą miłość”.

Na podobnych rozmyślaniach schodził mu czas w Stefenpolu. Czasami, niezbyt szczerze, proponował jej przechadzkę, ale Nuna, nauczona jego warjackimi wyprawami po gąszczach, norach, parowach zazwyczaj odmawiała. Villard szedł sam. Na razie przypuszczał, że odmawia dlatego, że nie czuje się na siłach, sprostać mu w kilkuwiorstowych nieraz marszach po najbardziej opuszczonych i dzikich miejscowościach okolicy, później jednak, zauważywszy jej bolesny wzrok z jakim go żegnała, zaczął domyślać się istotnej przyczyny.

„Domyśla się, że jej już nie kocham”, myślał jakgdyby z pewnym zawstydzeniem. Świadomość tego faktu była mimo wszystko dla niego dość przykra. Nie kochał jej, o tem wiedział dobrze, ale czułby się równie lepiej, gdyby jej nie kochał nigdy. Miał czasami jakieś niespodziewane ataki wyrzutów sumienia, które jednak przechodziły prędko, ustępując miejsca nieopanowanej nudzie i zniechęceniu.

Tak przeszło jeszcze dwa tygodnie. Villard zaczynał się niecierpliwić. W miarę pobytu w Stefenpolu Nuna coraz bardziej traciła swoją warszawską elegancję. Mimo nadludzkich wysiłków, twarz miała opierzchniętą, włosy, nie ułożone ręką fryzjera, rozsypywały się niecznośnie, demaskując tajemnicę kilkakrotnego „rozjaśnienia”, Villard, zauważywszy to, mało nie załamał ręk. „Ma malowane włosy” — zawołał w myśli z takim oburzającym zdziwieniem, jakgdyby Nuna popełniła zbrodnię. Od tej chwili reszta kołatających się w nim uczuć rozplynęła się w mgłę zniechęcenia. Villard stawał się niecznośny, rozkapryszony, opryskliwy i nudny. Nuna widziała dobrze fatalną zmianę, jaka w nim zaszła na jej niekorzyść. Milczała jednak, udając, że nic nie spostrzegła, czego jej Villard nie mógł darować.

— Żeby chociaż o tem zaczęła mówić! — skarżył się drzewom w lesie. — Ona przecież już musi wiedzieć prawdę. Dlaczego więc milczy? Liczy na moją szlachetność, że będę się gryzł, cierpiał, ale nie odważę się jej powiedzieć wszystkiego. Tymczasem tak nie będzie... Nie! Ja muszę wyjechać z tego przekłętą Stefenpola! — Jodgrażał się. Lecz widząc ją w pięć minut potem, tracił odwagę i milczał.

Pewnego jednak dnia po obiedzie, Nuna, nie patrząc na niego, spytała przyciszonym głosem:

— Czy chciałbyś ze mną porozmawiać chwilę?

Villard spojrzał na nią i zauważył, że oczy miała czerwone, a nos na samym końcu spuchnięty od płaczu.

— Owszem — odpowiedział, czując, że pragnie z nim mówić „o tem” właśnie.

Nuna wstała i wyszła wolnym krokiem do ogrodu. Villard poszedł za nią, mając wrażenie, że idzie na ciężki egzamin, do którego nie był dostatecznie przygotowany.

— Teraz wszystko się skończy! — myślał. — Wyobrażam sobie powód jej wyrzutów. W jej oczach niewątpliwie uchodzę za skończonego gągana, dla którego nie powinno być przebaczenia. Ha, zobaczmy. Będę się bronił. Każdy ma prawo się omylić. Nie kocham jej, chociaż tak mi się w pierwszej chwili zdawało. Czyż takich omyłek niema na świecie?

Nagle usłyszał jej głos spokojny, chociaż matowy i cichszy, niż zwykle.

— Berci! Prosiłam cię o chwilę rozmowy, gdyż uważam, że przyszedł czas, kiedy musimy się rozmówić poważnie.

Villard uczył gwałtowne bicie serca, rzekł jednak z udanym spokojem:

Proszę cię...

- Ty mnie nie kochasz?

Rzuciwszy to pytanie przez zaciśnięte zęby, Nuna utkwiała w jego pobladałą twarz dwoje przegasyłych zamglonych oczu.

Villard pobałł jeszcze bardziej, czując jakieś niewidzialne dłonie, ściskające go za gardło.

— Co powiedzieć! — przemknęło mu przez głowę. — Rozwiąć jej złudzenia, czy skłamać i odwlec cierpienie? Nie! Kłamstwo w podobnym wypadku nie jest ukojeniem. Powiem prawdę!

— Nie! — rzekł po chwili z pewnym wysiłkiem.

Nuna uśmiechnęła się gorzko.

— O to też i chodziło — szepnęła po długiej chwili milczenia. — Nareszcie wiem napewno to, co przypuszczałam. Ty mnie nie kochasz!

Villard szedł obok niej, nie mogąc wypowiedzieć słowa. Trzymanym w rękę stękiem ścinał wysokie trawy z taką pasją, jakgdyby chciał się na nich zemścić całe swe lekkomyślne postępowanie — i szukał w myśli słów usprawiedliwienia,

a raczej wytłumaczenia jej przyczyn, które spowodowały zmianę w jego uczuciach.

— Widzisz — rzekł po chwili. — Ja wiem, że ty nie możesz mieć teraz o mnie dobrego wyobrażenia, i przyznaję ci słuszność ale staraj się mi przebaczyć. Postąpiłem lekkomyślnie. To, co nazywałem miłością...

— Było zmysłami — dokończyła Nuna. — Zmysłami młodego chłopca, któremu wszystko jedno, gdzie i z kim zawiąże romans.

— Nie zupełnie! — odpowiedział, przyznając jej jednak w myśli zupełną słuszność w charakterystyce jego miłości. — Ja nie rzucałem się nigdy kobietom w objęcia bez wyboru. Jeżeli jednak postąpiłem z tobą trochę zbyt gwałtownie, przyznaję, zwłaszcza wówczas, u ciebie to dlatego, że podobiałś mi się bardzo. Ten cały dzień był upajający. To była miłość, ale tak krótkotrwała, jak kwiat lotosu. Ja nie rozumiem, dlaczego ludzie od każdej miłości wymagają trwałości kamiennej wieży. Miłość bywa różna. Ja może mówię źle, może nie mam prawa, mając tak mało doświadczenia, ale mnie się zdaje, że tak jak kwiaty niektóre kwitną długo i okwitają prędko, tak samo i miłość, jedna przechodzi prędej, inna znów trwa lata całe.

— Chcesz przeto powiedzieć, że to nie jest winą człowieka?

— Naturalnie! Cóż ja jestem winien, że miłość moja okwitła prędej, niż miłość innego człowieka?! Czyż ja ją w sobie stworzyłem sam? Czyż nie przyszła do mnie tak niespodziewanie i tak bez mojej woli, jak każda katastrofa?! Miłość jest katastrofą, tylko bardzo przyjemna katastrofa.

— Tak... tylko nie dla każdego przyjemną — dodała Nuna! — I teraz też zakończenie jej dalekie jest od przyjemności...

— Bo ty mnie, zdaje się, jeszcze kochasz — rzekł Villard.

— Zdaje się! — powtórzyła Nuna, ściągając brwi pod wpływem oburzenia. — I ty możesz powiedzieć tak lekko „zdaje się” wtedy, gdyś powinien rozumieć, że ja, że ja nie mogę tak traktować tych uczuć, jak ty, który, ściskając pierwszą lepszą szwaczkę, czy pokojówkę, napewno zapewnia ją o swojej miłości.

— No, przecież tak należy mówić każdej kobiecie, od której otrzymuje się jej piękność — zawołał z przekonaniem Villard. — Zawsze każda z nich domaga się tego słowa, chociażby wiedziała, że jest wymuszoną kurtuazją — pragnie jednak zaspokoić swoje sumienie.

— Ach, Villard, jakis ty zepsuty! — zawołała Nuna z oburzeniem.

On wzruszył ramionami.

Tak mi się przynajmniej zdaje — rzekł. W każdym razie, mężczyzna, który zdobywając kobietę, nie zapewnia jej o swej miłości, jest brutalnym. Tego mi nie wytłumaczysz!

— Więc ty jedynie przez kurtuazję mówiłeś mi, że mnie kochasz?

— Nie! Wtedy, kiedy mówiłem, czułem tę miłość bardzo silnie. Ale wtedy byłaś szczęśliwa. Kiedy jednak nią być przestałaś? Wtedy, kiedy ja już przestałem mówić z własnej woli, a tylko odpowiadałem ci na pytania. Dzisiaj jednak po raz pierwszy nie mogłem i nie chciałem skłamać... Nuno! Ja wiem, że to przykro. Tyś dla mnie naraziła się swemu mężowi, ale ja przez ciebie znowu stanąłem na dwadzieścia kroków przy trzykrotnej wymianie strzałów. Raniłem hrabiego, ale mogłem być bardzo łatwo zabitym... Gdybym padł trafiony kulą, nie myślałabys o mnie, że cię ko-

chałem? Dlaczego nie wierzysz teraz? Może to były tylko zmysły, nie wiem... Dla mnie to była miłość a że się prędko skończyła... Do licha... ze śmiercią i miłością niepodobna zawierać kontraktu.

Nuna podeszła do ławki i usiadłszy przechyliła głowę, przymykając jednocześnie oczy...

— Wracamy więc do Warszawy, rzekła po chwili szeptem.

Villard milcząc ścinał czubki trawy i kwiatków, które mógł dosięgnąć swoim stekiem.

— Wracamy każde do swego życia — dodała po chwili. — Sen się skończył. Ostatni sen młodości, dokończyła ledwo dosłyszonym głosem.

W tej chwili ogarnęło ją zniechęcenie podobne do śmiertelnego omdlenia. Przez mgłę łez patrzała na profil Villarda, bawiącego się stekiem i przeraziła się tą kamienną obojętnością, którą zobaczyła na jego twarzy. Robert zdawał się nie myśleć o tem co się stało. Jego piękne oczy śledziły z poza ściągniętych brwi, z takim zainteresowaniem los ścinanych przez siebie kwiatów, iż zdawał się nie pamiętać o jej obecności i nie słuchał jej słów, wymawianych szeptem dławionej rozpacz. Widać było, że cała ta sprawa jest dla niego niezwykle przykra, nie mniej jednak, nie szarpie wewnętrznych strun serca i nie pozostawia w jego pamięci bolesnych wspomnień. — Villard siedział koło niej nie starając się nawet udać wzruszenia, które mogłoby w najłżejszym przynajmniej stopniu osładzać nieco gorzcy ostatniej rozmowy. Przeciwnie, każdy grymas ust, znudzony i niechętny, dowodził, że w jego duszy niema iskierki żalu, a chwila rozstania jest nieprzyjemną rozmową, niczem więcej. Nuna czująca tak niespodziewaną obojętność z jego strony, połykała gorzkie łzy, nie tylko gorzcy, ale i wstydu.

— Boże! jakże ten chłopiec się zmienił — szeptała przypominając sobie niedawne jego przysięgi i gorące wybuchy namiętności. Kilka tygodni temu i dziś! I gdzież przyczyna? Czy istotnie była to miłość, która się spaliła jak woskowy stoczek?... Czy tylko złudzenie miłości, będącej wyolbrzymionym flirtem, który jak odra ginie zazwyczaj przy zmianie klimatu.

W tej chwili nie chodziło jej o uratowanie jego uczucia, gdyż wiedziała, że niepodobna uratować tego, co stę już skończyło. Nie mogła mu jednak darować, tak niezwykle, upakarzającej obojętności z jaką traktował rozstanie. Nuna zrozumiała dobrze, że obecna ich rozmowa jest ostatnią, nie mogła się jednak pogodzić z faktem, że ich zerwanie odbywa się bez cienia żalu z jego strony z tą poprawną ignoracją cierpienia, którą stworzyć może jedynie żywiołowy egoizm młodości. Villard odchodził od niej z takim spokojem, jakgdyby nic się nie stało, a raczej, jakgdyby wszystko to, co istniało między nimi, nie wyłączając obecnej tak bolesnej dla niej rozmowy, było najzwyklejszą w świecie sytuacją, zarówno poprawną jak i konieczną. Gdyby okazał pewne wzruszenie, chociażby udane nawet, gdyby widziała, że mimo wygaśnięcia uczuć, w jego sercu tli się chociażby najmniejszy płomyk żalu, za odchodzącą przeszłością, cierpienia jej, znalazłoby pewne ukojenie w świadomości tej rozkoszy, która istniała dawniej. Dziś jednak Nuna, nie miała pewności czy ją kochał kiedykolwiek, chociażby przez godzinę i czy cały jego do niej stosunek nie był jedynie awanturą, rozzuchwalonego powodzeniem młodzika.

Ta myśl, mimo wielu życiowych przygód i takim podlegała, piekła ją, jak rozpalonym żelazem. Nuna, nie czując się na siłach do wypowiedzenia

mu całego swego żalu i rozczarowania, zapragnęła jednak dowiedzieć się, czy istotnie kochał ją kiedykolwiek. Pragnęła przynajmniej to jedno uratować dla swych wspomnień, które inaczej rzecz naturalna, nie warte by były nawet wspomnienia.

— Panie Villard — rzekła, nie mogąc wypowiedzieć pod wpływem oburzenia, jego imienia tak pieśzczołiwie przez siebie zdrobnionego. Ja wiem, że obecnie wszystko skończone. Nie należę do kobiet, które sobie wyobrażają, że zaklęcia, prośby, lub przysięgi wierności i zapowiedź uczuć, mogą w podobnej sytuacji cokolwiek zmienić. Skończyło się. Z miłością zarówno jak ze śmiercią, nie można zawierać kontraktu. To słuszne! Dlatego ja uważam, że od tej chwili musimy oboje postawić krzyżyk na przeszłości...

— Tak — wymamrotał niewyraźnie Villard, nie patrząc na nią.

— Ale ta teraźniejszość! Godząc się na taki rozwój wypadków, mam prawo zapytać ciebie... panie Villard, czy pan żartował w ogóle, czy też była chwila, kiedy kochałeś mnie naprawdę?

Powiedziawszy to, Nuna zataiła oddech i nie spokojnym, zażawionym wzrokiem wpatrywała się w jego lekko zmieszaną twarz, oczekując odpowiedzi.

— No tak, naturalnie! — odpowiedział po chwili, wahającym głosem Villard. — Po cóż jednak mamy mówić o tem co było. Gdybym był ciębie nie kochał, naturalnie nieby między nami nie zaszło... Ale kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem w "Cassino-Theatre", bardzo mi się podobałaś. A później w Warszawie, ty wiesz jak było. Zresztą, bo ja wiem — rzekł wymijająco. Czy można mówić naprawdę o tem co się zmieniło, lub przeszło zupełnie? Przestałem cię kochać, bo przestałem. Mam odwagę powiedzieć ci to otwarcie. Nie

mogę znieść dłużej tej sytuacji, która nie jest przyjemna ani dla ciebie ani dla mnie...

— To wszystko?... — wyszeptała Nuna.

— Och! co za nudna baba — przemknęło przez myśl Villardowi. — Kobiety są niemożliwe. Podczas trwania miłości nie chcą myśleć o niczym, a w chwili rozstania chcą przez pięć minut wszystkiego się zawsze dowiedzieć i wszystko zrozumieć.

— To wszystko? — powtórzyła Nuna ustami drżącymi z oburzenia.

— A czego chcesz więcej? — zawołał dosyć ópryskliwie. Obiecałem się wprowadzić ożecić z tobą, ale chyba nie wymagasz tego odemnie teraz, kiedy wiesz, że cię przestałem kochać?

— Och, przestałeś, rzekła obrzucając go pogardliwym wzrokiem. Mógłbyś nawet tak nie mówić. Ja już doskonale cię rozumiem. W życiu twoim jest to jeden więcej miłosny epizod, jedna więcej awantura... No, ale trudno! — zawołała zrywając się z ławki. Dobrze, żeśmy przynajmniej doszli do porozumienia... Jeżeli czego żałuję, to nie tego, że się zawiodłam na twej miłości, ale tego, że miałam inne o tobie wyobrażenie. Sądziłam, że rozumiesz, ile mimo wszystko dla ciebie poświęciłam i na co się naraziłam, zawiązując stosunek, któremu ianne nierównie większe przypisywałam znaczenie. No, ale trudno. Jutro wyjeżdżam ze Stefnopola i mam nadzieję, że się nie zobaczymy nigdy.

Powiedziawszy te słowa, Nuna, mimo wysiłków, aby opanować swe nerwy, nie mogła jednak tego dokonać i wybuchnęła gorzkim, bolesnym płaczem.

— Ach ty, głupi, zły, niedobry chłopaku! — mówiła szlochając. Jesteś podły, zimny egoista! Ty nigdy się nie dowiesz co ja przez ciebie przeszłam — i co mnie spotkało tego wieczoru, gdy przyszedłeś

do mnie pierwszy raz. Ale ja sama, tylko sama jestem temu winna... Zapomniałam o tem, o czem powinnam pamiętać przedewszystkiem. Takiego amarkacza nie puszcza się do sypialni! Dla ciebie akurat dosyć szwaczki lub pokojówki...

Każde zdanie oblane łzami rozdzielał nowy atak płaczu. Nuna siedząc w niedbalej pozie na ławce, batystową chustką ścierała z twarzy strumienie łez, wycierając co chwila zwilżony ponad miarę nos.

Villard wstał z ławki i ścisnąwszy zęby, patrzył na nią bez cienia litości!

— Dlaczego ona płacze, myślał. — Jak mnie opuściła Florentyna, mało nie rzuciłem się do Sekwany, a jednak nie płakałem. Jest jednak w mężczyźnie coś wyższego!

Lili więcej kochała mnie od niej i ja ją, a jednak rozstaliśmy się bez gniewu.

Zresztą, do licha, powinna zrozumieć, że między nami jest tak wielka różnica wieku, że jeżeli nie dziś, to jutro musiałoby nastąpić podobne rozwiązanie. Są przecież prawa, których nawet najgorętsza miłość obalić nie zdoła... A tym najistotniejszym prawem, jest prawo młodości.

W Warszawie wyglądała inaczej. A tutaj? Tutaj, czuję się od niej młodszy o lat dwadzieścia... Jeżeliby nas oboje wzięto na sąd Boży, to jeszcze niewiadomo, kto z nas musiałby się bardziej wstydzić"...

— — — — —
Nie trudno się domysleć, że rozmowa ta, była ich rozmową ostatnią, Nuna wyjechała do Warszawy jeszcze tego samego dnia, a że nie chciała się w wielkiem swem rozgorzczeniu narażać na jego towarzystwo, wyjechała sama. Dopiero w kilka dni

później Villard odważył się porzucić Stefenpol z gorącym postanowieniem niezwłocznego wyjazdu do Paryża. W Warszawie jednak zatrzymał go niemal przemocą pan Apolonjusz Różecki, który, jako plenipotent Villarda wpakował przedewszystkiem do więzienia Nienażyckiego. Villard z prawdziwym zdumieniem przekonał się, że wszystkie papiery i dokumenty wspólki „eksploatacji lasów” — były sfałszowane, a jej wspólnicy, założyciele i akcjonariusze, zwykłymi jak się pan Różecki wyrażał niebieskimi ptakami.

Nowiny te były dla Villarda niezwykle przykre. Po raz pierwszy w życiu, jak sam utrzymywał, zawiódł się na ludziach, którzy okazali się tak sprytnymi oszustami.

„Co za szczęście, myślał, że nie dałem się wciągnąć w pułapkę Nunie. Ta kobieta bezwzględnie działała w porozumieniu z resztą bandy. Nienażycki oszust, Olimpijski oszust, Nilecki oszust. Dwaj pierwsi za kratą, a trzeci uciekł! Oto towarzysstwo! Oto przyjaciele i najbliżsi mojej niedoszłej żony. Co go jednak najbardziej zastanawiało, to stanowisko hrabiego Sękorzewskiego. Okazało się bowiem, że strzał w lasku Bielańskim był celny. Hrabia umarł, a umierając zapisał Nunie sto tysięcy rubli.

„Ten człowiek był niezwykle degeneratem” — określił go Villard. Niewątpliwie jednak był również i jej kochankiem. Chrzestny ojciec rzadko kiedy bywa tak czułym. Tymczasem Nuna, złożwszy wysoką kaucję, zwolniła z więzienia Nienażyckiego. Villard, nie chcąc się przypadkiem z niemi spotkać, coby mogło mieć miejsce istotnie, zostawiwszy wszystkie swoje sprawy Różeckiemu, wyjechał do Paryża.

Gdy pociąg ruszał z dworca Wiedeńskiego, młodzienczek stojąc w oknie, z pewnem niewytłumaczonem rozrzwinięciem żegnał się z miastem, w którym przeżył tak wiele wrażeń, w niezwykle krótkim czasie.

— Do licha — myślał — cokolwiek się stało te kilka tygodni miało słodycz pocałunku, moc wi-na i zapach kwiatów. Lubię cię za to. Warszawol Jesteś miastem, w którym głupców prędko uczą rozumu, a młokosom dają dojrzałość mężów. Lecz ponieważ nie chcę jeszcze dojrzeć zupełnie, więc wyjeżdżam. Pragnę być jeszcze pewien czas. tak młodym jak wówczas, kiedy stałem naprzeciw pistoletu Sękorzewskiego, po to zapewne, aby w dwa tygodnie później przekonać się, że życie, które się lekceważy, ma jednak najwięcej uroku.”

Tymczasem rozległ się trzeci dzwonek i pociąg ruszył z miejsca.

Po chwili ludzie, stojący na stacji, widzieli tylko szary rozplywający się w powietrzu piropusz dymu.

KONIEC.



46934

4693L

A